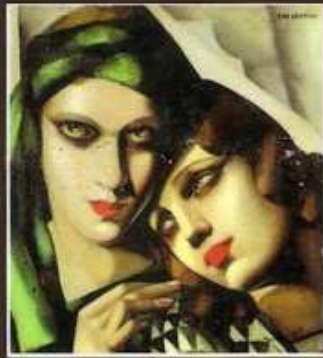


MISTRZOWIE  LITERATURY

ERICH MARIA REMARQUE



HYMN NA CZEŚĆ KOKTAJLU



ERICH MARIA REMARQUE

HYMN NA CZEŚĆ KOKTAJLU

Przełożył
Ryszard Wojnakowski



DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań 2006

FIOLETOWY SEN

Jesienna śmierć wisi pośród nocy niczym głuchy, upiorny szum ponad rozbłyskującymi światłami wielkiego miasta, ciemny wirujący lej, który jak wampir wysysa jeszcze ciepłe życie, porywa w górę liście i połyka je w trąbie powietrznej, czai się za oknami i wciąż monotonicznie huczy i brzęczy po nocach niby potężne dynamo, dopóki grad i śnieg nie spadną z niego i nie pogrzebią świata w dole.

Nim jednak śnieżna zamieć wgrzyzie się w drżące lasy lśniaco białymi zębami mrozu i przykryje śmiertelnym całunem drogi oraz dachy, przez godzinę wydaje się, że czas stanął w miejscu i zaklął na moment ów niepowstrzymany upadek – w fioletowy sen.

Dwa razy w roku ów sen wędruje przez świat. Raz na przedwiośniu, ledwie źródlane wody poczną na nowo bulgotać i sączyć się między oblodzonymi jeszcze brzegami strumieni. Trwa to kilka dni, najpiękniej wygląda w Skandynawii, a w doskonałej wręcz krasie w dolinie Skone. Poeci go uwielbiają i nieraz go już opiewali.

Tylko nieliczni go wszakże znają, kiedy ciągnie przez świat po raz drugi: w listopadzie. Kiedy ogołoczone z liści korony drzew po długich deszczowych dniach wieczorem wznoszą ręce ku złocistemu niebu, a zapadająca noc aż po świt wyciska drobny kapuśniaczek z ostatnich ciemnych gąbczastych obłoków, dzień budzi się wtedy przed zachmurzonym niebem, a ciepłe powietrze dzięki swej lotnej wilgoci ma ów lekki perłowo szary odcień, który blade słońce przetyka z wolna delikatnym fioletem. W kałużach przegląda się bladoniebieskie niebo, na którym rozplywają się strzępiaste obłoki. Mokre pnie drzew w cieniu są czarne jak atrament, ale tam, gdzie kładzie się na nich blask, pojawiają się jasnobrazowe plamy, mchową zielenią wypiera po brzegach kadmowa czerwień, a w rysach i szczelinach, w zagłębieniach konarów i u nasady gałęzi, wszędzie wisi miękkie liliowe tchnienie, które sięga od matowej niebieskawej szarości po najczystszy wonny fioleć – i nagle człowiek zaczyna nasłuchiwać świergotu wróbli z takim napięciem, jakby lada chwila, bardzo słodko i czysto, miał odezwać się drozd, i naraz zdumiony przeciera dłonią oczy.

– Hm – a co to jest – czy to nie – to przecież wiosna...!

Ledwie godzinę trwa ów fioletowy wiosenny sen w listopadzie. A potem albo się rozwiewa przed wstającym znad ziemi, jesiennie klarownym srebrzystym dniem, albo przyćmiewają go nadciągające od nowa deszczowe chmury i dusi go

ów głuchy, upiorny szum, który znów czai się za oknami i monotennie huczy po nocach, dopóki nie spadną z niego lód i śnieg i nie pogrzebią świata w dole.

CEZURA

Buchalter Josef Detering wyszedł z domu i akurat zamierzał przejść na drugą stronę skrzyżowania, skąd miał już prostą drogę do miejsca pracy, kiedy ogarnęło go dziwne uczucie. Po raz pierwszy w życiu nasunęło mu się na myśl, że już od 28 lat dzień w dzień przemierza tę długą, zakurzoną ulicę, na której końcu znajduje się jego biuro, rano punktualnie o wpół do ósmej w jedną stronę, a o czwartej po południu z powrotem.

Stwierdził, że ta ulica obramowała jego życie niczym krata, że stała się balustradą dla jego ducha, że jego egzystencja niczym manewrowy pociąg towarowy poruszała się tylko ciągle tam i z powrotem po jednym torze.

Rzędy domów majaczyły szaro w perspektywie ulicy. Miał wrażenie, że ciągną się dalej bez końca, ku odległej dudniącej nicości. Front budynków przerwała polewaczka; szeroka wcisnęła się między trotuary i zaczęła chlustać wodę płaskim strumieniem.

Nad domami wznosiło się blade poranne niebo. Wschodzące słońce oblewało je niepewną poświatą, skutkiem czego niebo połyskiwało dziewczczo jak jasne ubranko zadbanego dziecka. Światło odbijało się w wypukłych kroplach wody na ciemnej od polewania nawierzchni ulicy, która odcinała się wyraźnie i stanowczo od niepolanego jeszcze, martwo szarego bruku.

Josef Detering uzmysłowił sobie, że świat widuje rankiem tylko w niedziele. Nigdy nie widział go w poniedziałek o dziewiątej ani w czwartek o jedenastej. Miał wrażenie, że umknęło mu coś bardzo ważnego. Podobny niepokój odczuwał wcześniej tylko raz, gdy położył w niewłaściwym miejscu teczkę z dokumentami do podpisu, której szef pilnie sobie życzył!

Jakie to musiało być urocze: iść ulicą o dziewiątej rano. Piersiaste mleczarki dzwoniły pewnie wtedy od domu do domu, a kobiety, ciepłe jeszcze od snu, wychodziły przed drzwi z garnkami i dzbankami. Sprzedawcy torfu i szlifierze noży wykrzykiwali pewnie, ciągnąc ulicami; ich przeciągłe nawoływania odbijały się dziwnie melodyjnym echem. I ten osobliwy kontrast o jedenastej przed południem, gdy kobiety wracały z targu z pełnymi koszami, pewne siebie i spokojnie radosne, bo zrobiły dobre i korzystne zakupy. Psy wylegiwały się w cieplejszym już słońcu, a dokazujące dzieci zbijały się z krzykiem w kłębowisko. Jakaż mnogość twarzy nasuwała się obserwatorowi! Ileż rzeczy umykało mu podczas tępego przesiadywania w rejonach pracy i obowiązku! W myślach o mleczarkach i niesionych z targu koszach, których się nie widywało, wzbijało

się już, mieniać, pewne wyobrażenie awanturniczo kolorowego, wcześniej zamkniętego dla człowieka świata! Czyż nie czuło się, że to ono wlatuje w jasny eter ponad domami, lekkomyślne, niezwiązane, wirujące, trochę oderwane od rzeczywistości, z lekko rozchylonymi wargami?

Nikt nie zamierza twierdzić, że buchalter Josef Detering wyprodukował wszystkie te pomysły w jednej chwili. Mimo to rozluźnienie rosło w nim tak mocno, że myśli o pracy zawodowej i biurze utonęły jako nieistotne, a wraz z wiatrem i powietrzem zalała go fala czegoś, co lekkie i oczywiste. Patrzył nieruchomym wzrokiem za pomalowaną na czerwono polewaczką, dopóki ta nie zniknęła za zakrętem. Następnie szybkim ruchem odwrócił się, pokazując szarej ulicy plecy, i w tym momencie zapomniał 28 lat swego życia.

Z naprzeciwka nadjeżdżał jakiś wóz ciągnięty przez gniade konie o lśniącej sierści. Konie tańczyły przed ciężkim wozem i dla zabawy próbowały nawzajem kąsać się w pysk, toteż biała piana perliła się na ich chrapach. Detering pomachał woźnicy, który odpowiedział na jego pozdrowienie, wesoło strzelając z bata.

Potem pojawiły się łąki, zielone łąki, przeciągające się w słońcu niczym rozłożysta kobieta. Mięsista trawa zarastała pobocza szosy, na których ślimaki powoli uciekały przed wstającym porankiem. Niby apetyczne plamy w placku drożdżowym kwitły w kępach żółte kwiaty. Niektóre z nich pamiętał jeszcze z czasów szkolnych. Nazwał je głośno po imieniu i skinał im głową, jakby wracał do drogich krewnych po ciężkiej chorobie: niebieska mięta pieprzowa, smukły tasznik pospolity, gruby, dobroduszny mniszek lekarski.

Zaszedł do gospody na obrzeżach miasta. Spojrzał na zegarek: była dziesiąta. Na widok ostrego kąta, jaki tworzyły na cyferblacie ozdobne wskazówki, wezbrała w nim nagła radość. Przyłożył zegarek do ucha, żeby przekonać się, czy chodzi, po czym wzruszony do głębi zamówił chleb i mleko.

Jedząc powoli i spokojnie i czując we włosach brody smak ciężkiego od owoców poranka, rozmawiał z oberżystką, która podparłszy się pod boki, stała obojętnie obok niego. Lekko i swobodnie rzucił kilka pytań, sam dziwiąc się trochę, jak pewnie sobie tutaj poczyna.

Potem jednak pobierał okruszki, wciskając je w kłęb kciuka, i znowu ruszył w drogę. Dziarsko szedł przed siebie, jakby był pewny jakiegoś celu. Miał wrażenie, że odpadło coś, co dotąd przeszkadzało; sprzed wystawy jego duszy jakby zdjęto pokrowiec i teraz patrzył, dziwiąc się, jakie piękne rzeczy kryją się w środku. Ciepłe powietrze elektryzowało go, czuł się naładowany tchnieniem pełnej napięcia, a mimo to elastycznej energii, która ściekała mu po plecach i spływała pod kolana, dodając im sprężystości.

Tajemniczy rytm regulował jego oddech i kroki, wprawiając go w swoisty nastrój lekkości, miał wówczas wrażenie, że to jakiś czarownik, pociągając za niewidzialne druty, przesuwając obok niego bezszelestnie całe życie.

Czuł na nowo i jakby po raz pierwszy, że nogi niosą go same i że pierś sama

się wypręża. Oczy niby dwie zwinne sójki rzucały się na krajobraz i przynosiły wszystko, czego sobie zażyczył. Dłoń wiernie obejmowała posłusznymi palcami gałkę laski, podnosząc ją i opuszczając w takt marszu.

Kiedy słońce zaczęło palić, strumień ugasił pragnienie. Podczas picia skrzęca się diamentowo woda przeciekała między niewprawnie złączonymi palcami. Potem rozpalone członki błogo odpoczywały w cieniu. Południe zamknęło bez słowa zmęczone oczy, rzuciło pod przymknięte powieki trochę purpury oraz indygowych fal, po czym zgasiło pochodnię świadomości.

Po przebudzeniu Josef Detering chciał spojrzeć na zegarek, aby w ten sposób jeszcze mocniej poczuć swoje niezwiązanie. Ale zanim wyciągnął chronometr z kieszeni, nagle zalało go intensywne uczucie sytego spokoju, które zrodziło się w wyniku dobroczynnego snu. Natychmiast wyniosło go ono ponad małoduszność kontrastów i napełniło błyszczącą barwnością oraz jednością z ziemią, wyrzucił więc do strumienia wysunięty z kieszeni zegarek i ruszył w stronę ciemniejącego w oddali lasu.

Każdy krok przyśpieszał jego puls i uszczęśliwiająca gorączkę krwi. Las, do którego się zbliżał, rósł przed nim niczym jakiś bóg ze spiżu. Ostatni odcinek przebiegł, jakby się bał, że się spóźni. Z rozłożonymi rękoma, niczym szybkobiegacz u celu, wkroczył do boru.

Otoczył go chłód, znany mu z sieni budynków, kiedy się wchodzi z rozgrzanej ulicy. Spłynął na niego niczym wyraźna obietnica, musiał więc zacisnąć wargi, żeby nie krzyknąć.

Wbił zęby w pień jodły, żeby posmakować kory i czystej jak złoto żywicy; żując bukowe liście, odczuwał zwierzęce instynktowne szczęście pastwiska i światła. Zasłana igłami ziemia wydawała mu się bardziej godna pożądania niż kobiety z jego snów – czuł ją przez odzienie, lecz nie dawała mu dość ciepła, ściągnął więc surduty, żeby być bliżej niej.

Niczym drżący rezerwuar wzbierało i wzbierało w nim coś, do czego ze wszystkich stron uchodziły strumienie. Zdumiony świergotem ptaków zastygł w trakcie skoku, zamieniając się cały w ucho i słuchanie; wiewiórka wprawiała go w rausz zachwyty; pnące się wzwyż pnie wysokopiennego lasu wyciągały w górę ramiona w nieruchomej ekstazie.

Wieczorem trafił na ludzi, którzy obchodzili w lesie jakąś uroczystość. Natychmiast znalazł się w środku towarzystwa i swym nieporadnym przejęciem porwał jednak do wzniosłego poczucia pełni bytu tych, którzy zrazu się z niego śmiali. Z jego wydobywanych z trudem słów i przesadnych gestów przeskakiwało na wszystkich dziwne wzruszenie i choć w dalszym ciągu podśmiewali się z niego, to tak czy owak nastawiona już na rzeczy niezwykle, odświętna atmosfera i poruszone jego jakaniną uczucia dały w sumie umiarkowany kolorowy nastrój, podkreślany jeszcze i pogłębiany przez ciemny szum lasu, i w końcu Detering, nie wiedząc jak, znalazł się nagle wśród drzew ponad dyszącymi dziewczęcymi ustami.

Z zamkniętymi oczyma podniósł się znad tego czegoś miękkiego i drżącego, co wlało ogień w jego żyły i, białe, rozplynęło się w mroku za jego plecami. Niemal uroczyście stąpał między jodłami. Na jakiejś polanie potknął się o korzeń. Otworzył oczy. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, były gwiazdy. Potem dostrzegł u swych stóp gładki leśny staw oświetlony księżycem. Z wodnej tafli patrzyła nań jego twarz. Kiedy ją rozpoznał, wzdrygnął się ze strachu. Z zakątków mózgu pragnęła się wydostać i rozprzestrzenić ukryta prawda, ostrzec go, wezwać do zawrócenia. Dłoń zacisnęła się na rosnącym nad brzegiem krzaku. To wyłaniające się z wody oblicze miało wszakże zbyt wielką moc w swoich ruchach. Nieuchronnie wzywało go i się zbliżało. Niemal dobrowolnie dłoń wypuściła ostatnie oparcie i wyciągnęła się, jakby chcąc pogłaskać odbicie w wodnym zwierciadle – a wtedy to nagle się rozprysło i zrodziło ciężkie melodie, które rozwiały się kosiście i rozplynęły w ciemności.

OD POŁUDNIA DO PÓŁNOCY

Codziennie o ósmej wychodził z domu, patrzył, jaka pogoda, i przemierzał płataninę krzyżujących się ulic; na końcu długiej szarej ulicy huczała fabryka, w której mieściło się jego biuro.

W jednej z krótkich uliczek znajdował się nocny lokal. I często się zdarzało, zwłaszcza zimą, że o tej porze wychodzili jeszcze późni goście. Czasem jakiś brajtszwanc albo norki muskały nawet jego hawelok i owiewała go podniecająca woń perfum, czasem mignęły lśniąco opalowo paznokcie wypielegnowanej dłoni. Wtedy jego uporządkowaną, nastawioną na debet i kredyt duszę ogarniało ostrożne pragnienie, które coraz bardziej przypominało pożądanie; odzywał się spóźniony instynkt – parę sprężystych kroków ożywiało pokorę leciwych spodni – i pod lekko już wytartym melonikiem przelatywał jakiś błysk, wbite głęboko w mózg filary zaczynały fluoryzować: dziesięć stron księgowości, śniadanie, kolacjonowanie, księgowanie, fajrant, zaciemniał je i kusił, kusił... aż w końcu pojęcia: wielki świat, życie, przygoda, rozkosz, przybierały kształt tajemniczego wejścia do nocnego lokalu i z każdym dniem kryły w sobie więcej uroku i coraz większą pokusę.

I tak się zdarzyło, że akurat w dzień po tym, jak musiał zastąpić kogoś na stanowisku kasjera, gdy w porannej szarówce ujrzał szczupłą pęcinę pod miękkim płaszczem z foczej skóry, że wtedy pojawiła się owa osobliwa równowaga obu nurtów porządek-obowiązek oraz przygoda-grzech, która często pojawia się tylko raz w życiu, czasem trwająca ledwie minutę, jakaś bagatela nabiera wówczas wagi i może mieć decydujące znaczenie.

W godzinę później sprzeniewierzył dużą sumę, pojechał do najbliższego większego miasta i wynajął pokój w najwytworniejszym hotelu. Był spokojny, nie myślał o nieprawości, jakiej się dopuścił, ani że może być ścigany. Gdy wykąpany wszedł do swojego pokoju w nowo kupionych rzeczach, zdziwił się, że wcale nie rozpiera go zadowolenie, którego się spodziewał. Niemal obojętnie pomyślał: Mam pięć milionów, codziennie mógłbym mieszkać w takim hotelu. Poszedł do kabaretu. Kiedy pił wino i roztrząsał, że teraz mógłby mieć wszystko, czego często pragnął, przez głowę przemknęła mu inna myśl: Długo mógłbym pić codziennie takie wino, mam bowiem pięć milionów. Zauważył, że życie, przygoda, wielki świat, które wyobrażał sobie błyszczące i tajemnicze jako rausz uczuć, podlegają podobnym prawom jak jego wcześniejsza egzystencja... Lśniły perłowe ramiona, kokoty pokazywały alabastrowe ciało. Niewyspane oczy

morfinistek obiecywały perwersje i nieokiełznane namiętności; koralowe usta kwitły dziecięco na twarzy okolonej włosami ostrzyżonymi na pazia... szlachetne kamienie błyszcząły na brzoskwińowych dłoniach... Patrząc na to wszystko, myślał: Każdą z nich mógłbym mieć, mam bowiem pięć milionów. Daremnie jednak czekał, aż zawrze w nim krew, choć dawniej często przeżywał takie chwile przed nocnym lokalem na widok kobiecej stopy. Wszak wiedział, że może mieć wszystko. Pięć milionów. Dzisiaj mógłby być tutaj, jutro, pojutrze, ilekroć by zechciał... Byłoby zawsze to samo, zawsze tak samo... I nagle uświadomił sobie, że życie na górze jest równie nudne jak na dole, że tylko wszedł do innego pokoju. Ze cel okazał się fatamorgana. Że stąd mógłby przejść do jeszcze innego pokoju. I tak dalej. Ale nigdy do tego pokoju. Tknęło go przeczucie, że najpiękniejszą rzeczywistością jest pragnienie. Jakby w jego głowie zapłonęła błyskawica, pojał nawet trochę z wielkiej tragedii wszelkiego dziania się i z uroku rzeczy ostatecznych, przybliżyło się tło wydarzeń światowych i spłynęło nań pierwotne uczucie. Rzeczywistość przybrała niewyraźne kształty, zbladła i rozplynęła się. Mgła, opary, przemijanie. Niemal pogodnie wykrystalizowało się w nim postanowienie.

I tak zdarzyło się, że gdy rano wyłowiono go z rzeki, na jego twarzy malował się ów delikatny rys sarkastycznej wyższości i melancholijnej ironii, jaki poza tym widać tylko na maskach pośmiertnych wielkich ludzi. Uradowanemu szefowi można było zwrócić prawie całą sprzeniewierzoną kwotę.

DEKADENCJA MIŁOSNA

Trudno podać, łaskawa pani, dokładne wyjaśnienie terminu „dekadencja”. Mamy upodobanie do tonów pośrednich, do przejść, do estetycznych bodźców. W większym stopniu jesteśmy widzami – także przyglądającymi się samym sobie – a w mniejszym uczestnikami. Nastroje, delikatne, mieniające się, egzotyczne, znaczą dla nas więcej niż uczucia. Wszystko traktujemy bardziej jak narkotyki i przesycaamy wszystko ich tchnieniem. Również kobiety. Nasi przodkowie kochali uczuciem, my – nerwami. Im chodziło o posiadanie, o posiadanie na stałe; dla nas posiadanie jest niczym, możliwość posiadania – wszystkim. Kobiety są dla nas brązowozłotym – słodkim odurzeniem...

Uśmiecha się pani, ale proszę mi wierzyć, że nie końcowy rezultat jest w miłości najpiękniejszy, tylko preliminaria. Wszystko, co było przedtem, to obmacywanie, parcie do przodu, ważenie następnych kroków, to posuwanie się bezszelestnie jak kot, ta ukryta walka obojga uczestników, to ma dla nas najwyższą wartość. Dla naszych przodków miłość była ołtarzem – albo knajpą, w zależności od punktu widzenia; dla nas jest ona pojedynkiem szermierczym wśród cichego szczęku floretów w jakiejś starej weneckiej sali; blask świec odbija się w posrebrzanej stali, gdzieś błyszczą stary brokat...

Opowiem pani o pewnym przeżyciu, żeby unaocznic trochę lepiej swoje abstrakcyjne sofizmaty. Na moim lewym ramieniu znajduje się wąska blizna. Owa blizna ma swoją historię. W Brukseli poznałem przed rokiem kobietę, która zwróciła moją uwagę szczupłymi, długimi łydkami, będącymi oznaką nader wysokiego chowu i zaczynającej się degeneracji rasy. Była blondynką, prawie taką samą blondynką jak pani, brakowało tylko tego miedzianego odcienia. To była druga rzecz, jaka rzuciła mi się u niej w oczy. Trzecią, decydującą, było to, że odprawiła mężczyznę, który chciał z nią rozmawiać o Maeterlincku i ewentualnie porównywać go z d'Annunziem. Albowiem mężczyzna jako gatunek, łaskawa pani, na ogół zatracił, niestety, tak wiele ze swych pierwotnych instynktów i stał się tak mieszczański, że ośmiela się rozmawiać z kobietą o rzeczach, w sposób bezosobowy, ograniczać się do roztrząsania faktów. Mężczyzna winien zawsze odnosić się do kobiety tylko osobowo; fakt, że ma do czynienia z kobietą, winien stać zawsze na pierwszym miejscu i być decydujący. Ale kto ma jeszcze te pierwotne instynkty w wysublimowanej postaci, to okrażanie każdym słowem, każdym ruchem, tę nieustającą czujność, której ulega każda kobieta, choćby mężczyzny nienawidziła, gardziła nim lub nawet go

– kochała!

Proszę wybaczyć tę małą złośliwość, łaskawa pani, i poczęstować mnie jeszcze jednym papierosem. Widzi pani, tę historię trzeba opowiadać z przerwami... Tak więc wyczułem u owej kobiety dużą wrażliwość i delikatną konstrukcję nerwową; poza tym była wolna od sentymentalizmu i miała wystarczające doświadczenie, aby wynik walki wydawał się sprawą otwartą. Albowiem zawsze, łaskawa pani, dochodzi do walki między nerwami a krwią – kiedy zwycięża krew, człowiek jest stracony. A ja mam krew...

Widywałem ją często przy herbacie i w krótkim czasie poznałem owe nerwowe dreszcze, poprzez które objawia się pobudzenie elektryczne.

Potem był szcęk filiżanek, iskrzyły dowcipem komentarze, zaczynała się szermierka słowna. Zdobyłem już pewną przewagę. Gdy podczas rozmowy na odległe tematy epigramatyczna dowcipna konwersacja balansowała w stanie chwiejnej równowagi, niespodziewanie zmieniałem jej kierunek, śmiało przechodząc do głębokiej kwarty, która dosięgała nieprzygotowanej, wprawiała ją w zmieszanie, a mnie w euforię. Całowałem wówczas jej dłoń i odchodziłem.

Gdy jednak ona następnego dnia uzbroiła się w ducha po czubki włosów, tryskała i błyszczała naładowana energią, wtedy ja nie podejmowałem prawdziwej walki, rzucając jakieś paradoksalne zdania, wywabiałem ją na otwarte pole i nagle zaskakiwałem miękka, sztubacką uwagą, na którą znów nie potrafiła zareagować.

Ona także wypatrzyła moje czule miejsce, stronę, która była słabiej chroniona: krew.

Kobieta była piękna. Jej kolano rysowało się cudownym kształtem pod szatą, gdyż ona nie nosiła ubrań, tylko szaty. W zagłębieniu pod zgiętym kolanem drżała pewnie delikatna niebieska żyłka. Dłonie miała takie białe... Krew zaczynała we mnie grać, gdy byłem w jej towarzystwie. Ukrywałem to. A jednak wiedziała o tym. Wtedy przestałem to ukrywać, żeby się nie osłabiać.

Tańczyliśmy ze sobą. Zachowywała między nami dystans, który potrafi doprowadzić mężczyznę do szaleństwa, a mianowicie tak mały, że można to już nazwać dotykaniem się. Znadto się śpiesząc, popełniałem głupstwa, nie dostrzegałem szans, potem porywczo pragnąłem wszystko nadrobić i wpadałem w sieć spokojnego uśmiechu, urywałem w pół słowa, milkłem.

Zacząłem przegrywać. Moje paradoksy i balanse ducha przestały ją mieszać. Uśmiechała się, gdy musiałem zamilknąć. Prowokująco. Szyderczo. Umyślnie dawała mi okazje. Uśmiechała się ironicznie, kiedy z nich korzystałem. Szyderczo zwracała mi uwagę, kiedy je przepuszczałem. Zawładnął mną niepokój.

Wiedziałem, że całe to jej kuszenie opiera się na kalkulacji. Że ona toczy tę walkę swoją bronią. Że gdy ujrzy mnie u swych stóp, natychmiast będzie po wszystkim. Że być może mi się odda. Ale jako tryumfatorka. A ja następnego dnia ze wstydu będę musiał strzelić sobie w łeb.

Ogarniał mnie coraz większy niepokój. Odezwały się we mnie atawistyczne uczucia. Kochałem tę kobietę. Krew mąciła jasność spojrzenia. Uczucie podsuwało złudne obrazy. Byłem w niebezpiecznym stanie.

Wtedy zaprosiła mnie na herbatę do buduaru. Przyjęła mnie w poważnym nastroju. Daremnie próbowałem dostrzec szyderstwo w szparkach jej oczu. Brakowało także ironii w kącikach ust. Wydawała mi się miękka, prawie sentymentalna. Zniknęły wszelkie zamysły i kalkulacje. Poczulem pokrewieństwo z liśćmi spadającymi z drzew, na których wisi śmierć w jesiennych barwach, ogarnął mnie niebezpieczny melancholijny nastrój...

Poprosiłem, żeby zagrała na pianinie. *Chants sans paroles* Czajkowskiego. Patrzyłem na mięką linię pleców ginącą w dekolcie na karku... Och, te opadające liście za oknem – och, ta opadająca linia ramion tuż przed moimi rękami – zapach włosów – siny zmierzch – półotwarte usta przede mną – poważne, prawie smutne – te wybrzmiewające akordy molowe...

W podnieceniu ucałowałem jej dłonie i pragnąłem odejść.

Zatrzymała mnie.

– Zostań, zaraz wrócę – powiedziała; rzadko jakiś głos brzmiał tak srebrzyście w moich uszach jak ten.

Zastygłem w bezruchu. Zmieszany. Fale szkarłatnej krwi jedna po drugiej chłostały ostro moje skronie. Gdzieś w mózgu kołatała się jeszcze wiedza, chłodna prawda. Pragnąłem podążyć za nią, przytrzymać się jej w purpurowym naporze... i wtedy... kobieta wróciła.

Drzwi do sypialni zostawiła otwarte. W pomieszczeniu snuło się przyćmione światło. Widać było brzeg koronkowej narzuty przykrywającej łożo.

Cieniuteńki czarny jedwab, przez który prześwitywały, jako że światło w sypialni znajdowało się w głębi, kontury najpiękniejszego ciała. Oczy – głębokie i wierne. Te usta - dobre i stęsknione... Te szczupłe ramiona, które wyciągały się w moją stronę. Poczulem gwałtowne uderzenie krwi, która błyszczącym potokiem zmiotła wszelkie myślenie i porwała mnie do przodu, skutkiem czego przypadłem do kobiety, wziąłem ją na ręce i w okamgnieniu przeniosłem na oczekujące poduszki.

Moje dłonie drżały już nad szeleszczącym jedwabiem, gdy coś, może spóźniona myśl, która schowała się przed purpurową falą – czy ja wiem – coś zmusiło mnie do otwarcia oczu i – ujrzałem przed sobą szlachetną głowę z zamkniętymi oczami. Jej nozdrza również dygotały pożądaniem, usta wyrażały jedno wielkie oddanie i – ale na ustach – w kącikach ust pojawił się i przemknął prawie niezauważenie – uśmiech... uśmiech, który zdradzał tryumf – tryumf!

W jednej chwili uświadomiłem sobie, że to wyrafinowana pułapka, w którą omal nie wpadłem. Skoczyłem na równe nogi. Natychmiast poczułem się spokojny. Krew przestała falować. Zacząłem gwizdać jakąś melodię.

Zerwała się z posłania jakby smagnięta batem. Spojrzała na mnie i pojęła...

Ale nie była już w stanie zapanować nad ryzykownym środkiem, którym się posłużyła, nie była już w stanie odpędzić wezwanych przez siebie duchów. One okazały się silniejsze. Pożądanie zacisnęło na niej swoje szpony. Ona chciała, ona musiała mnie teraz mieć, za bardzo rozpałała ją ta zabawa z ogniem.

Zbierałem się do wyjścia. Wie pani, że to dla kobiety śmiertelna obraza. Niczym menada odepchnęła mnie z powrotem w głąb pokoju. Chwyciła wąski mauretański sztylet, który zawsze leżał na toaletce, stanęła w otwartych drzwiach i zawołała:

– Nie waż się odchodzić... bo cię zabiję...

Parzyła mnie, całe jej ciało wydawało się elastycznym wielkim popędem, potężnym płomieniem i żarem.

I pewnie pani uwierzy, łaskawa pani, jeśli powiem, że wtedy sytuacja zmieniła się w jednej chwili. Wszystko, co było, przestało się liczyć. Zabawa i walka, kot i duch poszły w niepamięć. Decyzja spoczywała wyłącznie w jej ręku.

Wie pani, jak kocham żywioły. Ogień, morze, orkan. I taki pierwotny żywioł, taki ziemski pierwotny instynkt-popęd, stanął nagle przede mną: kobieta! A ja musiałem go kochać równie nieuchronnie jak inne żywioły, jeśli... tak, jeśli się potwierdzi jako pierwotny popęd. To potwierdzenie powinien przynieść jeden krok... Bez słowa popatrzyłem na nią stanowczym wzrokiem i ruszyłem w stronę drzwi. Błysnęła stal, poczułem, jak sztylet przebija moją łopatkę. Natychmiast pojawiła się krew.

W następnej chwili kobieta odrzuciła sztylet, padła przede mną na kolana, wybuchnęła płaczem.

– Odpuść mi – szlochała; jej palce wędrowały w górę w stronę rany. – Przebacz...

Odsunąłem ją, przyłożyłem chusteczkę do rany i wychodząc, powiedziałem:

– Poprzednio omal pani nie wygrała, madame. Ale również teraz – jeśli naprawdę by to pani zrobiła, gdyby pchnęła mnie pani sztyletem – musiałbym panią kochać, właśnie z uwagi na ten czyn, z uwagi na pierwotny impet pani życia, z uwagi na głębokie powiązanie pani bytu z naturą, na potężną, jednoznaczną manifestację uczucia-popędu. Ale nawet w momencie, gdy pani kobiecość wzbija się najwyżej, a równocześnie została najciężej obrażona, pani jeszcze – myślała. Kleopatra zabiłaby mężczyznę, który zrobiłby coś takiego. Także pani Pompadour by go zasztyletowała. A pani ograniczyła się do żalostnej próby. Połowicznie odważyła się pani, ale nie dorosła pani do czynu. Nie jest pani czystym popędem ani czystym duchem – ani połączeniem jednego i drugiego. Tylko mieszaniną. Mieszaną. Nie kobietą. Tylko kobiecą istotą. Jak wszystkie. Będzie pani żyć dalej. Niech pani szybko wyjdzie za mąż...

Markiz zamilkł. Kobieta siedząca przed nim podniosła się z miejsca i rzekła gwałtownie:

– Jest pan... Proszę mnie zostawić! Natychmiast! I nigdy już nie przychodzić. Nie chcę pana więcej widzieć.

I wyszła z pomieszczenia... Popatrzył za nią. Uśmiechnął się, biorąc kapelusz. Wiedział, że już jutro ją posiadzie, a ona będzie całować wąską bliznę na jego ramieniu, sądząc, że zasnął i tego nie zauważy.

INSZALLAH

Clerfayt wahał się, gdyż na wschodnim krańcu pustyni nadal widział karawanę, która dwie godziny wcześniej przechodziła obok namiotów. Podążała z Bagdadu i udawała się do Basry. Wielbłądy szły ciężko objuczone gumą arabską, kadzidłem, wonnymi przyprawami i angielskimi towarami metalowymi. Idąc inochodem, kołysały się na boki niczym palmy daktylowe w początkach samumu. Ciemne sylwetki poganiaczy rysowały się ostro na tle wieczornego nieba, jakby wycięto je z nocy. Zmierzch nadciągał falami w kolorze fioletowym, za godzinę powinny błyszczeć wszystkie gwiazdy.

Gdyby wziął teraz klacz wąskiej w biodrach, może jeszcze dogoniłby karawanę przed nocą; klacz bowiem kochała go, a on znał słowo, które trzeba jej szepnąć na ucho, aby pędząc jak wiatr, pokazała kopyta nawet gniademu ogierowi szejka. Czyż i przewodnik karawany nie wziął Clerfayta na stronę i nie poradził mu, żeby się do nich przyłączył, z tutejszymi Beduinami to jakaś diabelska sprawa, a tamten chudy osobnik – niech to lichy – raczej nie wygląda na kogoś, kto obserwuje Clerfayta z miłością.

Clerfayt wahał się; w końcu jednak znowu stanęło mu w pamięci tamto dziwne przeżycie podczas popołudniowego polowania, gdy umierająca antylopa, którą postrzelił dwa centymetry zbyt głęboko, patrzyła na niego swym aksamitnym ciemnym wzrokiem. Czuł się znowu w zagadkowy sposób wyniesiony w górę, ponad byt, jakby przeszłość i przyszłość zostały nagle odcięte i gdzieś opadały, zniknęło poczucie siły ciężkości, wszystko wydawało się osobliwie znajome. Namioty, kolczaste zarośla, karawana na horyzoncie, mrużenie Arabów w namiocie, skoczek u jego stóp i nakrapiany w czerwone cętki kaktus, przed którym siedział gryzoń... jakby wszystko to zdarzyło się już wcześniej. Clerfayt uzmysłowił sobie, że jest tutaj po raz pierwszy, nigdy też nie był w podobnej okolicy, mimo to wrażenie nie ustępowało. W jakimś sensie budziła się w nim świadomość zapętlenia losowego. Czyżby otworzyły się drzwi, które były dotychczas zamknięte? Czy z za kulis egzystencji wylaniało się mgliście powiązanie ze światem? Czy przysł jakiś czar? Dopelniał się krąg? Tylko kiedy to wszystko miałoby już być? Hindusi opowiadali takie dziwne historie...

Ale jeśli to już było – to czy zawsze nie może być gorzej? Clerfayt uśmiechnął się nieco ironicznie na myśl o swojej sofistyce, czuł jednak, że wyniosła go ona poza zaklęty krąg i pozwoliła mu odzyskać lekką niewymuszoną przypadkiem, a tym samym wolność decyzji i swobodę ruchów w działaniu. Wszedł do namiotu.

Smukła podniosła niedbale nogę ozdobioną złotymi obręczami. Jej oczy miały kształt migdałów i były bardzo duże. Brzuch miała wytatuowany w kolorze niebieskim i czerwonym, pępek – połączony. Paznokcie ufarbowała henną, którą nabyła w ramach handlu wymiennego od wędrownych kupców tureckich.

Clerfayt pocałował ją przelotnie w jakieś miejsce i wziął kilka daktyli. Łamana francuszczyzną szepnęła do niego, że szejek wyjechał do sąsiedniego plemienia po pokarm służący za wabia dla gepardów. Clerfayt obojętnie skinął głową i wyrzucił daktyle; nie smakowały mu. W namiocie czuł coś, co było obce i nowe, ale nie wiedział co.

Kiedy rozglądał się dokoła, smukła gruchająca obok niego wydała nagle piskliwy okrzyk i wyginając się elastycznie, ugryzła go w ramię. Zadzwończyła bransolety, oddech miała przyśpieszony, charczała gardłowo. Jej skóra połyskiwała w półmroku niczym klepana miedź.

Clerfayt, nie zważając na te odgłosy, wyzwolił się ostrożnie z jej objęć i położył ją na matach w kącie namiotu.

– *Doudou goo* – powiedział, ale nie pogłaskał jej ani nie patrzył na nią.

Wiedział już bowiem, co czuć w namiocie: zapach drapieźnika. Potem odkrył również otwór w kącie i wyjrzał przezeń. Na zewnątrz, tuż przed nim, przywiązane były łańcuchami dwa gepardy używane do polowań.

Pochodziły z Azji Mniejszej, gdyż sierść na grzbiecie miała szorstką i plamki po bokach. Linie prowadzące od policzków do przednich łap wyróżniały się bardzo szlachetnym rysunkiem. Zwierzęta zaczęły warczeć, kiedy go zwęszyły. Jedno podpełzło całkiem blisko i obwąchiwało go. Wyczuło obcą rasę. Następnie podniosło się i popatrzyło na Clerfayta. Tęczówki w zielonych ślepiach były zupełnie nieruchome.

Clerfayt leżał bez ruchu i wpatrywał się w ślepie drapieźnika. Zapomniał o bladobrazowej kobiecie, która dla niego położyła sobie pępek i ufarbowała paznokcie na czerwono. Nie czuł, że nim potrząsa. Chce odciągnąć. Dotyka pierściami jego policzka. Głaszcze go. Patrzy na niego. Z przerażeniem. Odpełza z powrotem w kąt namiotu. Podciąga pod brodę smukłe kolana i tak nieruchomo siedzi dalej...

Szybko zrobiło się ciemno. Człowiek i zwierzę leżeli w milczeniu naprzeciw siebie. Wąskie szparki oczu geparda rozszerzyły się, a źrenice powiększyły. Płonęły niczym ciemna purpura. Żarzyły się w ciemności. Clerfayt nadal leżał bez ruchu.

Wtem zwierzę skoczyło niespodziewanie w bok i zawarczało radośnie. Szczęknał łańcuch. Rozległy się głosy. Do namiotu wszedł szejek, a za nim chudy. Stwierdził, że było ciemno i że biały był wcześniej sam z wąską w biodrach.

Szejek oznajmił, że rano będą polować z gepardami, i zabrał się do przygotowywania dla nich kapturków. Do namiotu weszło jeszcze kilku ludzi. Bajarz opowiedział historię o chorym z miłości emirze i żonie sprzedawcy wody,

która go leczyła. Clerfayt był jednak rozkojarzony i milczał. Wcześniej położył się spać.

Następnego ranka zbudziło Clerfayta a prychanie zwierząt. Zerwał się na nogi i wyszedł z namiotu. Pustynia w porannej woni przypominała sen w delikatnej glazurowanej powłoce złota i akwatynty. Błyszczały w słońcu zęby koni. Szejk założył gepardom kapturki i wyruszone.

Za kępami solanki kolczystej i krzakami katu pojawiło się kilka pawianów płaszczykowych. Groteskowymi skokami popędziły do gajów tamaryszkowych – kto wie, skąd się tu wzięły... Nagle koń Clerfayta spłoszył się i zaczął dygotać. Na ziemi wiła się czarniawa nić: żmija nosoroga.

Kiedy zbliżyli się do mięsistych krzewów aloesu, między którymi rosły pojedyncze drzewka balsamowe, chudy wypatrzył stado antylop. Objechano najbliższe pasmo wzgórz, żeby podejść zwierzęta pod wiatr. Następnie szejk z gepardami zaczął podkradać się dalej. Gdy znalazł się wystarczająco blisko, zdjął im kapturki i ściągnął łańcuchy. Gepardy podjęły trop i zaczęły się uważnie rozglądać, po czym bezszelestnie ruszyły naprzód tuż przy ziemi.

Samiec z białą brodą rzucił rogami w górę. Poturlało się parę kamieni... Gwizd – i stado antylop błyskawicznie zerwało się do ucieczki, drapieżne koty tuż za nimi. Wszyscy ludzie wskoczyli na konie, popuścili cugli i popędzili.

Antylopy śmigały po piasku pustynnym, szczupłe, mocno wyciągając kończyny i wysoko podskakując, ledwie dotykały ziemi.

Gepardy jednak sadyły elastycznie długimi skokami, które wyprowadzały ze stawów; niczym szare kreski pędziły dalej jako bezszelestna, ścigająca, szara śmierć.

Clerfayt widział, jak odstęp się zmniejsza, jak koty zbliżają się potężnymi susami, czuł żądzę mordy, która dawała tę wytrwałość stalowym ścięgom – czyż w jego wnętrzu nie pełzła w górę niczym pajak jakaś dzikość? Wyływała z niego, zaciskała palce w szpony, karząco przeszła drzeniem przez ciało, czyż nie pieniała się tam jakaś ciemna fala, czy na ziemię nie spadło coś, na co nikt nie zwrócił uwagi, nazwa, istnienie, czy skóra lamparta nie stała się jego skórą, czy tam nie krzyczała...? Ryknął na całe gardło i mocniej ścisnął klacz ostrogami.

Gepardy zmniejszyły odległość do kilku metrów. Wtem samiec przewodnik stada obrócił się i spuścił łeb uzbrojony w rogi. Pierwszy gepard zareagował jednak elastycznie i skoczył na niego z boku, chwycił go za kark i rozerwał mu żyły. Spieniona krew zalała kark drapieżnego kota. Samiec zachwiał się i upadł. Krwiożercza bestia natychmiast go wypuściła i powaliła kozłatko. Tymczasem drugi rozplątał brzuch ciężarnej antylopie. Pozbawione przewodnika stado zawróciło i popędziło w stronę jeźdźców. Huknęły flinty, konie pogalopowały za stadem, które rozpięchło się w panice, zaczął się pościg.

Gdy Clerfayt zaczął znowu myśleć, znajdował się sam w jakiejś dolinie. Zsiadł z konia i poklepał klacz po szyi. Przed nim kucał skoczek przy kaktusie nakrapianym w czerwone cętki. Na widok gryzonia uśmiechnął się.

Widział, jak chudy celuje do niego. Zdażył błyskawicznie pomyśleć: Muszę na niego patrzeć! Powstrzymać jego dłoń wzrokiem! Zawołać do niego, że to z wąską w biodrach to nieprawda!

Ale chwilę później zalało go znowu tamto dziwne uczucie; znowu poczuł obezwładniający czar. Czyż nie chciał jeszcze...? Ostatnim wysiłkiem woli podniósł jednak czoło i uśmiechnął się.

Chudy nie mógł widzieć, czy to była ironia, czy już coś innego. Wystrzelił, a wtedy Clerfayt pochylił się i upadł. Twarzą w piasek. I tak pozostał.

KAI

Nad Zatoką Inglefield doktor Knudsen stwierdził, że rośnie tam nie tylko *Parrya arctica* oraz różne gatunki *Saxifraga*, ale już nawet kilka *Geum glaciale*. Zaczynało się zatem lato. Dwa tygodnie później śnieg zrobił się wilgotny i załamywał się pod ciężarem psów. Każdy uczestnik ekspedycji musiał pomagać w ciągnięciu sań. Pilnowanie przyrządów i zbiorów kosztowało Knudsenowi wiele trudu, gdyż Eskimosi opadli z sił i chętnie by zgubili ciężki ładunek. Wreszcie ekspedycja dotarła do Etah. Mieszkańcy wybiegli z domów, przynieśli słoninę i focze mięso. Postanowiono na razie się zatrzymać i przejrzeć zbiory, a potem podjąć próbę zdobycia bieguna bez przyrządów naukowych. Eskimosi ostrzegali jednak i opowiadali o losie ostatnich trzech ekspedycji. Wtedy Knudsen zaczął się wahać. Wszyscy przychodzili do Kaia, żeby go namówić do rezygnacji z dalszej jazdy i przewiezienia bogatych zbiorów na Ziemię Baffina, aby wrócić w porę razem z wielorybnikami. Kai pokręcił jednak tylko głową i nawet ich nie słuchał.

Podobno studiował w Sztokholmie, ale nikt nie wiedział nic bliższego. Ponoć był człowiekiem bogatym i poważanym i miał nadzwyczajną żonę, którą opuścił bez powodu. Wiedzano, że już dwa razy atakował biegun, raz z Nowej Ziemi, drugi raz przez Cieśninę Beringa. Teraz wyruszył z Ziemi Króla Wilhelma i saniami zaprzężonymi w psy dotarł wraz z Eskimosami do Etah przez pak lodowy Grenlandii.

Szukał w życiu czegoś, na czym mógłby się oprzeć. Bystry umysł strzegł go przed mieszaniem mamidła uczuć i kuglarstwa krwi z realizacją pragnień. Dzięki temu prędko dotarł do granic, za którymi zieleń chaos. Ponieważ tymczasem zapomniał o pojęciu szczęścia jak inspektor rolniczy o wojnach trojańskich i ponieważ poza tym pięćdziesiąt czy sto lat jego przejściowego pobytu na powierzchni ziemi wydawało się czasem zbyt krótkim, żeby rozpocząć jakiś dochodowy interes, nie zastanawiając się długo, uczynił ze swego szukania właściwy cel: przelatywanie nad coraz bardziej zamrożonymi morzami, coraz odleglejszymi firmami, coraz bardziej bezkresnymi przestrzeniami – tylko latanie. Dla kaprysu rozpoczął ekspedycję polarną, która miała wyznaczyć jego los.

Kiedy śnieg stał się na powrót twardy, Kai zapytał, kto chce z nim iść. Zgłosili się Knudsen i czterech Eskimosów. Na sanie załadowano prowiant na dwa miesiące i amunicję. Psy były wypoczęte i nosiły ogony zadarte wysoko. Wkrótce potem Etah pogrążyło się w kurzawie śniegu.

Po przejściu na północy przez lodowiec Humboldta Kai ustrzelił dwie foki, a Knudsen wołu piżmowego. Obozowali przez dwa dni. Dalej na wschód stopniowo zanikała wszelka roślinność. W następnych dniach ich łupem padły dwa chude zające bielaki. Trzeba było napocząć wieziony prowiant. Wieczorem ponad linią paku lodowego na Ziemi Waszyngtona zawisła zorza polarna, która powoli rozpadała się na zielone i żółte pasma. Ale przez całą noc żarzyła się jeszcze czerwono na horyzoncie. Spadł śnieg.

Psy szły dalej bardzo wolno; zadymka niemal je porywała. Zmniejszono im racje żywności o połowę. W nocy trzy z nich przegryzły rzemienie, którymi były przywiązane do kołków namiotowych, i wyżarły najlepsze mięso.

Knudsen zachorował. Eskimosi widzieli na wybrzeżu pingwiny wędrujące w głąb lądu. Zima stawała się coraz bardziej surowa.

Darjak, najlepszy łowca fok, zaproponował Kaiowi, żeby zawrócić. Ten jednak pokręcił tylko głową i dalej go nie słuchał.

W końcu dotarli do fiordu DeLong. Mimo że w lodzie były wyrąbane otwory, nie widzieli żadnych fok. Kai kazał zostawiać butelki z wiadomościami o przebiegu podróży i dla oznaczenia usypywać nad nimi kopczyki z kamieni. Potem przeliczył prowiant, który powinien wystarczyć jeszcze na miesiąc. Knudsen był bardzo osłabiony. Powiedział Kaiowi, że to szaleństwo. Ale ten tylko się uśmiechnął.

Następnego dnia na 83°12' zobaczyli dyszel od żelaznych sań wetknięty w kamienny kopiec, a w pobliżu ślady niedźwiedzi polarnych. Po czterech godzinach znaleźli miedziany cylinder z wiadomościami od Lockwooda z 12 lutego 1882 roku. Dopiero następnego dnia dokopali się dostatecznie głęboko, żeby natrafić na paczki z żywnością. Mimo że upłynęło dużo czasu, puszki z pemikanem były jeszcze niemal świeże. Kai rozdzielił cztery puszki, a resztę kazał zakopać jako bazę prowiantową na podróż powrotną. Potem ruszyli dalej.

Roślinność zanikła zupełnie. Dwoje sań się złamało i trzeba je było prowizorycznie naprawić. Na niebie coraz częściej wisiała zorza polarna. Chude psy nie mogły iść dalej i po prostu się położyły. Trzeba było zsiąść i iść przed nimi, żeby zachęcić je do dalszego marszu. Sierść miały zmierzwioną i matową. Ogony zwisały nisko. Wyglądało na to, że Knudsen ma skorbut. Kai milczał.

Zadymki gładko wymiotły lodowiec na błysk i popychały wyjące ze strachu psy wraz z saniami po gładkim lodzie. Kai kazał im zrobić futrzane boty i przywiązać pod łapy. Wkrótce potem Darjak wpadł w przysypaną śniegiem szczelinę w lodzie i złamał rękę. Knudsen wymiotował krwią. Psów nie dało się już zmusić do ciągnięcia sań. Kai kazał zabić trzy z nich i dać mięso pozostałym; te warczały i zjadły łykowate mięso dopiero następnego ranka.

Wszyscy zebrali się w namiocie Kaia. Nikt jednak nie chciał tego głośno powiedzieć. W końcu zaczął Knudsen. Że są już w odległości dwudziestu pięciu dni drogi od zapasów żywności. Prowiantu wystarczy jeszcze na dwanaście dni. Jeśli policzyć po pół racji żywnościowej dziennie, to da dwadzieścia cztery dni.

Psy są wychudzone, ludzie wycieńczeni i chorzy. Nie ma sensu iść dalej choćby na krok, bo można nie wrócić. Już teraz jest co najmniej wątpliwe, czy to się uda.

Kai długo patrzył na niego. Wreszcie powiedział:

– Masz rację.

Wyszedł przed namiot, gdzie stały sanie, jedno z nich zepchnął na bok. Wziął pięć psów i uwiązał je przy saniach na paliku. Zapakował na nie prowiant i rzekł do Knudsena:

– Jest nas sześciu, mamy sześć sań i trzydzieści dwa psy. Na jednego człowieka przypadają jedno sanie i pięć psów. Dobrze liczę? – A gdy ten, nie rozumiejąc, skinął głową, zapytał: – Czy to, co leży na tamtych saniach, to za dużo prowiantu dla jednego człowieka? – Ponieważ Knudsen pokręcił głową, Kai, odwracając się już, dodał na koniec: – Jutro rano wyruszyście z powrotem. Do bazy prowiantowej dotrzecie tylko pod warunkiem, że zabijecie jeszcze sześć albo osiem psów i je zjecie; z żywnością, którą zabierzecie, powinniście dotrzeć do Zatoki Humboldta; może tam upolujecie zające albo foki, w przeciwnym razie będziecie musieli zabijać kolejne psy, dopóki nie znajdziecie się pięćdziesiąt kilometrów od Etah. Wtedy rozbijecie obóz, wpełzniecie do śpiworów i wyślecie dalej Darjaka z ostatnim psem, żeby sprowadził pomoc z Etah. – A gdy Knudsen spojrział na niego pytającym wzrokiem, dorzucił jeszcze: – Ja jadę dalej...

Nie dał się odwieść od tego zamiaru, choć pozostali bardzo go prosili, protestowali, chcieli nawet użyć siły. Powiedział tylko, gdy Knudsen udowodnił mu, że to pewna śmierć:

– Wiem o tym...

Po czym umilkł i zwrócił oczy na północ.

Następnego dnia w południe zrezygnowali w końcu z dalszego przekonywania. Musieli wracać, w przeciwnym razie wszyscy umarliby z głodu. Knudsen rozplakał się, całując Kaia na pożegnanie. Potem zawrócili sanie.

Kai stał przed namiotem i patrzył za nimi. Wołali do niego i machali mu. Machali. Machali. Na paku lodowym kładły się kobaltowoniebieskie i delikatne jak altówka cienie; szczeliny lodowcowe błyszcząły w słońcu niczym szmaragdy. Iskrzył się cały świat wokół Kaia.

Machający zaczęli się zmniejszać. Kaia opadły wspomnienia bibliotek i nocy pełnych rozmyślań: dźwięki dzwonów, rozległe łąki, obłoki, poczucie osamotnienia; żrąca ironia świata, ucieczka na ciepły grunt instynktu; wspomnienia miękkich piersi kobiecych i wąskich, bardzo chłodnych dłoni; wspomnienia oczu i ciepła, ciepła i pięknego okłamywania samego siebie.

Machający zniknęli za zakrętem – wspomnienia zgasły. Kai podniósł czoło. Ale co to było? Czy to było jego życie?... Nie wiedział już, zapomniał już swoją przeszłość... Zaprzęgał do sań psy. Dał im jeść. Jeszcze raz popatrzył za siebie. Wtedy zniknęło też wszystko, co było wokół niego, zapomniał o wartościach takich, jak śmierć i życie, sens i cel, zawałiła się różnorodność, równina przed

nim wznosiła się, błyszcząc, poza słowami i uczuciami. A gdy uniósł stopę, by postawić pierwszy krok w kierunku północnym, mający zawieść go ku śmierci, poczuł w nagłym, niesamowitym odruchu odurzenia, że to coś więcej niż wszystko inne, że on w tym momencie zaczyna, że cały jego byt się wypełnia, że wyruszając teraz w wędrówkę bez granic, wychodzi daleko poza siebie i trafia w samo serce wielkich powiązań i kulis światowych – czy niebo nie wpadło już w jego mózg? – czy morze nie kipiało już w jego żyłach? – Wyciągnął ręce w górę i ruszył na północ.

GODZINA

I

Akurat w momencie, gdy lady Kinsley chciała się odwrócić i jeszcze raz rzucić okiem na port i zatokę Rio de Janeiro za palmami, ogarnęło ją dziwne uczucie: krąg widzenia wydał jej się nagle wypadnięty z czasu, w magiczny sposób przemieniony w niesamowitą ciszę, która nie miała granic. Miasto było spowite białym milczeniem, fala przyboju leżała bezgłośnie na plaży przed morzem niczym róg rzuconej niedbale koronki, wielkie pierzaste liście palm wystrzelały niemo w górę, w samo południe.

Na tę zabawną gonitwę myśli, fruwających wokół lady Kinsley niczym stada jasnych gołębi, nasuwały się linie w kształcie klinów, które wychodziły prosto z krajobrazu i swoją siecią udaremniały swobodny lot. Oplatały myślenie jak krata, wpychały się na nie i naraz, nie natrafiając na opór, objęły władzę niczym poważny los.

Lady Kinsley, nie potrafiąc się wyzwolić z tego czaru, wiedziała, że nadeszła jedna z godzin, kiedy życie nagle zatrzymuje się w miejscu, a rzeczy nabierają tak dziwnej i potężnej mocy, że czynią człowieka zupełnie bezsilnym, bo wszelkie związki z bytem zostały wyłączone, a wszelkie połączenia zawieszono. Pojęła, że w tych godzinach ponownego tajemniczego podporządkowania prawom natury wydana jest nieuchronnie demonicznej władzy przypadku, a wtedy nawet błahy incydent może zadecydować o dalszym przebiegu życia.

Lady Kinsley odczuwała samą siebie jako głęboki wydech, oddanie się bez konkretnego celu, oczekiwanie bez imienia. Zapomniała człowieczeństwo i strukturę rozpoznawania, jako głęboko spokrewniona z naturą czuła się otwarta i gotowa.

Ponad niebieskoszara skała na zakręcie drogi pojawił się łeb lamy. Zwierzę człapało powoli przed siebie. Obok niego szedł poganiacz. Spod rozpiętej na piersi koszuli wyglądała skóra w kolorze brązu. Dzika broda ocieniała usta. Kiedy przechodził obok niej, podniósł rękę do kapelusza i pozdrowił ją, po czym głośnym okrzykiem popędził zwierzę dalej.

Jego okrzyk zabrzmiał jak dzwon. Podniósł się lekki wiatr, palmowe liście szeleściły, głucho huczało morze; lady Kinsley przetarła dłonią oczy. Co to było?

Popatrzyła za oddalającym się mężczyzną, który szedł wolno obok swego zwierzęcia. Przed niskim domkiem zatrzymał się na chwilę. Lady Kinsley

uśmiechnęła się na myśl o własnych obawach. Żeby dowieść samej sobie odwagi, a poza tym bezpodstawności przesądu, podażyła za nim i zagadnęła go, pytając o drogę. Odpowiedział krótko i wcale nie opryskliwie. W przystępie nagłej ulgi, przepełniona uczuciem wdzięczności, dla której nie miała podstaw, podała zdumionemu rękę, której ten dotknął z wahaniem, i ruszyła szybkim krokiem w stronę swego wozu, czekającego poniżej.

II

Frederic O'Connor przyniósł lady Kinsley orchidee z wzorem w kształcie płomienia, ich płatki miały pośrodku purpurową kreskę. Długo wdychała chłód kwiatów i czuła na policzku aksamitny dotyk płatków niczym furkot skrzydła ważki.

Rozmowa z Frederikiem O'Connorem uspokajała ją w tak dobroczynny sposób, że niemal ją to dziwiło, i zadawała sobie pytanie, co takiego w niej miałyby być uspokajane. Przelotnie stanął jej w pamięci pogrzeb, który odbył się w południe, ale zaraz porzuciła tę myśl. Wszystko było zbyt pewne i zbyt znany był świat, żeby miała dłużej zagościć w jej głowie.

Przy herbacie lady Kinsley zrobiła się humorzasta. Wielekroć nie zgadzała się z O'Connorem i była rozdrażniona, kiedy próbował ją poprawiać. Choć zaraz potem pojmowała, że nie ma racji, w krótkim czasie znowu robiła to samo. O'Connor był zdziwiony, uważał jej protesty za objaw zmęczenia lub niedyspozycji i traktował je pobłaźliwie. Szybko się jednak zorientowała i uznała to za kolejny powód do złości. W końcu wytłumaczyła się migreną i wycofała do swoich pomieszczeń.

Lady Kinsley wiedziała, że najlepszym sposobem na przewyciężenie złego nastroju jest dokładna i obiektywna analiza stanu własnej duszy. Zbadała więc skrupulatnie swoje wnętrze i zrobiła rachunek sumienia, ale rezultat jej nie zadowolił.

Dzień był jakby posypany popiołem. Jako mdłe i zużyte jawiły się ulubione zwyczaje, odarte z sensu uznane rytuały. Wydawało się, że podświadoma burza zmieniła miarę i ocenę. Pojawił się niepokój, który nie dawał się uciszyć.

Oderwała ją od tych myśli przejażdżka łodzią po porcie. Rozstępująca się pod nią wciąż tak samo woda neutralizowała niepokój i dawała lekkie uczucie równoległego bezpieczeństwa. Na powierzchni woda była ogrzana słońcem, ale można było sobie wyobrazić, że głębiej znajdują się chłodne prądy.

Podczas kolacji jedzonej w towarzystwie Frederica O'Connora lady Kinsley z lekkim zaskoczeniem stwierdziła, że istnieje między nimi zasadnicza różnica charakterów. Nie za bardzo rozumiała, dlaczego nie zauważyła tego wcześniej. Poprawność manier, którą u niego ceniła, była nudna, ton rozmowy, oparty na

długiej i dobrej znajomości, wydał jej się niemiłe poufały. Pożegnała się zniechęcona.

Następnie kazała kierowcy zawieźć się do teatru. Tam wysłuchała jednego aktu opery. Zanim zaczął się drugi, opuściła swoją lożę. Niezdecydowanie kroczyła przez foyer. Jej niepokój przekształcił się w podniecenie i łagodną gorączkę zbliżających się z drżeniem przeczuć, które garnęły się do niej niczym strwożone charty.

Świeży wiatr przed budynkiem przywiał nagle tęsknotę za nocnym powietrzem na górze Corcovado. Lady Kinsley od razu oddała się temu uczuciu, ponieważ okazało się ono najsilniejsze i było najmocniej akcentowane przez cały dzień i w ten sposób dowiodło swoich praw. U stóp góry, gdzie szosa zaczęła się wspinać, wysiadła.

III

Noc przypominała szatę, tak gęsta była ciemność cieni pod drzewami. Jakiś ptak skarżył się w listowiu, potem coś zaszeleściło i umilkł. Zalana światłem księżycy szosa błyszczała. Lady Kinsley podążała nią krok za krokiem, z pochyloną głową, nie podnosząc wzroku. Kiedy blask trafił w jej skronie, rozejrzała się dokoła.

Pod nią leżało miasto z tysiącami świateł niczym błyszczący klejnot na aksamicie nocy. Blisko brzegu blask zataczał drżące spirale w spokojnej wodzie. W kierunku południowym światła wspinały się po zboczach gór w głębi i wisały na nich niczym robaczki świętojańskie. Księżyc tkął ponad falami szeroki pas swej poświaty, wcześniej jednak, przed tym zaczarowanym światem, wznosił się jako czarny rygiel zamek Pao d'Assucar.

Lady Kinsley odwróciła się. Palmy obok niej wyciągały w górę pierzaste liście. I nagle pojęła wszystko.

Niczym sokół rzuciła się na nią jej własna krew; przed nią pękły wszelkie hamulce, rozplynęły się, rozpadły, zostały splukane, uległy zapomnieniu. Krew rozprzestrzeniała się, rozwijała i rozkwitała w mistycznej fluorescencji tajemnych łańcuchów i najstarszych powiązań. Droga jawiła się w upiornym świetle księżycy niczym srebrna żyłka uczucia; ciężka jak plaster miodu, skondensowana przyszłość wydawała się zmagazynowana w tych skałach przy zakręcie szosy. Świat był pakiem kwiatu lotosu przed rozkwitnięciem; tylko jedno tchnienie i będzie musiał się otworzyć.

Lady Kinsley szła dalej, nie zdając sobie z tego sprawy. Czuła harmonię między rytmem własnych kroków a ciemnym pulsowaniem w swoich żyłach, czuła, jak lunatyczna pewność spowijają niczym płaszcz ochronny. Wszystkie bramy były otwarte i zerwane pieczęcie z wszystkich zagadek. Wszystko było

proste i dobre i na wszystkie pytania była ta sama odpowiedź. Znajdowała się ona poza słowami i nigdy nie traciła barw w królestwie pojęć. Trzeba było do niej podejść, wtedy się objawiała.

Lady Kinsley szła, niesiona swoją krwią i tym, co w niej drgało. Niczym spełnienie wyszedł jej naprzeciw niski domek, w którym migotał czerwony ogień. Wciągnęła w nozdrza wilgotny zapach bydła niczym znajomą woń, kiedy przechodziła przez sień, i nie wystraszyła się, gdy z pokoju wyszedł mężczyzna.

W smudze światła rzucanego na korytarz przez lampę pomiędzy nim a drzwiami pokoju ujrzała brązową pierś pod rozpiętą koszulą. Pochyliła głowę i zrozumiała jedyny los przeznaczony kobiecie. Z pokorą niczym dziecko oczekiwała mężczyzny, który nie pojmował nic z tego, co działo się w jej wnętrzu, a mimo to wziął ją w milczeniu i spieszenie.

TKACZ DYWANÓW Z BEJRUTU

Przez cały dzień widzieliśmy zaśnieżone szczyty Libanu, ale pogoda była niespokojna i wiatr wiał od lądu; dlatego *Anne Lane* nie mogła zawinąć do portu. Wieczorem bryza przycichła i zarzuciliśmy kotwicę w porcie zewnętrznym.

Morton chciał natychmiast płynąć na ląd. Przez dwa tygodnie widział tylko niebo i wodę, a wieczorami słuchał drugiego mata grającego na harmonijce melancholijne melodie. Kazaliśmy się przewieźć małą łódką do pomostu.

Przez kładkę rzucili się na nas sprzedawcy pomarańczy i handlarze walutą. Arabskiemu boyowi hotelowemu powierzyliśmy swoje walizki. Pisarze listów pidżinową angielszczyzną namawiali nas do korzystania z ich usług, milczący Beduini próbowali nas okraść, żebracy prosili zawodzącym głosem o bakszysz, tragarze zatrudnieni przy wyładunku krzyczeli, dzwoniły łańcuchy obejmujące ładunki, wielbłądy ryczały, a od południa zbliżał się do nas wieczór, niosąc woń pomarańczy.

W gliniastych uliczkach przedmieścia mieszkańcy kucali przed domami. Ich milczenie po hałasach w porcie było jak zaczarowane. W jednej z małych gospód wzięliśmy coś do picia. Oprócz wody z lodem oberżysta przyniósł maleńkie miseczki z orzechami laskowymi, jagodami, plasterkami rzodkiewek, groszkiem w strączkach i pokrojonymi w kostkę zimnymi kartoflami. Postawił wszystko przed nami na ziemi i uklonił się bez słowa. Następnie usiadł na swoim miejscu i pewnie dalej śnił nad swoimi nargilami.

Z oddali słychać było odgłosy przyboju. Od czasu do czasu mieszało się z nimi monotonne, senne zawodzenie właścicieli sklepów, wiszące między domami, nad którymi błyszczał śnieg pokrywający góry. Nasiliła się woń płynąca z gajów pomarańczowych.

Kazaliśmy sobie pokazać drogę i ruszyliśmy powoli przez gaje, aż doszliśmy do Psiej Rzeki¹. Rzeka miała kamieniste dno i była prawie wyschnięta. Przeglądało się w niej błękitne niebo.

W drodze powrotnej zaskoczył nas zmierzch. Kiedy dotarliśmy do pierwszych ulic, prawie natychmiast nastąpiła noc. Wielokrotnie musieliśmy pytać o nasz hotel, ale tubylcy kręcili głową, otulali się mocniej w swoje chusty i prędko przechodzili dalej. Szliśmy więc na los szczęścia ciemnymi uliczkami, żeby dostać się na jakiś ruchliwy plac i tam zapytać znowu.

¹ (Arab.) Nahr el-Kalb, dawna nazwa: Lykos (wszystkie przypisy od tłumacza).

Przed nami połyskiwało coś w ciemności: jakaś biała szata.

– To kobieta – powiedział nagle Morton.

Cień i światło igrały niepewnie w fałdach szaty. Na biodrach materiał był naprężony, tam błyszczał jaśniej. Z kroczącej bezszelestnie przez noc w niepewnym świetle gwiazd spływało jakieś dziwne kuszenie. Kuszenie wszystkiego tego, co nie ma imienia i jest nieokreślone.

Podążyliśmy za kobietą prawie nieświadomie. Rytmicznie, w takt jej kroków, zmieniały się miejsca jasne i ciemne na spokojnie spływającej arabskiej sukni. Domy rzucały długie, ciężkie cienie, ale wszystkie krawędzie były obramowane blaskiem. Ulice stały się szersze, skądś dobiegł stłumiony ryk osła, strumień światła z kawiarni wystrzelił nagle przez plac niczym pocisk. Jakiś rusznikarz, który pracował kiedyś we Frisco, pokazał nam drogę do hotelu.

Gdy parę dni później siedziałem na bazarze i oglądałem stare monety, podszedł do mnie podniecony Morton z wiadomością, że widział znowu tamtą kobietę. Wchodziła do domu pewnego tkacza dywanów. Miałem pójść tam z nim. Kupiłem jeszcze kilka motyli z dziurką i dwa ząbkowane, wygięte bezszelki, po czym z wahaniem udałem się wraz z Mortonem do owego domu.

Tkacz dywanów siedział przed jakąś dużą robotą. Zaproponował nam poduszki do siedzenia i poczęstował papierosami. Kiedy zdjęliśmy buty i usiedliśmy, uklonił się i powitał nas słowami:

– *Letlak saïde.*

Klasnął w dłonie i zjawił się służący z małą miską czarkami do mokki i paroma płaskimi chlebami. Potem wniesiono winogrona i czarne oliwki.

W czasie gdy pertraktowałem ze starcem o cenę małego zielonego dywanika modlitewnego, do pomieszczenia weszła kobieta. Nie miała zasłoniętej twarzy. Morton zbliżył się do niej i zaczął z nią rozmawiać. Posłałem mu ostrzegawcze spojrzenie. Nie zauważył tego, ale starzec się uśmiechnął.

Zapytałem go, czy jego kobiety nie pozostają w swoich pomieszczeniach. Badawczo podniósł na mnie wzrok, po czym powiedział:

– Nikt nie potrafi zbudować tak mocnych murów, żeby kobieca przemysłność nie znalazła przez nie drogi na drugą stronę. Jedynie ściany myśli są nie do przejścia. Ludzi można przywiązać do rzeczy; wówczas los rzeczy jest również ich losem...

Wyjawiał mi, że ma po matce perską krew. Jego ojciec był jak on tkaczem dywanów. Także jego dziadek spędził żywot przed kolorowym jedwabiem. W ciągu jednego życia można utkać właściwie tylko jeden dywan; jego ojciec potrzebował trzydziestu lat, aby wykonać dywan modlitewny dla kalifa. Tą niedokończoną robotą, która stoi w głębi, on sam zajmuje się od osiemnastu lat. Tyle samo, ile jego żona liczy wiosen.

Poprosiłem, żeby pozwolił mi go zobaczyć, i otrzymałem ponowne zaproszenie. W drodze do hotelu czyniłem Mortonowi wyrzuty: powinien się mieć na baczności, z muzułmanami nie ma żartów, gdy chodzi o kobiety.

Morton roześmiał się i pokazał w kierunku swojego konsulatu.

Często przyglądałem się starcowi przy pracy. Dywan miał niezwykle wzór. Spośród arabesk przedstawiających maskary wylaniały się dwie postacie. Bliżej brzegów dywanu ich ruchy były sztywno stylizowane; pośrodku podnosiły się w postaci łukowatych linii. Obie były już skończone z wyjątkiem głów.

Starzec przeciągał w milczeniu kolorowe nici; zdawał się nie zauważać, że Morton szepcze z jego żoną. Na napiętej tkaninie oraz częściej pojawiał się zagadkowy ornament w dwóch kolorach: błękitnym jak płaszcz Madonny i purpurowym z syryjskich ślimaków. Przesiadywałem godzinami w chłodnym warsztacie i przyglądałem się. O zmroku zlewające się barwy wypełniało tajemnicze życie; owijały się one wokół siebie i przeplatały niczym tańczące kobry.

Kiedy Morton powiedział mi, że po południu spotka się z kobietą sam na sam, starzec zaczął tkać głowy swoich figur. Pracował gorączkowo, szybko, prawie nie podnosił oczu i mruczał coś cicho pod nosem. O Mortonie nie mówił.

Przez kilka dni byłem zajęty w okolicy Bejrutu. Po powrocie udałem się do tkacza dywanów.

Był wieczór. W warsztacie paliła się lampka oliwna bez abażuru. Starzec pracował. Jego żony nie było. Migotliwe światło lampki padało na dywan.

Kolory niczym płomień lizali tkaninę od spodu. Błede ciało rozciągało się boleśnie pod zimnymi arabeskami, które wcinały się w nie jak kolce. Delikatny ruch środka zanikał w kierunku brzegów dywanu; w abstrakcyjnych ornamentach tkwiła tutaj śmierć i rozszarpywała pazurami rozmach krzyczących linii w ołowianą harmonię, obejmowała każdy dźwięk barw, sieć zasłaniającą zrozpaczone dłonie uwiecznionych. Dywan żył. Pod żółtymi, niespokojnymi dłońmi starca powstawało czoło ponad bladym obliczem. Przez chwilę wydawało mi się, że w bladej jedwabnej czaszce widzę oczy Mortona.

Późnym wieczorem Morton wrócił do hotelu. Poprosiłem go, żeby wyjechał razem ze mną, zanim stary coś zauważy i zechce się zemścić. Morton nie dał się nakłonić. Prawie przez pół nocy zachwycał się wieczorem w granatowych gajach nad Psią Rzeką. Następnego ranka poczuł lekki ból głowy. Wziął trochę chininy i wstał, żeby udać się do kolonii.

Odwiedziłem starca i zaproponowałem, żeby sprzedał mi dywan. Wzbraniał się, bo ten nie był jeszcze dokończony. Odpowiedziałem, że chcę właśnie taki niedokończony, i zaoferowałem mu tysiąc sorów. Nagle popatrzył na mnie ze złością. Wtedy weszła jego żona. Była blada i wyglądała na chorą. Tkacz nie zwrócił na nią uwagi, nie odrywał oczu od dywanu. Głowy były gotowe. Dochodziły do brzegu tkaniny w postaci stylizowanych motywów.

W południe zjawiał się w hotelu Morton. Skarżył się na wymioty i gorączkę, choć lekarz nie potrafił nic stwierdzić. Wieczorem zaczął majaczyć, jęcząc, trzymał się rękami za głowę i krzyczał, żeby przestać zaciskać niebieskie i

purpurowe szpony na jego czaszce. Jeszcze w nocy sprowadziłem lekarza. Kiedy weszliśmy do pokoju Mortona, ten już nie żył. Obok leżał jego rewolwer, w którym brakowało jednej kuli.

Natychmiast kazałem aresztować tkacza dywanów. Ten jednak potrafił udowodnić, że dokładnie w rzeczonyj godzinie przebywał w swoim warsztacie i akurat kończył wielki dywan. Nie wiedział, gdzie się podziewa jego żona. Zasugerował, że miała romans z jakimś ferenczi²; możliwe, że uciekli razem.

² Europejczyk, cudzoziemiec.

JEZIORO W NOCY

W pobliżu włoskich jezior wynajęliśmy jeden z małych domków, w których można mieszkać w zupełnej izolacji od świata. Był to niski, zaniedbany budynek z nie wieloma pomieszczeniami. Tynk na ścianach był uszkodzony, wyposażenie składało się z paru surowych rzeczy, po których wyraźnie widać było ślady długiego używania. W drzwiach brakowało zamków...

– Tutaj się nie kradnie – rzekł właściciel, kiedy pokazywał nam mieszkanie – co zresztą byłoby do ukradzenia...

Wszystko to wcale nam nie przeszkadzało. Nasze duże walizy mogły zastąpić szafy, prymitywne urządzenie dokładnie odpowiadało naszym życzeniom, a brak zamków w drzwiach – no cóż, w Indiach mieszkaliśmy w znacznie gorzej zabezpieczonych bungalowach, poza tym mieliśmy pistolety.

Do obsługiwania nas właściciel miał codziennie przysyłać swoją córkę Mariettę, jako że sam mieszkał niedaleko naszego domu. Mogłaby nam też gotować; a poza tym mieliśmy przecież ogród.

To ogród zdecydował o tym, że wynajęliśmy dom. Był zdiczały i zaniedbany. Za domem rósł wysoki dąb ostrolistny, ocieniając budynek w godzinach południowych; tam rozpięliśmy hamaki. Dróżki były zarośnięte gęstymi krzakami i pnączami, wszędzie pieniły się dzikie pomidory. Wśród liści błyszcząły nasyconą czerwienią jędrne owoce. Z boku ograniczały ogród drzewa figowe, a między nimi stała pinia niczym zaczarowana Egipcjanka wśród śniadoskórych barbarzyńców. Wiatr nie poruszał jej liśćmi; rozłożysta, pnąca się w górę korona drzewa kończyła się nagle, niemal kanciasto – jak szeroki świecznik, w którym drży błękitny ogień z nieba. Po południowej ścianie domu wspinała się winorośl, wlewając się na dach ciężką falą. Na drózkach wygrzewały się jaszczurki zielone. Kiedy ziemia zaczynała drzeć pod zbliżającymi się krokami, zmykały w płataninę liści, pędów i kwiatów. Często wyglądały potem z cienia jakiegoś liścia przedpotopowymi, zamarłymi w wyrazie obcości oczami.

Marietta pomogła nam rozmieścić nasze rzeczy. Była jasnowłosa i szczupła, tylko rozstawienie oczu zdradzało Włoszkę. Nie odpowiadała na żarty Randolfa; spokojnie i z powagą wykonała swoją pracę i zaraz się pożegnała.

Wieczorem leżeliśmy nad jeziorem i patrzyliśmy na zachodzące słońce. Randolph opowiadał o pewnej kobiecie z Kairu, która, gdy odchodził, podarowała mu rzeźbę pokrytą niebieską patyną i bardzo go prosiła, by miał ją zawsze przy

sobie, ale oglądał tylko po zachodzie słońca. I teraz czasami wydaje mu się, że długa na pięć figurka nosi rysy tamtej kobiety, i rozumie jej słowa, że ilekroć będzie patrzył na ten wizerunek, ona będzie czuła jego delikatne dłonie.

Zrobiło się ciemno i Randolph zamilkł. Po jeziorze przebiegały kolory niczym jakieś tajemnicze dreszcze. Purpurowe chmury w magiczny sposób rzucały na wodę barwny pas, prześwietlając jej powierzchnię, ale kobaltowemu błękitowi nieba dawała odpór w dziwnym odbiciu gruba warstwa odmetów. Pod nią rozciągała się wijącymi pasmami ciężka, czarnozielona toń. Podpływające ryby nagłymi zwrotami wywoływały odbłyski; widać je było w przejrzystej wodzie, jak wypływają pod powierzchnię i błyskawicznie się oddalają – spieszne meteory głębin.

Wieczorny wiatr przybrał na sile, przywiewając do nas zapachy ogrodu. Od jeziora tchnęło chłodem. Ołowiano-szara noc podnosiła się z jego dna i się rozprzestrzeniała. Zaczęły szumieć liście w gaju oliwnym. Z zachodniego brzegu jeziora dobiegały psalmy żab. W płataninie drzew figowych zawisł nagle melancholijnie duży księżyc, a wkrótce potem stanął nad pinia niczym monstrancja. Później przesunął się z wahaniem na pustą przestrzeń, która oczekiwała go potulnie; ciemnym drzewom pozostawił jednak tęskne treny.

Po godzinie księżyc panował już samodzielnie i przemieniał świat, który w jego świetle stał się srebrnym snem. Hałas stał się dźwiękiem, ruch gestem, ocieężałość rozluźnieniem, jezioro unosiło się niczym połyskliwy opał i fosforyzowało bladym blaskiem. Horyzonty obejmowały świat bladymi krawędziami. Niematerialne światło wznoszącego się coraz wyżej ciała niebieskiego przenikało wszelką cielesność kosmicznym rytmem. Noc śpiewała.

Dopiero po chwili zorientowaliśmy się, że to głosy. Dobiegały z przeciwległego brzegu jeziora. Śpiewały tam dziewczęta; w czystym powietrzu wyraźnie było słyhać głosy. Jakaś pieśń ludowa, smutna i piękna: taka stara, zapomniana, jakiej nie ma w książkach. Dźwięk docierał do nas niesiony wiatrem ponad wodą, jakby przywiewany z innego świata.

A teraz nadeszła odpowiedź z drugiego brzegu, odleglejsza i słabsza, niczym upiorne echo z gwiazd. Włączyły się inne głosy, wszedł miękko alt, niskie głosy chłopców spięły harmonijnie melodię w mistyczny chór, który nad potężnymi wodami narastał i przycichał.

Jakaś łódź płynęła po jeziorze z wciągniętymi wiosłami, czarna w jasnym blasku księżyca. Stała w niej wyprostowana naga dziewczyna. Pochyliła się, przytrzymała burty i wślizgnęła do wody. Podażyła za nią druga. W srebrzystym wirze obie okrążały się nawzajem, a czasami unosiły z głębin ręce pełne światła.

Wtem całkiem blisko odezwał się głos, włączając się w odległy śpiew. Pełen był nabrzmiewającej, przelewającej się namiętności, która bez miary rozwijała się i rozkwitała. Niczym wieczorny dzwon rozbrzmiewał ponad ciemnym drgającym gongiem wiatru, wody i stłumionego pogłosu, dźwięczny i czysty,

kryształ nie zrealizowanych pragnień i prześlakanych snów, dziki i miękki, i melancholijny jak sama noc.

Popatrzyliśmy po sobie zaskoczeni.

– To Marietta – szepnął Randolf.

Nasłuchiwalismy przez chwilę. To musiała być ona. Słysząc było, że jest naga, gdyż głosy nagich kobiet w nocy ponad jeziorem mają szczególne brzmienie. Umilkła, a zaraz potem plusnęła woda. Po jakimś czasie zobaczyliśmy ją. Wy płynęła daleko. Za nią zostawała błyszcząca bruzda wody zbeltanej jej ramionami.

Kiedy Marietta przyszła do nas następnego ranka, zabrała się do pracy z powagą i skupieniem. Do domku wpadł Randolf, trzymając w ręku własnoręcznie złowioną rybę o błyszczących łuskach, chciał upiec ją na ruszcie. Był w dobrym humorze i próbował wciągnąć Mariettę w rozmowę; ta jednak odpowiadała lakonicznie albo wcale.

Co wieczór słyszeliśmy jednak, że śpiewa, jakby wznosiła się ponad zakłętą dzień w zdradzieckie oczarowanie. Randolf zrobił się milczący i zniechęcony; rozmawiał z dziewczyną niemal pokornie. Ledwo udawało mu się czasem skłonić ją, by na niego spojrzała. Nie podnosząc oczu, schodziła mu z drogi. On natomiast czekał tylko, aż nastanie wieczór, był bowiem młody.

W przeddzień naszego wyjazdu Marietta pomogła nam spakować walizy. Randolf poszedł spać o północy, bo zamierzaliśmy wcześniej wyjechać, a nie czuł się najlepiej. Ja pozostałem jeszcze w ogrodzie.

Noc była bezwietrzna i księżycowa. Na niebie świeciły wszystkie gwiazdy. Droga Mleczna przesuwiała się przez zenit niby dym zatopionego statku międzyplanetarnego.

Tafla jeziora była prawie niezmacona. Z drugiego brzegu dobiegały pojedyncze dźwięki. Jakaś melodia pasterska, którą szlochały dudy. Od czasu do czasu odzywał się flet, a niekiedy skrzypce. Blade skrzypce.

Wtem w krzakach rozległ się trzask. Jaszczurki czmychnęły po szeleszczących liściach, umilkły świerszcze. Czyjaś dłoń chwyciła za pnącza i odgarnęła je na bok, potem pokazała się cała ręka, stopa, jasne kolano – dziewczyna, nie patrząc na mnie, zbliżała się powoli do domu, kierowana jakimś nieomylnym zmysłem. Szeroki pas księżycy leżał przed drzwiami. Dziewczyna przeszła przezeń, nagle jakby oświetlona reflektorami, opromieniona złotym blaskiem na plecach i udach, z fioletowymi, matowymi cieniami pod pachami oraz na biodrach. Drzwi cofnęły się w cień i ciemność niczym brązowy habit połknęła jasną postać.

Z lunatyczną pewnością dziewczyna weszła do pokoju Randolfa. Nagle rzuciła się na śpiącego, z chrapliwym odgłosem obejmując go ramionami. Randolf obudził się pod dotykiem mokrej skóry na powiekach, podniósł się na posłaniu, w jednej chwili przeniesiony w rzeczywistość ze snu. Rozpoznał Mariettę.

Jeszcze odurzony snem, z pozaczasowej nieskończoności rzucony w ciepłą, zaskakującą błogość, nie oparł się nagłemu szturmowi krwi, który zalał go falą ogromnego podniecenia, pozwalając mu fantastycznie rosnać bez granic i zatrzymania. Randolph zerwał się z łóżka, nie rozumiejąc, co się działo i nadal dzieje, próbował ją objąć. Wywinęła mu się, ponownie chciał ją objąć, umknęła do ogrodu. Wybiegł spiesznie za nią, zdyszany i gnany burzą we własnym wnętrzu. Uciekła do jeziora. Wbiegł za nią w odmęty, które spieniły się, jakby na niego czekały. Zaczęła się podniecająca pogoń w wodzie, która chlupała i pluskała pod szukającymi i wabiącymi ramionami. Na chwilę ukazała się głowa Marietty, niemal groźna z ciemnymi brwiami nad spoczywającymi w cieniu oczyma.

Randolf dyszał, przedzierając się przez fale. Bił je rękoma, bo nie dość szybko rozstępowały się przed nim. Piana pryskała na jego głowę i zalepiała mu oczy, skutkiem czego nie mógł widzieć dziewczyny. Oszołomiony wzburzoną wodą biegł coraz dalej i w końcu poczuł, że ta miękko wychodzi naprzeciw jego rozstępującym się nogom, prześlizguje się nad nim i zamyka za nim, przylegając doń i poddając się mu, z czułością i pożądaniem. Czując to oddziaływanie niczym fluorescencję tajemniczej wspólnoty, popadł w strzelistą ekstazę: rozpierająca go pełnia dawała mu się we znaki, wyrzucała go na powierzchnię, układała się w słowa, w wołanie i okrzyk:

– O wodo – ty jesteś kobietą – w tobie – są wszystkie – wszystkie...

W następnej chwili dno uciekło mu spod stóp. Silnymi, wolnymi pociągnięciami ramion wypłynął daleko. Nagle krzyk urwał się i zabrzmiał śpiew: potężny, upojony ciemnością, wodą, gwiazdami i pełnym zachwytem uczuciem wszechobecności. Randolph śpiewał, pływając, mocnymi ruchami rozdzielając fale żywiołu, który go unosił; śpiewał bez słów, bez sensu, prawie nieświadomie, urzeczony sobą i swoim uczuciem...

Zawrócił, przerwał śpiew i ruszył z powrotem w stronę brzegu. Ociekając wodą, która perliła się na jego skórze, wyszedł na ląd, smukły i piękny. Przez chwilę stał bez ruchu, jakby jeszcze sugerując gestem, że fale rzuciły się na jego kark i plecy. A następnie ze spuszczoną głową podążył w stronę domu.

Przy drzwiach czekała Marietta, pokorna i gotowa. Ale Randolph jej nie widział; zapomniał, dlaczego wybiegł w noc, i przeszedł obok dziewczyny. Ta nie podążyła za nim. Czyżby domyśliła się, że on sam musi podjąć decyzję w sprawach, które popychają kobietę ku mężczyźnie? Nie podążyła za nim.

Kiedy wszedłem do pokoju Randolpha, ten leżał w poprzek posłania i spał mocno. Rano wyjechaliśmy. Nikt nas nie odprowadził.

TAMILSKI CHŁOPIEC

Stanton zrozumiał, że urok życia nie tkwi w jego celach, tylko w incydentach. Dlatego lubił łamać konsekwencję swej wyliczonej przez rozsądek egzystencji i wplatać w nią nieprzewidziane epizody, dawał się też zaskakiwać różnymi pomysłami, ponieważ ożywiały one jednostajność, a sile przeżyć pozwalały zachować elastyczność. Jako że był pewny samego siebie, mógł sobie pozwolić na najbardziej ekstrawaganckie kaprysy.

Gdy pewnego popołudnia z tego właśnie powodu zgrzytanie wozów zaprzężonych w woły i gwizd kolejki elektrycznej w Madrasie wydały mu się zbyt nachalne, w jego głowie zaświtała nagle myśl, której zresztą uległ, żeby pojechać przez Visagapatam do Puri, a tam kupić kompleks świątynny i sfotografować należące doń zakazane budowle. Postanowił wyruszyć od razu i przenocować w bungalowach.

Tamilski chłopiec, który towarzyszył mu od miesiący, umieścił w wozie broń, aparaty i prowiant, po czym wspiał się na miejsce obok swego pana, skąd dziecięco uszczęśliwiony patrzył, jak koziołkują mijane ulice, a samochód pomyka w dal niczym brzęczący olbrzymi szerszeń.

Po kilku godzinach między drzewami zamigotały wody Zatoki Bengalskiej. Słońce stało nisko ponad morzem, nadając wodzie kryształową przejrzystość o tak jedwabistym blasku, że wyglądało to, jakby łagodna podziemna gwiazda oświetlała od dołu błękitne fale. Ogrody cynamonowe ciągnęły się niemal do samego brzegu i pachniały. Linia zatoki ginęła na horyzoncie w blasku światła niczym egzaltowany gest.

Krajobraz oddychał nastrojem tak uskrzydłym, że Stanton uznał za trywialne kontynuowanie jazdy wedle szablonu sieci dróg, zamiast przedzierania się przez gąszcz po dziewiczych ścieżkach. Zjechał więc z szosy i podążył drogami przez dżunglę, aż dotarł do polany całkowicie zarośniętej białymi kwiatami orchidei.

Tutaj się zatrzymał, machinalnie wziął strzelbę i ruszył dalej pieszo. Urzekła go panująca dokoła cisza. Z koron drzew niczym z mistycznej kopuły sączyło się łagodne zielone światło. Żaden powiew nie poruszał liśćmi. Chwila śniła w leśnej kryjówce jakby zapomniana przez czas.

Jakaś plama w kolorze piaskowym przemykała spiesznie z gałęzi na gałąź. Prawie nie uświadamiając sobie tego, Stanton podniósł broń, aby uwolnić się od uciążliwego niepokoju, i sam się przestraszył, kiedy huknął strzał. Do lotu

poderwała się spłoszona chmara papug, które odleciały, głośno skrzecząc, w dżungli dały się słyszeć gwizdy i szelesty, jakiś ciężki zwierz spadał z hukiem z wierzchołka, brązowe ciało, chwiejąc się i koziołkując, runęło w dół i uderzyło głucho o ziemię. Chłopiec podbiegł, żeby je przynieść.

Wrócił zupełnie zmieszany. Na jego ramieniu zwiślał zewłok małpy przypominający dziecko zmożone snem. Bez słowa wyciągnął rękę, w której trzymał zwierzę, ku swemu panu, a następnie ułożył je ostrożnie na ziemi. Stanton znał przesady Hindusów, dla których Pan Lasu stanowi święte tabu i dlatego uważają zabicie małpy za morderstwo. Widząc zwierzę, sam poczuł się nieswojo. Nierozwinięta jeszcze jak u dziecka głowa leżała między orchideami, w półotwartych oczach błyszczało dziwne światło koloru ochry, chude łapy opadły bezwładnie, a małe bezwłose dłonie miały w sobie coś wzruszająco ludzkiego.

Stanton podszedł bez słowa do wozu, pragnął odjechać jak najprędzej – ale po kilku obrotach silnik zgasł. Kiedy badał wóz, Hinduś zbliżył się do niego po cichu i poprosił pokornie o zgodę na pochowanie zwłok. Stanton skinął głową. Chłopiec zaraz jednak wrócił, z przerażeniem rozglądając się dokoła, i oznajmił, że między drzewami stoi jakaś postać. Nagle schował się za wóz i pokazał kierunek.

– Tam... tam...

Na skraju polany pojawiła się małpa, niezdecydowana, jakby czegoś szukała. Gdy Stanton podszedł bliżej, uciekła w gąszcz. Chłopiec przy taszczył bojaźliwie trochę kamieni i przykrył nimi dół. Po usunięciu defektu Stanton odjechał kawałek, po czym podkradł się z powrotem i obserwował polanę. Małpa podbiegła dużymi susami do dołu i zaczęła szarpać kamienie. Młody Hinduś podążył za swym panem; kiedy zobaczył, że zwierzę próbuje otworzyć mogiłę, szepnął:

– *Sahib*... on szukać... druga...

Stanton przypomniał sobie nagle, że zastrzelone zwierzę było samicą.

Po kwadransie jazdy zauważył, że pomylił kierunek. Trzymał się więc ścieżki dla wołów, ponieważ sądził, że w ten sposób najłatwiej trafi z powrotem na szosę. W końcu płatanina palm, chlebowców bochenkowych i zarośli bambusowych ustąpiła miejsca niskim krzakom, a droga stała się szersza.

Wtedy poczuł na ramieniu dłoń chłopca. Zatoczyli koło i znaleźli się z powrotem na polanie. Między kwiatami podniosła się mała pochylona postać...

– *Sahib*... on grozić... – wybełkotał przestraszony Tamil, wciskając się w róg wozu.

Stanton ofuknął go gwałtownie. Jakiś niewyjaśniony impuls zmusił go jednak do zatrzymania się i podejścia do zwierzęcia. Małpa nie uciekła, tylko w dalszym ciągu podrapanymi do krwi palcami próbowała wyszarpnąć ciężkie kamienie przykrywające martwą towarzyszkę.

Stanton wskoczył wstrząśnięty do wozu i ruszył pełnym gazem; wciąż jeszcze nie dotarł do szosy, kiedy silnik zatrzeszczał, zagrzechotał i po raz drugi

przestał pracować. W trakcie naprawy zapadły ciemności.

Las ożył. Bezszelestne cienie przesuwały się w powietrzu niczym czarne szmaty. Skrzecząc i bulgocząc, papugi siadały w koronach drzew. Z zarośli dobiegały odgłosy węszenia i mlaskanie, jakiś duży ptak leciał nisko nad drogą, motyle tańczyły w świetle reflektorów. Rozległo się przeciągłe wołanie, które zostało powtórzone, otrzymało odpowiedź i echo ze wszystkich stron, przeraźliwe wrzaski małp rozbrzmiewały melancholijnie pośród nocy.

Chłopiec zadrżał i odsunął się od swego pana...

– Panowie Lasu cię wzywają, *sahib* – jęknął bojaźliwie.

Strach przesądnego Hindusa rozdrażnił Stanton, przez co zapomniał skręcić, aby trafić na właściwą drogę, i pojechał wkoło tą samą dróżką co przedtem. Przeklinając, poznał swoją pomyłkę dopiero wtedy, gdy znaleźli się z powrotem na polanie.

Ledwo Hindus rozpoznał miejsce, zdjęty zgrozą rozłożył ręce i zaczął krzyczeć, a gdy dostrzegł cień przemykający jak duch wśród połyskujących upiornie orchidei, jał walić czołem w krawędź wozu. W złości na to ponowne spotkanie nie panując nad sobą, Stanton chwycił strzelbę, aby strzałem na postrach przepędzić małpę i uspokoić Hindusa.

Tamil uznał jednak, że jego pan chce zastrzelić również drugie zwierzę, i z szeroko rozwartymi oczami przytrzymał broń. Wściekły na stawiającego opór kolorowego Stanton próbował wyszarpnąć strzelbę, ale tamten rzucił się na nią całym ciałem, obejmował ją obiema rękami i jęczał:

– *Sahib... sahib... nie strzelać...*

Nie bronił się przed spadającymi nań ciosami i szturchnięciami, dopóki Stanton, rozdrażniony do żywego, nie wyrzucił go z wozu, uwalniając w ten sposób strzelbę z jego rąk. Zanim jednak zdążył skierować ją we właściwą stronę i nacisnąć spust, usłyszał za sobą dźwięk tak udręczony i przejmujący, jaki potrafią wydawać tylko konie w śmiertelnej trwodze, poczuł w plecach tępy ból, zachwiał się i osunął na ziemię.

Chłopiec odetchnął z jękiem, gdy strzelba wysunęła się ze ściskających ją kurczowo dłoni, upuścił nóż i szlochając, przykucnął obok Stanton...

– *Sahib... sahib...*

Tak kucnął przez całą noc.

O świcie opatrzył swego pana i zataszczył go do szosy. Przejeżdżające auto zawiozło obu z powrotem do Madrasu. Zanim Stanton wyzdrowiał, upłynęło dużo czasu. Zatrzymał chłopca przy sobie jako towarzysza jeszcze przez wiele lat, ale nigdy nie rozmawiał z nim o tamtej nocy...

O MIESZANIU EKSKLUZYWNYCH TRUNKÓW

Świat objawia się w najbardziej niepozornych rzeczach. Wino sprawia, że poeci zaczynają mówić. Rozwiązuje język i kusi do gadulstwa – a kto jest bardziej gadatliwy niż poeci? Mamy tu do czynienia z napojem lekkiej radości życia; picie go może być tylko przyjemnością, a czasem nawet bywa sztuką.

Mocny alkohol to esencja. Pomaga w koncentracji, a zarazem czyni milczącym. To nie napój, tylko trunek. Picie go może być sztuką, ale powinno być kultem.

Wino podnosi nastrój i zbliża ludzi. Mocny alkohol jest próbą ogniową, pozwala się objawić obiektywnej mierze wartości, ujawnia różnice, odsłania przeciwieństwa. Czyni człowieka samotnym.

Wino to dziwka, która łatwo się oddaje; odda się każdemu, kto choć trochę jej schlebia. Dlatego chwala ją na każdym kroku.

Mocny alkohol to westalka, która nie jest na sprzedaż, nie wystarczy być obrotnym, żeby ją kupić. Nie można zabiegać o jej względy, trzeba jej służyć. Niektórzy służą jej latami, ale się im nie odsłania. Wielu chępi się tym, że ją miało, ale przez to sami wydają na siebie wyrok.

Łatwiej napisać psychologię kobiety, niż zrozumieć napój alkoholowy. Taki napój ma duszę. Łatwiej rozpoznać to, co rzadko niestrzeżone, nagłe, jasne w kobiecie, niż za pomocą czystej esencji pomarańczowej i gotowanej benedyktyнки wydobyć z marasquino di Zara migotliwy melanż purpury, błysków noża oraz oproszonego złotem nieba i dzięki paru kroplom likieru morelowego ze śmietanką z koziego mleka nadać tej mieszaninie urzekający zapach Południa, woń słońca, pożółkłej trawy, pasterzy z brązu, Pana i hałasów w którymś z portów Rumunii.

Upowszechnił się barbarzyński zwyczaj picia wysokoprocentowych alkoholi bez ich mieszania. Z drugiej strony panuje prostacka maniera mieszania ciężkich win z szampanem. Niektórym wydaje się nawet, że mocnym alkoholem łatwiej się upić. Ktoś, kto musi w ogóle operować pojęciem upijania się, sam siebie z góry wyklucza. Niemniej należy wspomnieć, że odpowiednio zmieszany alkohol nigdy nie wprawia w oszołomienie.

Każdy drink to istna kompozycja. Są drinki w C-dur. Czy można je sobie wyobrazić bez koniaku? Albo likier w as-moll bez ananasa? Czy impromptu w Es-dur możliwe jest bez wanilii i cordial-medoc?

Każda mieszanka alkoholowa to dzieło, które unosząc się, spoczywa samo w

sobie. To okiełznana harmonia, objawiająca się rytmicznie w wypływaniu poza brzeg kielicha.

Cały urok objawia się jednak dopiero w różnorodności. Łatwo skomponować alkoholową symfonię z wielu alkoholi. Począwszy od allegro w postaci curacao przez adagio con moto alla Chartreuse i groteskowe scherzino z alaszem i creme de cacao po pogodne rondo miętowo-absyntowe, można zainicjować niezliczone kombinacje, że nie wspomnę o delikatnych wariacjach kawowych na dowolny temat, o cacao a la vanille, śmietanie, kminku, dżinie i drinkach z wodą sodową.

Trudniej wtłoczyć taką symfonię w jeden drink. Do mieszania alkoholi potrzebne są studia. To osobna dziedzina wiedzy. Kto dziś zna ciężar właściwy poszczególnych składników, kto wie, w jakie reakcje chemiczne mogą ze sobą wchodzić? Kto potrafi bez wahania podać, jaki napój powinno się miksować w pochmurny czwartek o owej tajemniczej porze, gdy głodne bydło na pastwiskach zaczyna ryczeć, a Włoszki na równinie lombardzkiej mówią już „Felicissima notte”, on zaś w pomieszczeniu z wysokimi gotyckimi oknami dotrzymuje towarzystwa smagłej dziewczoi? Kto jeszcze wie cokolwiek o wpływie pór roku na stosunek mieszanych ingrediencji, kto w biedermeierowskim wnętrzu umie wydobyć srebrzysty dźwięk klawesynu z owoców, likierów i arabskich rodzynek?

O zmroku nie można pić tego samego co późnym wieczorem, podobnie jak na duże wieczorne przyjęcie nie wypada włożyć brązowych półbutów. Nie jest wszystko jedno, od jakiego podstawowego tonu zaczyna się drinkowy koncert. Kto lubi akordy sekstowe, ten trio mokka-kakao-śmietana rozpocznie od mokki. Akord kwartowo-sekstowy w pierwszej kolejności domaga się bezwzględnie śmietany. Podgrzaną prunelle, z dodanymi w ostatniej chwili kostkami lodu, łączy się ze wstrząśniętą nalewką imbirową, klarownym sokiem z gorzkiej pomarańczy i wpuszcza kroplę cytryny, po czym miesza wszystko srebrną łyżką, dodaje śmietanę i jeszcze raz kakao. Krystalizacja w shakerze zaczyna się po wpuszczeniu jeszcze do owej mieszanki z wysokości 15 centymetrów dwóch kropel curacao triple sec. Mniej więcej trzy minuty napój będzie się burzył od środka ku brzegom naczynia, jak w rzymskiej fontannie u Conrada Ferdinanda Meyera. Potem z wolna się uspokoi i od środka promieniście rozejdą się odnogi. Nasycone kryształy zawisną w naczyniu niczym plastry pełne miodu. Srebrną łyżką dodaje się teraz świeżego soku ananasowego i natychmiast przelewa zmieszany napój najlepiej do okrągłej kryształowej karafki, którą należy szczelnie zamknąć i podgrzać, a następnie włożyć na godzinę do zimnej wody. W jasną noc podczas pełni wystawia się butelkę na światło księżyca, po czym umieszcza ją w ciemnym miejscu, bez dostępu promieni słonecznych. Po pół roku można ją otworzyć.

Miksowanie bez znajomości jednostek alkoholu to poruszanie się po omacku. Dlatego o strukturze poszczególnych alkoholi należy mówić jeszcze przed

podaniem konkretnego przepisu na ich mieszanie.

Mętne rozcieńczanie trunków w barach nie ma z miksowaniem nic wspólnego. Mechaniczne zlewanie ze sobą napojów tylko szkodzi; żeby mieszać w sposób organiczny, trzeba znać pierwotne reguły. Tutaj wszakże nawet rutyna się nie przydaje; nie ma bowiem szablonów i zawsze obowiązujących instrukcji. Talent i instynkt wskazują drogę. Są alkohole, które miksuje się latami, nad innymi trzeba pracować w największym pośpiechu.

Nie mam tu na myśli wysokiej sztuki Lavalette'a, który osiągnął już taki kunszt, że nie pił alkoholu, lecz tylko go wachał. To z jego ust pochodzi powiedzonko, że nie sądzi, aby ktoś bez dogłębnej znajomości filozofii, sił nadprzyrodzonych i zdolności muzycznych mógł osiąść umiejętność miksowania choćby drugiego stopnia. Lavalette na ogół nie robił żadnych drinków bez wykorzystania ziemskiego promieniowania magnetycznego, abstrahując w zupełności od wyrafinowanego stosowania różnobarwnych jedwabnych chustek, promieni rentgenowskich, pozycji jogi, praw spadania, magnesów, określonych faz Księżyca, rosy, zasady atomistycznej, perfum, trucizn i narkotyków.

Kiedy zielone włókna prunelle spiralnie zataczają dziwne koła w przejrzystym jak woda maraskino i mieszają się z czerwonymi odgałęzieniami sherry, a bursztynowe warstwy likieru morelowego tworzą pasy poprzeczne, powstają orgie barw, dopóki ostatnia, decydująca kropla nie spadnie z określonej wysokości, nie przebije powłoki maraskino i wzbudzając łagodne fale, nie rozdzieli kolorowych spirali, choć nie ma już na tyle rozmachu, by wzburzyć złocistobrazową spodnią warstwę.

Do mieszania trzeba umiejętności łączenia w jedno tego, co mieniać się, nie daje się wytłumaczyć. Zmieszany alkohol jest różnorodny jak życie. To diament, który lśni tysiącem barw i błyszczy szlifem wielu faset, ale to w dalszym ciągu jeden diament.

Mieszanie powinno się zaczynać od nie mniej niż trzydziestu różnych jednostek alkoholu. Potrzebny do tego trening. Niezgrabny ruch ręki może wszystko zburzyć. Alkohol pragnie być odpowiednio traktowany. Mistrzowi jednak podporządkowuje się z ochotą, gdy ten w subtelnej równowadze wynikającej z naturalnego wewnętrznego przymusu bawi się wynikiem ostatecznym i w geście twórczej gracji brata się z kosmosem.

GLÓWNY WĄTEK DEKADENCJI

I

Na stepach wieją potężne wiatry, a morze wiecznie szumi. Człowiek jest miarą wszystkich rzeczy, a symbolem wieczności jest koło. W kole wszystko dopełnia się i zaokrągla.

Nie chcesz, mój synu, etykietować swego życia według zwyczajowych norm, nie chcesz, aby życie człapało jak koń pocztowy, tylko pragniesz je rozrzutnie zajeżdżać galopem bez opamiętania, wypuszczać jak raketę w czarniawe niebo.

Powoli. Wprawdzie nie marnowałeś zdolności poznania na kwestie wykorzystywane po dziś dzień w długich kazaniach przez profesorów filozofii, choć ich nierozwiązywalność została już wystarczająco udowodniona – mam na myśli pytania typu „skąd” i „dokąd” – przeszedłeś też zwycięsko przez próby ogniowe i nie skarżysz się na niedorzeczność i podejrzany sens wydarzeń, twój sceptycyzm ustrzegł cię nawet przed fałszywymi wnioskami religii; mimo to nie osiągnąłeś jeszcze w ten sposób niczego.

Człowiek wyrusza w świat, żeby go zbadać i poznać, i znajduje samego siebie. Oświecla własne wnętrze i odkrywa świat. Ktoś, kto zna tę grę, jest odporny na niepowodzenia. Gdy trochę poćwiczy, zdobędzie wystarczającą pewność, aby przystąpić do oczyszczenia instynktów.

Rozsądek to nieudany instynkt. Być rozsądnym znaczy wybierać również czasem fałszywą drogę. Instynkt zawsze porusza się właściwie. Poznanie to wynaturzony popęd, a powinno być wzmocnionym popędem.

Jak drzewo oplatają pnącza, tak twoje popędy zagłusza moralność, cechy genetyczne i przyzwyczajenia. Musisz je wypalić żrącym ługiem ironii i wątpliwości, żeby stały się na powrót błyszczące i czyste.

Zbadaj i poznaj teren swojej duszy, czy ma soczyste, wysokopienne pędy czy pompatyczne podszycie. Pielęgnuj jedno, poświęcaj drugie.

Nigdy jednak nie próbuj oczkowania za pomocą zasad. Tylko zupełna nieodpowiedzialność pozwala osiągnąć wysoki wzrost. Otocz swoje popędy wałem cynizmu, żeby nie przyszli wyznawcy usankcjonowanej sztuki ogrodowej i nie przycięli ci ich w miłe dla oka boskiety lub nie urządzili wręcz w nich wodotrysku.

Przyjemność niech będzie dla ciebie łupem zrabowanym światu. Przestrzegaj zasady: przyjemność wzrasta w miarę nasilania się odczuć. Dąż do

intensywności przeżyć. Trenuj swoje zmysły, żeby wisiały niczym przyssawki pod zjawiskami egzystencji i wyciskały z nich soki. Zageszczaj, komprimuj i filtruj ten ekstrakt. Używaj go do orgii i bachanaliów, bądź skupiony i gotowy podążyć natychmiast wszystkimi włóknami ciała za każdym odchyleniem kompasu instynktów.

Las jesienią staje się dla ciebie niebieską falą melancholii. Potrafisz się pogrążyć aż po zachwyty w beżowo-czerwonej oprawie tomu poezji Abu Nuwasa; nieobliczalna elastyczność mątwy trzyma cię przez godzinę przed akwariem w Neapolu; nawet okopcone kominy fabryczne stają się dla twych wyostrzonych odczuć pogodnymi symbolami fallicznej zarozumiałości.

Przeżycie wzmaga się do ekstazy, kiedy dochodzi do manifestacji popędu: w kobiecie. Pogrążasz się w nim i toniesz, a on przetacza się i zamyka nad tobą jak fala powodzi. A ponieważ jedna kobieta zawsze pokazuje tylko jedną stronę obrazu, ty natomiast w swym nienasyceńniu pragniesz całości, unikasz niebezpieczeństwa oddania się tylko jednemu człowiekowi, zasklepienia się w nim i zwapnienia.

Miłość to rękawiczka, która przestała pasować. Słowo to tak czy owak zostało już przenicowane przez poetów i nie może być przedmiotem dyskusji. Mimo to byłoby nie na miejscu jako wyraz sprężonej konsekwencji, kociego czyhania, ustawicznej czujności, ciągłego krążenia w tobie czegoś, co błąka się jak ogień świętego Elma na masztach twoich zmysłów i zapowiada burzę.

Tylko walka płci wyzwala podświadome elementarne prądy, które naprawdę są istotne, a nie wygrywanie krowiej tkliwości na cytrach sympatii.

Od pierwszego słabego uderzenia krwi, szukania po omacku i poznawania, błyskawicznej parady i ostrego niespodziewanego wypadu po ostatnią burzę nerwów szaleje walka pod maską łagodnych słów i komedii uczuć. Aż w końcu spadną wszystkie przyłbice, dwoje zwierząt rzuci się na siebie i będzie tylko łonem i żądzą; otoczone i zalewane rozżarzoną lawą ziemskiego impetu zanurzą się w sobie, ryk rui i wrzask drapieżnika, orkan, cyklon, ziemia, popęd, pierwotność.

II

Nie ma płaskowyzu ekstazy. Ekstazyzm to skurcz uczucia, wyrzucone w górę i zastygłe podniecenie. Jeśli ktoś pragnie zeń uczynić stan trwały, popada w eksces; eksces natomiast to już przyzwyczajenie, namiętność z obwisłym brzuchem, skrofuliczna ekstaza, nadęte uczucie w szlafroku. Patos uśmiecha się z dobrze znanym kiczowatym uśmiechem zza jego pleców.

Zamiast wzmocnienia szablonu. Nawet najpotężniejsze uderzenie popędu kiedyś omdlewa. Jednostajność to monotonia. Pojmujesz, że nawet najwyższy

rausz krwi tylko na jakiś czas przeniesie cię na ową magiczną płaszczyznę pełnego samozadowolenia, do której dążysz jako do podstawy.

Samozadowolenie staje się samouwielbieniem. Znowu dajesz treść bezproduktywnemu odczuciu poprzez kontrast, anemicznemu uczuciu dodajesz kolorów, rzucając nań światło przez barwne szkiełka. Z jaskrawego, jednobarwnego słonecznego promienia ekstazy, który rozszczepiasz w pryzmacie obserwacji, otrzymujesz świetliste spektrum.

Świadoma wariacja daje w efekcie różnorodność. Rzecz jasna, następuje osłabienie jednostki, ale dzięki kontrastowi jest to niewidoczne. Słabe światło staje się silnym blaskiem za sprawą ostrych cieni.

Perspektywa się rozszerza, horyzonty cofają. Stulecia nadciągają z szumem, oferują swoje służby i stają się tobie poddane. Sprawa, która wydawała ci się raczej mało zabawna, staje się nagle interesująca dzięki historycznemu porównaniu. Drobiazgi, dotychczas pomijane i używane jako słowna wata, stają się klejnotami dzięki dziejowym paralelom. Albo odkrywasz pikantny urok zmurszałych kultur. Nadajesz ramy wieczności, łączysz śmiech z podniosłością.

Uczysz się błyskawicznie reagować i szybko się przestawiasz. Po koncercie masz jeszcze potrzebę posłuchania kabaretu. Nie po to, żeby wrócić do rzeczywistości, ale aby pogłębić wrażenia. Chopin przejeżdżał kciukiem po klawiszach na zakończenie nokturnu, żeby zgasić jego dźwięki i udaremnić im przejście do codzienności.

Zaczynasz wyczuwać przejścia i cezury. Uświadamiasz sobie przyplwy i odpływy erosa. Nie może ci się już przytrafić, że odejdiesz zbyt późno; znasz zakończenie, gdy inni czekają jeszcze na drugi akt.

Pojawia się wyrafinowanie, upodobanie do rzeczy niewytłumaczalnych, nieokreślonych. Bełtasz Orient i cierpkość Północy, mieszasz jałowcówkę z sorbetem, nazywasz Turczynkę Liną i łaskawie oglądasz taniec brzucha w wykonaniu Elli Meier.

Ufarbowane henną paznokcie, wytatuowane piersi, pozłacany pępek sprawiają ci pewną przyjemność; podoba ci się Aimée z cienkim złotym łańcuszkiem na biodrach, znasz refleksy blasku świec na kobiecej skórze i zapach nocnego śniegu ponad lasami.

Przesuwasz swój dzień na nocną porę, odwracasz czas. Noc staje się dla ciebie czarnym aksamitem, na którym rozkładasz swe barokowe pomysły. W ustronnych klasztornych ogrodach czytasz *Dekameron*, a *Wyznania* świętego Augustyna na przykład podczas maskarady.

Ważne, żebyś nie robił wszystkiego dla niezwykłości efektu, tylko z potrzeby. Sam musisz wierzyć w to, co robisz, tyle że ograniczając się do chwili, w której to robisz. Dlatego nie forsuj niczego; godzina, która wzywa do nowych rzeczy, jest dokładnie zasupłana w twoim bycie, nie możesz jej przyciągnąć do siebie jak opierającą się dziewczynę.

Wieczorem zgarniasz z ulicy dziwkę, bierzesz ją ze sobą, przywołujesz

sentymalizm dawno wytrzebionych młodzieńczych tęsknot, zarzucasz go zdumionej na ramiona niczym płaszcz z brokatu i odprawiasz z nią pobożny kult przez czas zmierzchu, dopóki nie zabłyszczą pierwsze gwiazdy. Albo skrapiasz duchową esencją jakąś gryzетkę i roztrząsas z nią zawilości platońskiej filozofii. Może się też zdarzyć, że następnego ranka, dziękując z roztargnieniem takiej zdobytej z trudem, rozpieszczonej kobiecie, położysz na kołdrze drobny banknot. Jeśli masz talent, piszesz też pewnie na giętkich plecach swej towarzyszki łoża wiersze duchowe. Podobnie jak robił to już Goethe.

Stopniowo włączasz w to różne dziedziny sztuki, kolejno Paryż, Buenos Aires i Sajgon. Przejściowo interesujesz się kombinacją odzież domowa-habit mnisi i walensjenkarni na Murzynce, przeciwstawiasz pustelnicztwu Folies Bergere, operujesz zmyłkami i blefami, żyjesz z kokotą jak pastorskie małżeństwo i budujesz katedry ze snu wokół silnie owłosionych pach dziewczki stajennej.

Przepis jest prosty: popełniać profanacje z religijnym namaszczeniem; wieść święty żywot z gestem profanacji. Na wyrafinowanie patrzeć w prymitywnym świetle, prymitywizm odczuwać w sposób wyrafinowany. Podkopujesz rzeczy godne szacunku i odczuwasz je jako bardziej pierwotne, uwydatniając przeciwieństwa.

III

Wszystko to jednak to jeszcze rozkosz obcowania z konkretem, z faktami, z rzeczami. Można zrozumieć, że w melancholijnym nastroju handryczysz się z losem, bo stwierdzasz, że kwiat w dziurce od guzika twojej pidżamy nie pasuje do koloru włosów twej nocnej towarzyszki; można też pojąć, że nie potrafisz czasem zasnąć, jeśli na twoim nocnym stoliku nie stoją zwiędłe kwiaty lipy. Ale to tylko wstępne stadia właściwej sublimacji.

Nużą cię kontrasty, co zresztą w końcu nie nuży... Nużą cię także cele, gdyż istnieją tylko ze względu na napięcie i drogę. Oczekiwanie od nich spełnienia to groteskowa pornografia.

Rezultat staje się czymś drugorzędnym. Strona formalna nabiera znaczenia. Nadinteligencja zgodnie z tajemną zasadą ulega czarowi rzek granicznych, a tym samym popada w ornamentalizm; znajduje ujście w mistyce i magii, niczym figury dywanu w ornamencie roślinnym.

Strona cielesna odgrywa mniejszą rolę. Popęd sublimuje się w postaci abstrakcyjnej rozkoszy. Pojawia się dominacja pobocznych zmysłów. Zapach ujawnia się najdobitniej w bukietach perfum. Wymyślasz perfumowe romanse z ambry, migdałów i szypru; cierpką wonią paczuli, piżma, waleriany i balsamu Makkach zapładniasz swoje sny, aby rodziły nowe obrazy. Smak tworzy

mikstury z wanilii, wyklarowanego olejku imbirowego i destylowanego akwawitu; z łatwością opanowujesz trudną sztukę mieszania likierów. Dotyk się wydelikaca; twoje palce, trzymając matowe bursztyny i szlifowane kryształy lub gładząc miękki japoński jedwab bądź perską wełnę, stają się antenami nadawczymi najbardziej wysublimowanych odczuć.

Czyż jest coś bardziej występnego od orchidei! Poznasz niejednen ich gatunek. Jedne z przeżartym przez raka, brudnoczerwonym mięszem, jakby zalepione rtęcią i zaatakowane przez zgorzel, inne z dziwnymi naroślami i grubymi, obrzmiałymi liśćmi. W zestawieniu z ascetycznymi kaktusami ukazują swe deformacje jeszcze wyraźniej.

Sięgasz po opium, haszysz i kokainę. Morfinę ci odradzam; to coś dla dyletantów. Rozpętana wyobraźnię próbujesz zamrozić eterem, żeby zastygła nagle jak zamieniony w lód wodospad i w ten sposób stała się dostępna obserwacji.

Ale to również są tylko przejścia. Zaczynasz robić wypadki poza samego siebie. Niczym linoskoczek masz odwagę stanąć do rozgrywki z chaosem. Tańczysz na krawędzi, żonglujesz samym sobą w chwiejnej równowadze, podskakujesz ponad szczytami myśli, na których bieleją kości zmurszałych myślicieli, i wybierasz sobie subtelne bodźce z huku lawin spadających za tobą.

IV

Im wyżej się wznosisz, tym mniej pozostaje ci możliwości. Wydelikacenie to zarazem kruchość. Zaczyna się rezygnacja.

Pragnę ci zwrócić uwagę na to, że ta rezygnacja nie ma nic wspólnego ze zblazowaniem. Jeśli postępujesz konsekwentnie, nie możesz być zblazowany. Zblazowany jest tylko ktoś, kto zbacza z drogi. W ten sposób pokazuje, że nie dorósł do zadania. Jego odmowa i zmęczenie to słabość, która bierze się z nieumiejętności.

Rezygnacja to nie odmowa, tylko wyrzeczenie się. A to wyrzeczenie się czegoś uznanego jeszcze za godne pożądanía jest jej najdelikatniejszą urodą, jej najgłębiej ukrytą rozkoszą. W tym uczuciu pobrzmiewają inne stopnie, niczym górne dźwięki oktawy.

Poszukiwany od lat pergamin możesz w końcu otrzymać przypadkiem. Pożółkły i zbrązowiały, kusi, by go otworzyć. Ty jednak stawiasz go między swoimi książkami i nie czytasz. W ten sposób otaczasz go czarem niepewności. W bezksiężycowy wieczór potrafisz wylać za parapet ostatnią butelkę oleistego chateau d'or 1790, nawet na to nie patrząc. Ale czujesz ciche pulsowanie butelki w miarę rytmicznego jej opróżniania. Jeśli masz talent pisarski, pewnie siedzisz zasluchany, pochylając się nad swoją fantazją, dopóki ta nie podrzuci

ci paru wspaniałych akordów. Rezygnujesz jednak z ubierania ich w słowa i pozwalasz niewypowiedzianym wyfrunąć w noc.

Powoli przycicha i to. Jesteś u kresu, zbliża się mistyczna wolta. Na horyzoncie majaczy ostatni przystanek. Wracasz do powieści w odcinkach i pieśni w modlitewnikach. Przed tobą pojawia się uszczęśliwiająco przedmiotowy i spokojny kącik czytelników książek przygodowych, życzliwie i łagodnie kiwa do ciebie jakiś kretyn, tak dziecięco naiwnie kończy się krąg namiętności i pierścień się zamyka w poważnej rozmowie ze znającą życie babcią klozetową. Smacznego.

MIĘDZYPLANETARNY AUTOMOBIL

Z okazji swych trzydziestych ósmych urodzin doktor inżynier Hubert Drescher chciał najpierw przygotować dobry kruszon. Ponieważ jednak zimowy wiatr gwizdał zuchwale za oknami, postanowił przyrzadzić dla gości porządną gęstą grog. Szybko zapanował właściwy nastrój, smugi niebieskawego dymu cygar ciągnęły się przez pokój, gorący napój rozgrzewał umysły, wygłaszano mowy, wznoszono i spełniano toasty, w międzyczasie dla odmiany popijano koniak lub benedyktynekę, a na koniec pękło nawet kilka butelek szampana, skutkiem czego po północy, gdy goście powoli i hałaśliwie zaczęli się żegnać, niektórzy dość ryzykownie próbowali się nawzajem podpierać.

Doktor Drescher odprowadził do wyjścia ostatniego z przyjaciół i z westchnieniem błogości wrócił do przyjemnie ogrzanego pomieszczenia. Nalał sobie jeszcze szklaneczkę grogu i opróżnił ją jednym haustem. Następnie rozsiadł się zadowolony w klubowym fotelu i zamierzał właśnie zapalić cygaro.

Nagle powiew powietrza zgasił płonąca zapalną. Drzwi otworzyły się i do środka wdarł się lodowaty chłód. Drescher odwrócił się, ponieważ uznał, że wrócił jeden z przyjaciół, żeby poprosić o możliwość przenocowania. W drzwiach stał jednak jakiś nieznajomy.

Drescher zmierzył go przenikliwym spojrzeniem. Gość miał na sobie kombinezon do jazdy samochodem, nie zdjął też jeszcze gogli.

– Doktor Drescher? – zapytał głuchym głosem. Ten przytaknął skinieniem głowy i sam zapytał:

– Z kim mam przyjemność?

Nieznajomy mruknął pod nosem jakieś nazwisko, po czym bez dalszych ceregieli zaprosił swego vis-a-vis na przejażdżkę samochodem, twierdząc, że chce mu pokazać parę nowinek technicznych. Doktor Drescher trochę był zaskoczony: w środku nocy zaproszenie na próbną jazdę – w każdym razie coś takiego nie zdarzało się na co dzień. Ostatecznie artyści i wynalazcy często wszak bywają dziwakami, a dla tego wynalazcy, gdyż za takiego uznał gościa, wizyta o północy mogła być czymś oczywistym. Poza tym zwyciężyła ciekawość, co też zaprezentuje mu nieznajomy. Po krótkim namyśle poprosił go więc, by usiadł, a sam pośpieszył do sąsiedniego pokoju, by przygotować się do jazdy. Oddalając się, usłyszał jeszcze, jak tamten woła za nim:

– Proszę się ciepło ubrać, będzie bardzo zimno. Prędko włożył na siebie wełniany sweter, po czym wybrał najgrubszy płaszcz i najcieplejsze rękawiczki.

Wyszedłszy z nieznajomym przed dom, chciał udać się do garażu, żeby przygotować swój wóz, tamten jednak położył mu dłoń na ramieniu.

– Proszę zostawić... jestem tutaj własnym wozem. – A kiedy Drescher zaczął mu wychwalać zalety i bezpieczeństwo swojego pojazdu, powiedział z uśmiechem: – Na tę przejażdżkę w rachubę wchodzi tylko mój wóz – i ruszył przodem w stronę szosy, gdzie stał pojazd.

Doktor Drescher naprawdę się zdziwił, kiedy go ujrzał. Pojazd wyglądał wprawdzie jak zwyczajny automobil, ale jego kadłub zbudowany był według zasady, która zdawała się preferować bezwzględnie opływowy kształt wydłużonej kropli, choć wóz przez to wcale nie prezentował się niezgrabnie. Chłodnica była hermetycznie zamykana za pomocą szybek z grubego szlifowanego szkła, które dziwnie migotały i błyszczały. Koła ledwo było widać, tak głęboko były schowane pod karoserią. Nieznajomy wsiadł do dwuosobowego wozu i poprosił doktora Dreschera, aby zajął miejsce obok niego. Następnie nacisnął jakiś guzik na tablicy przyrządów. Szklana płyta nad chłodnicą natychmiast rozjarzyła się fosforyzującym światłem. Drescher zauważył nagle, że pod szklaną płytą znajduje się rozgałęziony system również szklanych kolb, w którym fluoryzują dwie cieczki: niebieskawozielona i niebieskawoczerwona. Wóz szarpnął bezszelestnie i błyskawicznie ruszył z miejsca.

Na widok pytającego spojrzenia Dreschera nieznajomy uśmiechnął się tylko.

– To jedna ze starszych już, ulepszonych wersji ziemskiego automobilu. Tu, na dole, nie nauczono się przecież jeszcze ciągnąć elektryczności z powietrza. Stworzyliśmy bardzo proste urządzenie. Oczywiście wie pan, że odkąd odkryto zasadę atomistyczną, nie uważa się już atomu za najmniejszą jednostkę, ale że w każdym atomie istnieje pole pozytywne i negatywne lub, inaczej mówiąc, pole elektryczne i magnetyczne. Na wzór procesu osmozy, jaki odbywa się w płucach, rozdzieliliśmy owe pola, zazwyczaj rozchodzące się kuliście, i pole elektryczne odprowadziliśmy osobno. Ten mały aparat wielkości dłoni pod szklaną płytą wykonuje całą pracę.

Po obu stronach przelatowały zaśniewione pola, koziółkowały drzewa i słupy telegraficzne. Wzdłuż drogi rozbłyskiwały domy i miasta przemykały jak duchy, zostając w tyle, zadymka zacinała czołowo w pojazd tysiącami kryształków lodu.

– Dlaczego jedzie pan tak prędko? – spytał doktor Drescher.

– Prędko? – odpowiedział pytaniem nieznajomy. – Jak to prędko? Jedziemy nadzwyczaj wolno, bo tutaj zawsze jeszcze musimy się liczyć z tym, że wóz się rozgrzeje zbyt mocno z powodu oporu powietrza. Dopiero kiedy znajdziemy się w eterze, wtedy będziemy mieć prędkość...

Drescher pokręcił głową. Eter? Ziemski automobil? Jego towarzysz musi jednak mieć małego hyzja, choć silnik osobliwego pojazdu budził najwyższy podziw. Zapytał, ile kilometrów na godzinę mają na liczniku.

– Ach, niewiele – zaledwie około 1200...

Wcisnął się głębiej w swoje siedzenie. Jego towarzysz obojętnie potwierdził

podaną prędkość. Drescher popatrzył na swój skórzany płaszcz. Niesamowity pęd powietrza i uderzające od czoła kryształki lodu sprawiły, że cała skóra była usiana tysiącami maleńkich nakłuc.

Nagle usłyszał głuchy szum, który szybko narastał i przybierał na sile. Z wysoka zobaczył morze, ku któremu się właśnie kierowali.

– Na miłość boską – chwycił za ramię swego towarzysza – przecież jedziemy...

Ten jednak tylko spokojnie poprawił swój kombinezon i przycisnął jakiś guzik. Z podwozia natychmiast wysunęły się ścianki stanowiące dach pojazdu, również wykonane z grubego szlifowanego szkła i czarniawej polerowanej stali aluminiowanej. Zamknęły się hermetycznie i utworzyły szklaną kopułę przerywaną krzyżulcami. Natychmiast zrobiło się przyjemnie ciepło. Doktor Drescher zdjął płaszcz.

– To zaleta naszej konstrukcji – wyjaśnił przewodnik. – Nie tylko nie musimy wozić ze sobą benzyny lub akumulatora do napędzania silnika, ale także od razu automatycznie ogrzewamy wóz, podobnie automatycznie zapalają się umieszczone za podwójnym szkłem światełka przy podnoszeniu się chowanego dachu. Cała karoseria jest bowiem wykonana z dwóch warstw stali z hermetycznie zamykaną przestrzenią pomiędzy nimi, w której dzięki odsysaniu próżniowemu można rozrzedzić powietrze bądź całkiem je usunąć, żeby powietrze znajdujące się w wozie, rozszerzając się, nie rozsądziło ścian pojazdu w trakcie przechodzenia przez wyższe warstwy atmosfery i eter. Poza tym zamocowane z przodu przy chłodnicy dwie katody zapewniają dodatkowo wentylację, a także odprowadzanie i odnawianie powietrza bez rozhermetyzowywania wnętrza wozu.

Doktor Drescher wyrzwał przez okno. Głucho rozbrzmiewał szum morza, w którego kierunku pędzili. Właśnie sunęli po długim pomoście, fale uderzające po obu stronach wyciągały w górę swoje macki, Drescher chciał krzyknąć, bo uznał, że jego towarzysz oszalał i wiedzie ich ku pewnej śmierci. Właściwie było już za późno, poczuł, że wóz staranował balustradę pomostu i wielkim pędem runął w bezdenną otchłań.

W tym samym momencie nieznajomy włączył dwa guziki, rozległ się krótki trzask, pod ich nogami coś cicho zadzwoniło, zazgrzytało – i wóz wpadł z pluskiem w odmęty, spienione fale wystrzeliły w górę, woda zamknęła się nad pojazdem, który zaczął opadać na dno...

Co to było? Doktor Drescher wyteżył słuch. To przecież rytmiczne dudnienie śruby okrętowej, wóz zakołysał się na boki i nie pogrążał się w głębinach, tylko płynął.

Nieznajomy uśmiechnął się.

– Bardzo prosta sprawa. Po przyciśnięciu tego guzika koła znikają w zapadni, która natychmiast się hermetycznie zamyka. Ten drugi guzik włącza napęd dzięki pomysłowej transmisji wykorzystującej najnowsze wyniki badań właściwości selenowych komórek fotoelektrycznych i wóz staje się łodzią

podwodną. Oczywiście mamy ze sobą aparaty tlenowe, nie zauważy pan różnicy, owionie nas najlepsze leśne powietrze.

Wóz opadał coraz niżej, falowanie nie mogło go więc już kołysać, i całkiem spokojnie sunął przed siebie. Woda za szybkami wydawała się zielonkawoczarna niczym szklany klosz nurkowy. Od czasu do czasu przepływała bezgłośnie jakaś ryba. Stado delfinów próbowało płynąć razem z nami i okrażać łódź. Białe cielska połyskiwały srebrzyście. Już po kilku sekundach zostały jednak w smugach spienionej wody z tyłu pojazdu.

– Gdyby nam się nie śpieszyło – rzekł kierowca – zrobiłbym panu przyjemność i zatrzymał silnik, żeby wóz zszedł na dno. Wśród morskiego milczenia czułby się pan jak w zaczarowanym świecie, gdyby za oknami przepływały niczym baśniowe stwory połyskujące matowo, fosforyzujące meduzy, gdyby dziwaczne ryby głębinowe rozpraszały purpurowo-zielony mrok osobliwym światłem własnych ciał, gdyby ich migotliwym śladem ciągnęły, mieniając się barwami, różne groteskowe potwory, kostery plamiste, niezwykle kolorowe zwierzęta morskie, a mały, kraby, koniki morskie, muszle, błyszczące punkty tworzące koła, osobliwe polipy, lśniące ukwiały i kolczaste rozgwiazdy o długich mackach grasowały w podwodnych lasach wodorostów. My musimy jednak pędzić dalej; widzi pan, już wypływamy z powrotem na powierzchnię.

Łódź zaczęła się zachowywać niespokojnie, dało się odczuć falowanie, za oknami przetaczała się biała piana, naciśnięcie guzika i łódź już płynęła po wodzie. Po naciśnięciu kolejnego guzika nagle uniosła się karoseria.

– Płyniemy teraz jak pojazd wodny – rzekł nieznamy – zwykle przełączenie pozwoliło zamienić płozy na koła. Do wału przyłączone są koła, płozy wodne i płozy śnieżne, które można uruchamiać w dowolnym momencie. Za pomocą tej dźwigni wysuwa się z dachu po bokach samolotowe płyty nośne, widzi pan? A teraz jeszcze tutaj, i już z chłodnicy wysuwa się śmigło.

W następnej chwili aparat zawarczał, zakołysał się parę razy i uniósł w górę. Na wysokości stu metrów przeleciał nad parowcem, którego załoga stała na pokładzie w świetle księżyca i machała. Potem autołodziosamolot wykonał zwrot i z szaloną szybkością pomknął dalej.

– To, co widzi pan tutaj jako szkło – wyjaśnił nieznamy – nie jest ziemskim szkłem. Zostało specjalnie wyprodukowane i jest twardsze od najtwardszej stali, ponieważ współczynnik oporu jest niemal zerowy dzięki wynalezionemu u nas różniczkowemu kierunkowi ruchu cząsteczek po linii elipsy zgodnie z atomistyczną zasadą podziału.

Doktorowi Drescherowi kręciło się w głowie, gdy słyszał, jak oczywiste wydaje się to wszystko jego towarzyszowi. Nic już go nie dziwiło. Nawet to, że znalazłszy się na ładzie, po przełączeniu wału zębatego, samolot natychmiast przeobraził się w sanie, a siłę wznoszącą hamowało ustawienie płatów nośnych pod określonym kątem.

- Nie będziemy zaprzętać sobie głowy takimi sprawami, jak zabezpieczenie przeciwślizgowe, łańcuchy przeciwśnieżne, oblodzone szosy itd. - oświadczył kierowca - tylko przekształcimy wóz w aerosanie, a wtedy okaże się, że to, co było przeszkodą dla wozu, najzupełniej odpowiada naszym wozolodziosamolotosaniom.

Zaraz potem nieznajomy uruchomił ster wysokości. Samolot wystrzelił w górę prawie pionowo. Doktor Drescher spojrzął na wysokościomierz. To było niesamowite, 4000, 6000, 8000 metrów. Czyżby jakieś czary?

- Teraz powietrze stało się tak rozrzedzone, że płyty nośne przestały nosić - wyjaśnił towarzysz Dreschera - możemy już włączyć „uwalniacz grawitacji”.

Przekręcił jakiś kurek. Przez chwilę wydawało się, że ze wszystkich porów w szkłe i wewnątrz stali aluminiowanej zaczyna się coś sączyć; szyby zmętniały jak szkło matowe, ale natychmiast stały się z powrotem przejrzyste.

- Dobry wynalazek - mówił dalej - również opiera się na zasadzie atomistycznej. Krążenie elektronów zostaje zaburzone i zanika, zasada magnetyczna zostaje związana przez kwas, który sączy się do wszystkich porów wozu. Równocześnie następuje zmiana kierunku paralelnych drgań na pionowy i zanika grawitacja. Już w tym momencie pędzimy przez eter z prędkością dźwięku. Żeby osiągać prędkości naprawdę wielkie, trzeba umieć sprytnie włączyć z powrotem „grawitację” w pobliżu jakiejś planety lub gwiazdy i wykorzystać siłę przyciągania ciała niebieskiego, kiedy poruszamy się razem z nim w tym samym kierunku. Oddaliwszy się odpowiednio, wyłącza się grawitację, obiera nowy kierunek za pomocą silnika eterospektrowego, który otrzymuje napęd dzięki rozszczepieniu światła słonecznego na kolory tęczy, i pędzi dalej. Widzi pan, teraz włączam grawitację i Księżyc natychmiast nas przyciąga. Potworną prędkość - nie ma tu przecież żadnego oporu powietrza - poznaje pan po tym, jak szybko zbliżają się kraterzy księżycowe... A teraz wyłączam i już lecimy dalej, w stronę Marsa, damy się trochę pociągnąć Słońcu, po czym obierzemy bezpośredni kierunek.

Tu, u nas, urządzamy też wyścigi. Podobnie jak u pana, żeby wygrać, trzeba umieć dobrze brać zakręty, tak i tutaj dobry kierowca musi znać się nieźle na astronomii, żeby właściwie włączać i wyłączać grawitację. Wkrótce będziemy na miejscu, Marsa już widać, prezydent nas oczekuje, obok niego deputacja marsjańskich dziewczyn, aby godnie powitać pierwszego ziemskiego automobilistę. Chce pan z tej okazji sam poprowadzić resztę drogi? To całkiem proste, najpierw naciśnie pan ten guzik, potem tamten, to dziecinnie łatwe. Proszę!

Drescherowi okropnie kręciło się w głowie. Odruchowo usiadł przed tablicą przyrządów, a tymczasem jego towarzysz wziął oba płaszcze. Ujrzał przed sobą szereg guzików i na chybił trafił przycisnął jeden z nich. W następnej chwili samolot w coś uderzył, przechylił się dziobem w dół, przekoziółkował i runął w dół ku powierzchni Marsa, wciąż koziółkując, zbliżał się błyskawicznie do jakiejś spiczastej wieży, coraz szybciej i szybciej, za chwilę nastąpi zderzenie i

się roztrzaska.

Doktor Drescher przetarł oczy. Czy nie słyszał przed chwilą jakiegoś trzasku? Gdzie był przed chwilą? Co się stało? I wtedy stwierdził, że przewrócił się razem z fotelem. Przed nim stała opróżniona do połowy szklaneczka grogu. Powoli uzmysłowił sobie, co się wydarzyło. Wcale nie był na Marsie, był w domu, a wszystko tylko mu się śniło. Podniósł się ociężale i ruszył do swojej sypialni; kręcąc głową, mruknął do siebie: – Ach, ten alkohol, ten alkohol...

JESIENNA JAZDA FANTASTY

Przez cały dzień konferencje i ulice, i przybierające różne barwy lipy i kasztany ponad asfaltem i brukiem, to przecież nie do zniesienia – i to niebo, to nieprawdopodobnie błękitne, jasne niebo, które obijało się boleśnie o krawędzie i dachy domów – zobaczymy, jak sklepia się nad horyzontami i jak jego jedwabna krynolina spoczywa na lasach na skraju świata. Co nas obchodzi, czy koncerty wabia i co grają w teatrze, weź koce i futra, wyprowadź wóz, dziewięćdziesiąt kilometrów na liczniku, a gdy będzie sto dwadzieścia, wyrzucę czapkę w górę, gdyż wtedy będziemy mogli powiedzieć, że właściwie uciekliśmy z miasta.

Czy znasz złociste światło, sączące się na brunatne skiby, widzisz, jak biegnie w środku wzdłuż nich? To światło jesieni, spójrz, wisi też nad błyszczącym końskim grzbietem, nad pługiem oraz nad chłopem, który nosi jesień na ramionach. Złotym światłem oproszone są również drzewa, ludzie na wsi powiadają, że ta urojona sieć rozpięta nad umierającym światem nadaje jabłkom woń i świeżość. A teraz zatrzymujemy wóz, aż silnik zazgrzyta, i wysiadamy – i wychodzimy – na pola, na ziemię, która dopiero co się narodziła, wciskamy w nią ręce i twarz, niech pończochy rozerwą się i poplamiają, dostaniesz sto par nowych, ale wachaj – wachaj tę przeoraną przed chwilą ziemię, zamknij oczy i wachaj, wachaj... ach, jakże szczęśliwy jest kret, który, choć ślepy, wciąż może w niej grzebać.

Co, znalazłaś gaśienicę? Szybko, rzuć ją w górę, może odleci jako motyl, w takim powietrzu każdy cud jest możliwy, spójrz tylko, jak ja sam odświeżnie rozkwitam, prawdziwy pan w gabardynowej marynarce i golfach. Ale nie, wszak czyhają już tam gawrony z piórami z błękitnej stali, daj, zagrzebiemy tę gaśienicę, uratujemy ją, będzie z tego jakaś tajemnicza historia. Nie ogarnął cię jeszcze dreszcz rauszu stwarzania? Wykop dziurę, a teraz wsadź ją do środka, uratowałaś życie od śmierci zadanej przez twarde dziób, dusza chrapaszczka zabuczy ci w przyszłym roku pełne wzruszenia podziękowanie. Nie śmieję się, chrapaszcz to coś bardzo pięknego, przyglądałaś się już kiedyś szcztokowatym czułkom i jego brązowemu cutawayowi³, czyli pokrywom skrzydeł?

Spójrz na tę łąkę, posmakuj powoli w ustach to słowo: łąki, jakaż rozciągłość i falowanie kryje się w nim; z jej porów wzbija się już srebrny powiew chłodu. A drzewa – niektóre mają jeszcze wszystkie liście i są jeszcze

³ Z ang. przedłużony surdut z zaokrąglonymi polami.

całkiem zielone, tylko w pewnych miejscach widać na nich wyraźnie odcinające się, żółte jak siarka plamy, jak niesamowicie jaśnieją te hektyczne znamiona suchot, którym wkrótce będzie musiało ulec całe drzewo.

Mam jechać od strony rowu, tak lubisz słuchać szelestu liści? Za nic w świecie! W Rocky Mountains jechałem tak kiedyś z Tomem Ramleyem, to facet, który naprawdę nie zna strachu, ale wtedy pod kołami odezwały się jakieś westchnienia i jakieś blade głosy zaczęły szlochać, i nagle widzieliśmy wszędzie oczy z liści, a z drzew po bokach wyrastały kości, które chciały nas pochwycić. Musieliśmy pruć jak wszyscy diabli, bo za nami szedł taki głuchy, upiorny świst, a tuż przed wyjazdem z lasu jedna z tych kościstych rąk zerwała mi z głowy czapkę, czapkę od Burns Brothers, która kosztowała trzy i pół dolara. Gdybyśmy wcześniej nie wypili sporo whisky, skończyłoby się to dla nas jeszcze gorzej. Za żadne skarby świata już nigdy nie pojedę w takim płaskim rowie przydrożnym po żółkłych liściach, poza tym można się wtedy wywrócić.

Już podnosi się mgła i kładzie na ziemi niczym poduszka (lisy warzą strawę, tak mówi się o tym zjawisku w Westfalii), niebezpieczne są czarownice z torfowisk, dusze potępione i rozmaite zaklęte rzeczy. Kiedy będziemy wracać dziś w nocy, nie zabraknie jej nad szosą, ale przejedziemy przez nią śmiało, będą wystawać tylko nasze głowy, fantastyczne i samotne, a w tym białym morzu nasze auto zamieni się w łódź podwodną. Możliwe, że przy okazji spotkamy po drodze porwaną księżniczkę, pilnowaną przez Lindwurma, wtedy wezmę żelazny lewarek samochodowy, zabiję smoka i ożenię się z księżniczką. Ty zostaniesz tutaj, dopóki się nie rozwiode, wtedy wrócę i na zgodę każę ci uszyć ze smoczej krwi płaszcz do jazdy automobilem.

Z drzew spada czarna wata, a może to płaty gazy, jeden gęstszy od drugiego? Chwileczkę, najmilsza, teraz bowiem to już nie żarty, musimy stoczyć bitwę z ciemnością, jedną z tych skąpych dam konwiktowych, która chce nam zasłonić świat i zamknąć go w szafie nocy, żebyśmy nie widzieli nic oprócz jej irytujących halek. Fritz i Budda, bierz ją, bierz ją! Ha, jak oba psy-reflektory rzucają się naprzód i błyszczącymi zębami szarpia szmaty, które mają zasłaniać przedstawienie! Dlaczego tak się wabia? Nie wiem. Tak ochrzcił je żywy Budda z Urgi⁴, gdy podczas wesołej popijawy w Niebieskim Koźle wcielił się w mojej obecności w starszego kelnera Fritza. Ale są posłuszne, wszystko wyszarpią i przytaszcza, spójrz, jaka zawstydzona stoi szosa w bladym negliżu i jak szybko za nami odziewa się z powrotem w czerń, można się uśmieć do rozpuku. Tutaj podskakuje jakaś brzoza panna w jedwabnych pończochach, tam czesze się właśnie wierzba, a z topolami też chyba nie wszystko w porządku, coś poszeptują po kryjomu, zatkaj sobie uszy, żeby nie słyszeć tych pogańskich bzdur.

Ale oto już pojawiają się i domy, krzywe, skulone, zbocze pełne światel,

⁴ Urga – do 1924 r. nazwa Ułan Bator.

potem przez kwadrans te przekłete kocie łby, brama miejska, a teraz na wolnych obrotach przemykamy się cicho uliczkami. Tutaj życie wygląda inaczej, oddycha inaczej, szerzej stoi na nogach i spokojniej patrzy. Tutaj mówi się „Dzień dobry” i „Do widzenia” i to jeszcze coś znaczy; tutaj monetę słowa obraca się jeszcze raz dodatkowo, zanim się ją wyda. A te domy! Czy ktoś nas zaczarował? Jak one stoją, skupione, wysoka czapa dachu nasunięta na oczy, z pelargoniami i rzeźbionymi belkami, stare, piękne, pełne cudownego spokoju. Jak bezpiecznie człowiek się tutaj czuje. Zaraz jutro kupimy taki dom, ten tutaj ze sklepikiem, i na zawsze tu zostaniemy, zostanę bednarzem albo oberżystą w Pod Lwem.

Tylko nie mów, że nie mają centralnego ogrzewania i łazienki, sam to przecież wiem, ale co ty tam wiesz o nastroju, tak czy owak nigdy nie robi się tego, co się mówi. Posłuchaj jeszcze plusku fontanny, rynek, księżyc, zanurzymy dłonie w wodzie, chodź, bądźmy sentymentalni. Jestem wagabunda, który się żegna i rusza w szeroki świat, do mistrza w Danii, wrócę za rok.

Kto napije się tej wody w księżycową noc, ten będzie piękniejszy od wszystkich kobiet; tylko nie wypij całej wody z fontanny, przecież musi być pełnia, a poza tym na cembrowinie musi siedzieć biała wilga. Przejdźmy się jeszcze raz po rynku, ja będę rajcą, a ty moją żoną. Jak stukają buty na obcasach i błyszczy moja peruka, życie jest uporządkowane, wszystko poustawiane jak trzeba, dzieci śpią, ty masz skłonność do korpulencji, a jutro o dziewiątej jest bardzo ważne posiedzenie rady miejskiej.

Uliczki za nami znikają w mroku, wysuwamy się z powrotem ze snu, na horyzoncie połyskuje matowo poświata miasta, z którego wyjechaliśmy, pragniemy je schwytać i milczymy, dopóki nie znajdziemy się przy nim, naszym bogiem jest licznik kilometrów i zegar, bo może jednak wrócimy jeszcze w porę i na koniec koncertu wysłuchamy bisu śpiewaka albo obejrzymy w teatrze ostatni akt – my, niekonsekwentni fantaści.

EPIZOD PRZY BIURKU

Kilka minut po tym, jak zapłonęła lampa przy moim biurku, jakiś cień o srebrnych skrzydełkach pojawił się w kręgu światła i zaczął je spieszenie okrążyć, jakby obawiał się, że przyleciał za późno. Co rusz przypuszczał odważnie daremny szturm na świecący wieniec metalowych drucików żarówki i rozdrażniony oporem odbijał się od niewidocznego szkła jak była kochanka od niewypowiedzianej obcości mężczyzny.

Na widok fruujących moli przekazywana od wieków z pokolenia na pokolenie troskliwość matek każe wstąpić w dłonie obawie o zawartość szaf ubraniowych, i owe dłonie stają się klaszczącymi raz po raz prześladowcami skrzydlatych stworzeń, żeby dostać je między siebie niczym kamienie młyńskie – ziarno.

W mimowolnym odruchu też wyciągnąłem rękę, trochę niezdecydowany, czy chwycić połyskliwego szarozłotego, podzielonego wyraźnie na segmenty owada, którego miałyby rozetrzeć na bezkształtne coś moje zginające się palce. Mól uciekł jednak przed zbliżającymi się upiornymi napastnikami i odfrunął na kość policzkową poźółklej trupiej czaszki obok lampy, a potem, kiedy i tam zagroziło mu niebezpieczeństwo, schronił się w jednym z oczodołów czaszki.

Pełzał trochę po swojej kryjówce, w końcu schował się w cieniu, niespokojnie poruszając skrzydełkami. Wydawało się wręcz, że to wypłoszone w tajemniczy sposób życie zaczęło na powrót straszyć w oczodołach. Przez to znana od lat i swojska głowa przybrała nagle niesamowity, groźny wygląd, i ścigająca mola ręka zatrzymała się. Głowa stanowiła bowiem jakieś mistyczne tabu, nieprzekraczalne refugium jak kościół w średniowieczu dla tych, którzy szukali w nim ratunku przed siepaczami.

Otoczony zewsząd śmiercią, mól wiódł najbezpieczniejszy żywot. Stał na straży życia. W jego kostnej jaskini zwierzę znalazło bezpieczną kryjówkę, która dla kierowanej myślą ręki stała się bladym ostrzeżeniem. Ze stworzeniem związała się bez strachu, natomiast między pojmującym jej istotę człowiekiem a nią samą rozwierała się szczelina zgrozy.

Człowiekowi dane jest niewesołe poznanie; tylko on wie, że musi umrzeć. I jego ciężka tęsknota za wiecznością buntuje się przeciw temu; jednak przykuty łańcuchem do koła czasu porywany jest od przemiany do przemiany. Obdarzony wiedzą, wydany na pastwę losu, ale nie mogąc się przed nim bronić, szuka sensu istnienia, lecz nigdy go nie pojmie.

Jak mocno natomiast pierścień zdarzeń obejmuje stworzenie: bez lęku i gorzkiej wiedzy wędruje ono od rozpadu do rozpadu – nawet oczodół śmierci go nie odstrasza. Tylko człowiek odczuwa przemijanie; czyż nie staje przez to poza rzeczami i nie może już w nie wejść? Co za ironia poznania – która czyni bardziej obcym niż kiedykolwiek...

Z cienia czaszki mól wystawił badawczo delikatne czułki. Podfrunął w górę i znów zaczął krążyć wokół światła; tym razem ręka nie podążyła już za nim... Za oknami podniósł się wiatr, w oddali dudnił pociąg...

OSTATNI OMNIBUS

Przyjeżdża z daleka. Otacza go jeszcze woń lasów i wielkich jezior, a z boku, przy stopniu pod drzwiami, tam gdzie na ostrych zakrętach muskał krzaki i zarośla wierzbowe, wczepiła się jakaś gałązka. I teraz siedzi za huczącym silnikiem błogo i beztrosko ze swymi srebrzystoszarymi kotkami niczym wesóły wagabunda. Owiewa ją gorący oddech cylindrów, ponad nią unosi się zapach pracy i benzyny, gałązka wisi tam jednak odrobinę krzywo, trochę zawadiacko, już od popołudnia, wiernie bierze udział w każdej jeździe – z gmatwaniny ulic wielkiego miasta na odległe małe przedmieścia, gdzie spędza się weekendy – rozbawione dziecko wśród stukających młotami robotników.

Omnibus jeździł przez cały dzień; niczym wielki statek sunął, kołysząc się, po asfalcie, obciążony aż po górny pokład rozgadany ładunkiem. Niezmordowanie pełnił swoją służbę z setkami żółtych braci – spotykali się czasem na skrzyżowaniach i trochę posapali wspólnie nad sobą – w południe, gdy robiło się ciepło, wzdychali już i warczeli głośniej, suche powietrze nieszczególnie bowiem smakuje silnikowi – potem jednak w szybszym tempie pokonywali długą, szeroką drogę wylotową, jeden za drugim w regularnych odstępach, na spotkanie z sosnami i bukami, jeziorami i lasami.

O zmierzchu stawali się małymi, nieco marzycielskimi, brzęczącymi owadami. Niebiesko-złocisty pył wieczoru oprószał ich kobaltem i bladym różem, słońce stojące tuż nad horyzontem zamieniało reflektory i ich światła w srebrzyste błyszczące fontanny, a stare pocziwe omnibusy posapywały niemal baśniowo jak trolle, Liczyrzepy i wierne Eckarty.

Kiedy nadeszła noc, braci zaczęło ubywać. Odtąd spotykali się tylko sporadycznie. Zmienił się także charakter służby. Jak wcześniej w ciągu dnia wyjeżdżało się z miasta obładowanym i zatłoczonym i wracało pustym, wesoło terkocząc i pobrzękując, tak teraz było na odwrót: wyjeżdżało się z miasta prawie bez ładunku, a zjeżdżało do domu obciążonym ponad miarę.

Przystanki poza miastem wydawały się czarodziejskimi magnesami. Z wiosek i ogrodów, z nabrzeży i tarasów kapały pojedyncze osoby i zbijały się w gromadę, która brzęcząc i śmiejąc się, rzucała się na żółty omnibus niczym rój pszczół na słonecznik.

Robiło się coraz ciemniej. Matowa czerwona luna nad niespokojnym odległym miastem falowała teraz upiornie na niebie mocniej i jaśniej. Chłopskie chaty przy drodze błyszczały oświetlonymi oknami pod nisko opuszczonymi

kopułami dachów, jakby wyjęte żywcem z któregoś z wierszy Matthiasa Claudiusa. Las zaś zaczynał szumieć, jakby chciał opowiedzieć którąś z nowel Eichendorffa.

Na przystankach nikt już nie szturmuje omnibusu. Ludzie nie wiszą już u jego drzwi i barierek niczym winogrona. Zdarzają się też wolne miejsca. Nie ma już wielodzietnych rodzin, rozprawiających hałaśliwie i z ożywieniem w jego wnętrzu; żaden ojciec rodziny nie przypomina sobie nagle, że kelner oszukał go na dwadzieścia fenigów, i nie oddaje się bezowocnym, acz tym bardziej gorzkim rozmyśleniom o zemście; i żadna matka nie zastanawia się nad praktyczną stroną polityki wychowawczej.

Są za to młodzi ludzie. Niektóre dziewczęta trzymają w rękach grube bukiety, a ich oczy błyszczą, jakby schwytały wiosnę. Są zakochane i mają przywilej, który w tak doskonałej postaci nadaje każdemu tylko młodość: zapomina się o świecie, a szczęście sprawia, że nawet najpospolitsze i najbardziej przeciętne twarze stają się piękne dzięki urokowi, który posiada wszystko, co dwudziestoletnie. Później – ale kto myśli o tym, co będzie później...

W końcu nadchodzi pora, kiedy kierowca omnibusu wyciąga zegarek i po krótkim postoju z zadowoleniem zajmuje z powrotem miejsce na swoim fotelu: wóz opuszcza miasto, żeby odbyć ostatnią jazdę.

Chłodne nocne powietrze sprawia, że silnik staje się elastyczny. Warczy łagodniej i kierowca, który zna każdy jego dźwięk, twierdzi wtedy, że wóz zaczyna śpiewać.

Wielka, czarna sylwetka przetacza się ulicą. Szeroko rozstawione oczy obszukują bruk, a stożki światła niespokojnie obmacują drogę z dużym wyprzedzeniem. Jeśli w pobliżu przechodzi poeta, myśli pewnie, że to dobroduszny smok pędzi przed siebie i zbiera swoje rozproszone potomstwo.

Omnibus zabiera czekających na poboczu szosy, ostatnich, którzy nie mogli się rozstać z miękkim powietrzem i zwolnionym, miękkim krążeniem krwi, którzy wykorzystywali każdą minutę, żeby z tej delikatnej, drżącej atmosfery, tego spokojnego wytchnienia świata za miastem zabrać ze sobą jeszcze jeden oddech na szare godziny pracy następnego ranka. Nawet jeszcze teraz siedzą blisko otwartego okna i w milczeniu przez nie wyglądają.

Nocny krajobraz prześlizguje się cicho za oknem. Niebo z gwiazdami rozpina się od horyzontu po horyzont, gdzieś z oddali dobiega jakby zagubione szczekanie psów, a czasami reflektory wypłaszają na chwilę z ciemności pary będące w drodze do domu.

Automobile niczym błyszczące żuki świetlne spieszenie i elegancko nadlatują, brzęcząc, z naprzeciwka albo zbliżają się z tyłu i wyprzedzają omnibus, czasem prowadzi szczupła kobieta, jej blade dłonie spoczywają obojętnie na kierownicy, jakby nie należały do niej.

Potem wzdłuż szosy zaczynają maszerować rzędy świateł, długa parada latarni, omnibus przygasza reflektory i włącza małe łagodne światła do jazdy po mieście, jego klakson burczy, pojazd traci swój czarodziejski urok, ze smoka robi się służący, który na gumowych podszewkach grubych opon ukradkiem wynurza się zza zakrętu i spełnia posłusznie wszelkie rozkazy, bo znajduje się już między ludźmi.

Kiedy się gdzieś pojawia, zapanowuje ożywienie. Gromada dżentelmenów wita go patetycznym podśpiewywaniem i unoszeniem lasek w górę. Wspinają się nań z odważnymi minami, które wywołuje często stan zaawansowanego, ale jeszcze nie całkowitego upojenia. Długo i z wielkim namaszczeniem pertraktują z konduktorem; dla nich odwiezienie do domu to ważna sprawa, kolorowa mgielka wątego rozbawienia dodaje nawet najbłahszym słowom, jakie wypowiadają, splendoru bohaterstwa bądź tryskającego blasku dowcipu, a gdy w dodatku któryś zwraca się do konduktora „Panie starszy”, pomieszczenie niemal pęka ze śmiechu.

Inny patrzy z roztargnieniem na swe wyciągnięte nogi i od czasu do czasu mruczy pod nosem czarodziejskie zaklęcie:

– Ten Karl... ach, ten Karl...

I za każdym razem klepie się w kolano i zanosí śmiechem, dopóki nie popadnie na powrót w rozmarzenie i znowu się nie wyrwie ze swym zagadkowym zdaniem.

Oschły i zmęczony konduktor stoi między nimi i z powagą dziurkuje bilety.

W śródmieściu szaleje walka reklam świetlnych. Płonące litery wspinają się niczym mały po prętach klatki, gonią się i wykrzykują nazwy ponad wyludnionymi ulicami. Długi rząd taksówek cierpliwie czeka pod okrągłą tablicą z wirującymi kółkami, które krążą wokół świecących na czerwono liter reklamy parasoli. A w górze ponad dachami, na tle nocy, trwa nieprzerwana dzika gonitwa elektrycznych zdań po obwodzie długiego prostokąta, plotąc coś o nowym filmie, który trzeba zobaczyć. Na ścianie domu pojawia się szampanka, a do tego butelka, lśniące perełki wzbijają się nad kieliszkiem, witane frenetycznym wybuchem radości dżentelmenów.

Na wyjeżdżonym do błysku asfalcie światła odbijają się jak w mętnej, ciemnej powodzi. Zostają w tyle.

Dziewczęta, w tanich sukienkach, jaskrawo uszmkowane, wciskają się w róg pojazdu. Mają zwiędłe rysy, nawet młode spośród nich mają już wypisaną na twarzy ową bezlitosną surowość, którą odciska życie bez iluzji. Gardzą ludźmi i nie ufają im, bo znają tylko te ich strony, które są godne pogardy.

Jedno z bladych stworzeń zaczyna coś nucić pod nosem, jakiś szlagier, refren, ale urywa i szeleszcząc papierem, odwija kanapkę. Zajadają, patrząc przy tym bez wyrazu na swoje dłonie. Że też młode twarze mogą już być takie szare i puste!

Otyły jegomość rozpiera się na siedzeniu, szeroko rozstawiwszy nogi. Splótl

dłonie na brzuchu i chrapie, głowa spoczywa na ramieniu, usta wpółotwarte; w ogóle cała jego głowa wydaje się nieopisanie dziecięca: okrągła, różowa i opromieniona naiwnością w sposób tak cudownie komiczny, jak potrafi to sprawić jedynie sen, podstępny ironista.

Wsiada jakaś para: zajmują miejsca naprzeciw siebie tacy sztywni i wrodzy, pewnie pokłóceni małżonkowie, od razu to widać, z ich min nie przemawia bowiem podniecenie gwałtownej, przejściowej irytacji, tylko zażarta złość, z którą musieli gryźć się latami, a teraz jej błyskawice zwiastują nową kłótnię. Potem jednak pojazd wypełnia fala perfum. Na omnibus zdążyli akurat ostatni goście z jakiegoś przyjęcia.

W drodze powrotnej omnibus zatrzymuje się na wszystkich przystankach – nigdy nie ma dziwniejszego i bardziej różnorodnego ładunku niż podczas tej ostatniej drogi.

W końcu wysiada ostatni pasażer, jaki pozostał. Konduktor ziewa od ucha do ucha, przegląda bloczki i rachunki. Wóz zbliża się do swego portu. Otwiera się ogromna, płaska hala z szerokimi bramami. Jest jeszcze oświetlona, ze środka dobiegają głosy.

Wszyscy żółci bracia stoją już obok siebie i śpią, gdy wjeżdża ostatni omnibus. Koła powoli przestają się kręcić, hamulce wzdychają i wóz nieruchomieje.

Ale już błyszczą na nim strumienie czystej wody, brzęczą aparaty odkurzające, zabierają się do niego skórzane szmatki i ścierki, myje się go, czyści, pucuje i przetacza nad kanał. Jeszcze podczas suszenia zbliżają się doń od dołu dobroczynne dłonie z olejkami, ze smarem i naftą – zmęczone tłoki, zmęczone cylindry, zmęczone łożyska, zmęczone przeguby, wszystkie one wyciągają się i przeciągają w tej przyjaznej miękkości, wchłaniają ją, a następnie przygotowują się do zasłużonego odpoczynku.

Ostatni omnibus zostaje przetoczony w pobliże swoich braci. Gasną już światła w wielkiej hali, kiedy kierowca odkrywa przy stopniu pod drzwiami coś srebrnego: gałązkę z wierzbowymi kotkami. Ostrożnie ją wyjmuje i zabiera ze sobą. Ma w domu młodą żonę.

BORZOJ

Nazwałam go Rat-na-dasz – oświadczyła Bab, kapryśna młoda dama, lubująca się w dekoracyjnych nastrojach i oryginalnych pomysłach – bo dla mnie ma zawsze w sobie coś z łagodnej tajemnicy i cichej obcości. To nie jest pies jak wszystkie inne, poczciwe i przywiązane, które w przejrzysty sposób demonstrują wierność, opierającą się na spekulacjach dotyczących karmienia i tresurze, to nie uniżony sługa człowieka – ale istota trudna do rozszyfrowania, nękana samotnością tak samo jak wszystko, co szlachetne, potrafiąca godzinami trwać w zagadkowym milczeniu niczym hinduski fakir.

I dlatego nazwałam go Rat-na-dasz, bo uwielbiam patrzeć na niego, kiedy leży tam, w kącie na swojej poduszce, niemo i bez ruchu, malowniczo przytulony do niej, w każdym szczególe jego budowy widać szlachectwo i kulturę. Zdumiewa mnie każdy jego ruch, kiedy wzruszona w głębi serca jego gracją, obserwuję z zaskoczeniem jego poczynania – to zawsze jeden obraz – cokolwiek by robił, jego elegancja zniewala i zachwyca: czy właśnie leży ze spuszczoną głową, czy niedbale się podnosi, czy statecznie stapa, czy też długimi susami galopuje po ścierniskach, zawsze jest to obraz i płynne przechodzenie od jednej pozycji do drugiej, żywy rytm piękna.

Tak bardzo otacza go magia kruchej istoty, że można by mu oddawać cześć na zasadzie kultu, nie narażając się na śmieszność we własnych oczach. Ma on coś wspólnego z żyrafą, tym najelegantszym zwierzęciem żyjącym w stanie dzikim; wydaje się niemal nierzeczywisty w dekadencji szczupłego ciała na długich nogach. Człowiek uprzytomnia sobie niesamowite skoki australijskiego kangura, kiedy widzi go płynącego nad ziemią; jego ścięgna sprężynują, jakby ciało było niezależne od praw grawitacji, i wręcz oczekuje się od niego, że po kolejnym potężnym odbiciu wzięci nagle w błękit nieba i zniknie.

Proszę tylko spojrzeć na niego, ten wąski, podłużny łeb rosyjskiego charta o cienkich, ciasno osadzonych uszach, w których prześwituje tętniąca krew. W brązowozłoty oczach tkwi tak wielka niema melancholia, że zatracając się w tej melancholii, człowiek domyśla się tajemnicy stworzenia.

Lubię chodzić z Rat-na-daszem po jesiennym lesie. Kroczy wtedy wśród spadających i spadłych liści między drzewami i wydaje się fantastycznym stworzeniem zrodzonym z barokowego kaprysu i w tajemniczy sposób zaczarowanym. Musiałby go pan widzieć, jak pośród całego tego barwnego umierania tylko on jest sprężystym, skoncentrowanym życiem, wcieloną w

zwierzę floretową klingą w elastyczności wygiętej linii grzbietu.

Nie wymaga się od niego żadnej ze zwyczajowych psych cnót; nie musi być czujny ani tresowany, żeby atakować ludzi, nie musi być mądry ani pocieszny, ani zręczny – to luksusowe stworzenie pozbawione praktycznej wartości użytkowej, ma być tylko piękne – gdyż wszelkie piękno nie ma konkretnego celu i jest piękne samo w sobie...

– Ależ, Bab, czy po tym hymnie na cześć borzoja wierzy pani, że na bezkresnych stepach Rosji potrafił on schwytać lisa w trakcie skoku i zadusić wilka w biegu? Może tajemnica jego wyodrębniającej się obcości, której zaimprovizowaną pochwałę wygłosiła pani przed chwilą, kryje się w tym, że on, którego rodzice jeszcze zaciskali zęby na wilczym gardle, jest już tylko elegancką powłoką ich efebowej smukłości. A gdy smętnie milczy, to w jego krwi odzywają się może odziedziczone wspomnienia przodków, należących zapewne do sfory wielkiego księcia Nikołaja Nikołajewicza w posiadłości Perchino.

Każdej jesieni wielki książę zjawiał się w Perchino, aby urządzić polowanie na wilki. Proszę sobie wyobrazić wspaniały obraz myśliwych wyruszających o świcie. Każdy prowadzi na smyczy trzy powiązane ze sobą borzoje. Otaczają duży obszar leśny, dopóki nie zostanie obstawiony dokładnie, a następnie na swoich stanowiskach czekają na zwierzynę, którą ma im napędzić nagonka.

Młodzi myśliwi w czerwonych półkaftanach na koniach doprowadzają teraz sfory. Tym ułożonym do polowania z nagonką borzojom nie wolno jednak chwycić zwierzyny, mają ją tylko wytropić i popędzić w stronę psów trzymanyh jeszcze na uwięzi.

Ujadając na całe gardło, stado smukłych białych ciał przedziera się przez gąszcz. Wkrótce potem na skraju lasu zapanowuje ożywienie. Na wolną przestrzeń lekko wypadają zające. Pozwala się im umknąć. Pardon daje się też lisowi, który ostrożnie węszy i rozgląda się dokoła. Ale nagle tężeją rysy myśliwych; szczekanie goniącej sfory brzmi wyjątkowo dźwięcznie i gniewnie. A odrobinę później pojawia się już na polanie szary cień i przemyka w kierunku stanowiska stojącego najbliżej myśliwego, który w następnej chwili wypuszcza swoją sforę. Rozpoczyna się gonitwa na śmierć i życie. Trzy charty rzucają się na uciekającego wilka. W końcu go dopadły. Biegnący na przedzie atakuje go tak wściekle w trakcie skoku, że koziółkuje razem z bestią. W chwilę potem przyduszony wilk leży już na ziemi. Podbiegają pacholki, pętają go i przynoszą do czekających sań.

Dosyć często jednak pacholkom nie udaje się podbiec w porę, zanim jakiś szczególnie silny dusiciel solista uśmierci wilka w pojedynkę. Ale poza tym chwyci się jedną bestię po drugiej, aż cała wataha zostaje wylapana i dźwięk rogu zwołuje psy.

Dziś w Rosji Sowieckiej nie ma już polowań z borzoja-mi ani hodowli chartów. Minęły czasy, kiedy jeden tylko właściciel ziemski, Samsonow ze Smoleńska, posiadał psiarnię liczącą tysiąc chartów...

Bab, czy potrafi pani to sobie wyobrazić? Tysiąc Rat--na-daszów równocześnie, tysiąc tych rasowych stworzeń o szlachetnych członkach, z połyskującymi jedwabiście lokami długiej sierści, jak pędzą niczym dzwoniący orkan ku horyzontowi bezkresnego stepu? Co za widok!

A teraz żegnam panią i dziękuję za herbatę. Może ta rozmowa dała pani nowy asumpt do zabawy świecidełkami myśli, aby w wolnym czasie mogła pani obwieszać nimi swego ulubieńca: borzoja Rat-na-dasza!

SZCZĘŚCIE STALOWYCH KONI

Kiedy niebo rozpina się nad światem niczym błyszczący dzwon z lazurytu, a horyzonty spoczywają miękko na lasach i górskich łańcuchach, kusząc i obiecując, wtedy odgłosy silnika między rzędami domów brzmią inaczej niż zwykle, mruczy on i warczy, i prychnie jak rozgniewany kot – a kiedy wyskakuje się z wozu, żeby rozpocząć w pracy kolejną zmianę, wówczas rozbłyskuje magicznie na tablicy rejestracyjnej międzynarodowe „D”, przykuwa spojrzenie i wywołuje przelotne wizje: jak daleko okiem sięgnąć, szerokie holenderskie szosy między polami tulipanów i zapierająca dech jasność morza na horyzoncie... karkołomne przełęcze alpejskie, gdzie przepaść czyha w odległości paru kroków od wozu, a ośnieżone górskie szczyty wydają się narysowane srebrną kredką na tle błędnącego nieba... ciepły, zmętniały brąz równiny umbryjskiej, przez którą wóz sunie powoli na zmniejszonych obrotach pośród przenikniętego głosem dzwonów włoskiego wieczoru...

Takie obrazy zapadają głęboko, wytrwale, nieodparcie, aż wreszcie pewnego dnia zostają przytaszczone i przytroczone na bagażniku wozu ciężkie skórzane walizy, a kierowca starannie uzupełnia strój podróżny i wyrusza w drogę, aby ponownie przekonać się, jak wygląda świat z sześćdziesięciu koni mechanicznych, które tętnią kopytami.

Wiele uwagi należy poświęcić ubiorowi. Jazda samochodem stawia szczególne wymagania, dlatego specjalna odzież jest nieodzowna.

To oryginalny paradoks, że technika, o której wrażliwe umysły do dziś twierdzą, iż swoją rzeczowością zabija wszelki poetycki nastrój, umożliwiła nową romantykę podróżowania w najdoskonalszej, niewyobrażalnej wprost postaci.

Kolej żelazna jest tylko środkiem transportu; nie można nią podróżować we właściwym sensie tego wyrażenia. Podróżować znaczy wałęsać się bez celu, w zupełności zdając się na gust i upodobanie, odpowiednio do nastroju, humoru i otoczenia.

Samochód natomiast jest pojazdem kolorowych impresji podróżnych. Daje swobodę bez granic, pozwala na cudowne włóczęgi, zawsze owiane urokiem bezpośredniego przeżycia, nieoczekiwanej sytuacji, przygody. Człowiek wyrusza, kiedy chce, może się zatrzymać i pobyc tam, gdzie chce, jedzie tak szybko lub drynda się tak wolno, jak chce, można ulegać każdemu podszeptowi, nie ma żadnych stałych wytycznych, nie musi nigdzie zdążyć ani czekać na żadne połączenia, znów może – o najcudowniejsza rzeczywistości! – po prostu

wyjechać w nieznane i pozwolić, by trasę wyznaczały przeżycia; o nic przecież nie trzeba się troszczyć, zatankować można w najmniejszym nawet przysiółku, kwaterę znajdzie się wszędzie - a i od niej można się uniezależnić, zabierając namiot, i rozpocząć niczym nieskrępowane życie kempingowe, które ożywia wszelkie ideały wieku chłopięcego, kiedy marzyło się o Indianach. Co za podniecające połączenie przeciwieństw: wieczorem nad brzegiem jeziora w wielkiej zgodzie z naturą piec nad ogniskiem świeżo złowione ryby, zajadać zupę grochową, przynosić słomę na nocleg w namiocie, w sumie rzeczy prymitywne i wspaniale pierwotne, a pośród tej idylli zamontowana naprędce na wozie antena wyczarowuje wyrafinowane dźwięki saksofonu związane z upadającą kulturą.

Duży zasięg działania czyni z samochodu pojazd człowieka naszych czasów, który zmuszony jest odczuwać i przeżywać szybciej, zwięźlej, istotniej i pełniej niż wcześniejsze pokolenia. Dzięki kontrastom i zmianom można osiągnąć postęp, niewyobrażalny w wypadku każdego innego pojazdu. Wczesnym rankiem wóz podskakuje jeszcze na małomiasteczkowym bruku - i przejeżdża się przez środek miasta, a nie w przedziale kolejowym na nasypie, po którym biegą szyny - godzinę później słucha się brzęczenia pszczół na zalanym słońcem wrzosowisku i cały świat zdaje się odpływać w niebyt wobec bezkresnej równiny - ale już w południe je się wykwinny obiad w eleganckim kurorcie w jakimś modnym luksusowym lokalu - a po południu jedzie się nad jezioro, bo koniecznie trzeba się wykapać - wieczorem wóz opuszcza plażowe corso i wjeżdża w głąb ciemnych leśnych dróg, prehistoryczna, brzęcząca baśniowa istota ze świetlnymi czułkami reflektorów, na podobieństwo upiórów obmacującymi cienie. Pod obracającymi się kołami mozaika krajobrazu zrasta się w swej różnorodności w długą rewię i zamienia w fantastyczny kalejdoskop, gdy strzałka tachometru zaczyna się podnosić, a świat na białej taśmie szosy umyka równie szybko jak szalony film.

BYLE NIE PIESZO!

„Auto-sugestia” współczesnego człowieka.

Przed trzydziestu laty jeszcze śmiech świata, niewyczerpana kopalnia motywów dla pism satyrycznych i karykaturzystów, asumpt do kręcenia głową dla każdego „rozumnego” człowieka – przed dwudziestu laty już plujący ogniem, wymagający napraw, łatwo wybuchający potwór, głośnym terkotem straszący dzieci w wioskach, do którego najbardziej wskazane byłoby zabieranie od razu drugiego wozu z warsztatem naprawczym – przed pięcioma laty już ulubiony rekwizyt dla cinkciarzy, a dla lewicowych inteligentów wygodny obiekt ataków, pozwalający im zaprezentować swoje poglądy w skondensowanej postaci za pomocą paru dobitnych słów – dziś natomiast potęga, czarownik, tęsknie pożądaný cel każdego: automobil.

„Byle nie pieszo!” – to dewiza nowoczesnego wielkiego miasta. A cała historia zaczęła się od roweru. Poruszanie się siłą własnych mięśni prędko jednak przestało uchodzić za „modne”, mimo że niejednemu bardzo dobrze by to robiło. Ta tajemnicza rzecz, ten zagadkowy silnik urzekł wszystkich; człowiek nie czuł się dobrze, dopóki i on nie mógł rzucać owymi bajecznymi nowymi terminami, kołmi mechanicznymi, cylindrami, skokiem tłoka i mocą hamowania.

Osobnicy obdarzeni tęgą głową uczynili z kłopotu cnotę. Dla tych, którzy nie mogli sobie pozwolić na prawdziwe auto, wymyślili silnik pomocniczy, dający się zamontować przy każdym rowerze. I wtedy się zaczęło! Kiedy widziało się taki sapiący, prychający, stękający rowerek, wybuchający cichutko i mozolnie, ach, jakże mozolnie wlokący się drogą w tempie piechura, powstawały potem we wspomnieniach najbardziej urokliwe małomiasteczkowe idylle, a zwieńczenie tej konstrukcji stanowił solidny stukilowy jegomość, który z marsową miną groźnie patrząc w dal, siedział na biednym, sapiącym rowerku w napiętej po sportowemu pozycji, jakby jechał decydującą rundę w wyścigu o Wielką Nagrodę Monzy z prędkością 150 kilometrów na godzinę. Nic dziwnego, że nieszczęsny stalowy szkielet pod ciężarem tej ogromnej masy uwodnionego tłuszczu kończył marnie i szybko wydawał ostatnie benzynowe tchnienie.

A tak w ogóle to liczy się wyłącznie oprawa! Właśnie u motocyklistów! Jeszcze przed zdaniem egzaminu przed bardzo surową komisją kupuje się strój do jazdy. Lustra sklepowe skręcają się ze śmiechu, kiedy panicz niczym paw ogląda swoją niezbyt korzystnie obdarzoną przez matkę naturę sylwetkę w cudownie odstającej skórzanej kurtce najnowszego kroju, kiedy gigantyczna

czapka z pętelkami, rzemykami, nausznikami, guzikami, skórzanymi paskami – oraz, w miarę możliwości, z wbudowaną lornetką i licznikiem kilometrów – zdobi sympatycznie pusty plac rysów twarzy, na którym tylko uszy są ponadczasowej imponującej wielkości... a obfitość ciała jego towarzyszki wypełnia do ostatka ogromne bryczesy w kratkę. Takie jest bowiem niepisane prawo: Im pulchniejsze krągłości, tym pewniej właścicielka owych wspaniałych skarbów zechce je zaprezentować w nowym blasku, wkładając bryczesy! A niech tylko ktoś powie, że bryczesy dobrze wyglądają tylko na kobietach o szczupłej, rasowej figurze, że są też bardzo praktyczne spódnice sportowe, które u korpulentnych spełniają ten sam cel... precz, kusicielu! Jesteśmy sportowcami czy nie? A więc bryczesy, choćby potrzebny był dodatkowo specjalny gorset, żeby uchronić się przed zdradzieckim pękaniem nie rozumiejących niczego szwów.

A teraz do dzieła! Dawajcie maszynę! Jest ona właściwie trochę lekka i przeznaczona tylko dla pojedynczych cyklistów, ale za to na pewno czasami rozwija prędkość powyżej dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. A więc kiedy siedzi się na niej we dwoje, to ponad pięćdziesiąt. Dlatego wskakuje się w skomplikowane hieroglify swetra w piękne egipskie wzory, sznuruje kamasze na goleniach, zapina paskiem skórzaną kurtkę na łądźwiach, obleka dłonie w potężne, sięgające aż po łopatki rękawiczki, owija muskulaturę aparatu głosowego nieskończenie długim szalem, wciąga na głowę czapkę kominiarkę, wieszka na szyi szykowne okulary przeciwsłoneczne – i wreszcie w drogę, ruszajmy pędem z pomocą półtora konia mechanicznego!

Stop, jeszcze nie! Zapomnieliśmy włączyć zapłon i teraz grzebiemy przy rozruszniku, wykonując wściekle przysiady i klnąc na kiepskie wykonanie, zanim to zauważymy – a raczej zanim zwróci nam na to uwagę wśród hucznych oklasków licznej publiczności jeden z przyglądających się nam szyderczo chłopaczków, którzy od dawna są fachowcami.

Zblamowani do głębi szoferskiej duszy kierowcy znikamy czym prędzej z miejsca, które było widownią naszej nieudolności. I wkrótce potem wraca nam optymizm... – bo czyż nie wyglądamy szykownie? Nowocześnie, elegancko, sportowo? W tym rynsztunku jest wprawdzie okropnie ciepło – ale czego się nie robi? Ubranie się w wełnę i skórę przed każdą jazdą, choćby to była tylko przejażdżka od Kaiserdammu do Unter den Linden, to kwestia honoru, jakby człowiek wybierał się prostą drogą na biegun północny, i to bez przerwy.

Nie docieramy jednak na miejsce! Już na najbliższym rogu silnik zaczyna żałośnie szlochać, a rura wydechowa okropnie gdakać. Po chwili oba przestają funkcjonować i biernie, acz uparcie opierają się wszelkim próbom naprawczym w tym zakresie. Ponieważ chcieliśmy być mądrzy, nalaliśmy z rana parę kubełków oleju, żeby nic się nie zatarło z przegrzania. Teraz świece są zalepione olejem i strajkują. Oczywiście mamy przy sobie wszystko, tylko nie zapasowe świece. Na dodatek jest niedziela... Tego, że świece można oczyścić, nie wiemy...

A zatem stara śpiewka w nowej wersji: „O, pchaj, dopóki możesz pchać...”

Oprócz kierowców „sportowych” jest jeszcze drugi typ: „kierowca dandys” oraz „dama w przyczepce”. Motocyklista dandys jeździ tylko w białych zamszowych rękawiczkach; czapkę nosi zawsze na odwrót, daszkiem do tyłu. Trzeba przyjrzeć się kiedyś jego wytwornej elegancji, gdy nonszalancko dystygowanym gestem unosi rękę, aby pokazać, że chce skrócić! Bajeczna sprawa! Niekiedy jeździ też bez rękawiczek – lecz tylko wtedy, kiedy ma publiczność. Jego maszyna jest naturalnie niezrównana! „Dama w przyczepce” bryluje najbardziej jedwabnymi pończochami, to wręcz ultracienkie jedwabne cuda, których dalibóg nie będzie się ukrywać. Do tego buty jak wiersze o niemal transcendentnym kształcie linii. Jako skończona estetka nastroju pudruje się stosownie do koloru krajobrazu i dlatego, z uwagi na zmieniający się charakter otoczenia Berlina, ma ciągle pełne ręce roboty. Nie ma nic ponad kulturę w przyczepce motocyklowej!

Silnik motocykla nie na darmo wszak jest istotą żywą! Dla kompensującej sprawiedliwości ingeruje on w tego rodzaju przesadną wyniosłość i potrafi cudownie wykorzystać prędkość obrotów, by rozpryskiwać drobniutkie krople oleju, które wnet sprowadzają myśli delikwentki z powrotem na nieco smutniejsze tory płynu do wywabiania plam...

Ale dlaczego mówimy jeszcze o tych pchłach szos, czyż nie czekają nas ważniejsze rzeczy? Czyż automobili nie daje się wręcz w prezencie, wciska, gratis i z bonusem, niemalże na raty po 1,50 marki? Sprzedawca udowadnia to przekonująco. Bierzemy więc już w imię Boże taki sześćciosobowy wóz, który ma 24, 40, 140KM, żeby zrobić grzeczność temu człowiekowi...

Najważniejszy jest oczywiście lakier i klakson. Kiedy wóz ma właściwy kolor, pasujący do sportowego kostiumu, to wóz działa bez zakłóceń – myśli pani małżonka – a im głośniejszy klakson, tym wóz wydaje się stabilniejszy. Hamulce na cztery koła to oczywistość; pani nowobogacka domaga się nawet dodatkowego zapasowego hamulca na koło zapasowe... Lepiej za dużo ostrożności niż za mało.

Teraz jednak zaczyna pan małżonek; jego ganiący wzrok pada na tablicę rozdzielczą...

– Tu przecież nic nie ma...

Zostały obrażone jego najświętsze uczucia – naszpikowana przyrządami deska rozdzielcza jest bowiem dowodem każdej automatycznej znajomości rzeczy i po prostu niezbędna dla każdego kierowcy, który ma ambicję. Musi ona wyglądać jak nastawnia wielkiej stacji kolejowej – a im mniejszy wóz, tym więcej musi na niej być manometrów, tachometrów, zegarów, dźwigni, guzików, aparatów kontrolnych i tysiąc innych rzeczy. Choć większość z nich jest zbędna albo nie działa, nic nie szkodzi... całość ma cudownie skomplikowany wygląd, a to najważniejsze! Zwłaszcza wieczorem, kiedy oświetlające je magicznie niebieskie i zielone specjalne lampki wzbudzają podziw u każdego laika.

Automobil ma nad motocyklem tę nieocenioną przewagę, że nie wywraca się tak łatwo. Można więc śmiało prowadzić pojazd bardziej beztrąsko. Na nikczemność zakrawa jednak fakt, że na początku szosy nigdy nie są dostatecznie szerokie. Poza tym warsztatów naprawczych nigdy nie ma tam, gdzie przytrafi się nam jakaś awaria, tylko zazwyczaj w odległości dwudziestu kilometrów. Ale to nic, po prostu dajemy się odholować. Zatrzymujemy następne auto, dwa palce do czapki – „Panie kolego, mała awaria” – wyciąga się sznurek i jazda. Kiedy jednak potem okazuje się, że cała awaria to osiadły w gaźniku pyłek, który wystarczyłoby zdmuchnąć, wydaje się nam niepojęte, dlaczego „pan kolega” okropnie się zżyma, a reperator trzyma się za brzuch ze śmiechu nad „niedzielnymi automobilistami”. Kto by się zresztą wyznał w tych wszystkich drobiazgach...

Ulubionym sportem jest polowanie autem na niedzielną pieczeń; szczególnie preferuje się drób. Poza tym jest rzeczą najzupełniej oczywistą, że szczęśliwy powrót nocą do rodzinnego miasta należy odpowiednio uczcić i podać mieszkańcom do wiadomości rozgłośnym trąbieniem. Precz z przestarzałymi względami!...

Ach, można by opowiedzieć jeszcze o tylu innych godnych uwagi sprawach – o człowieku, dla którego nie ma na szosie pojazdu nie dającego się wyprzedzić – aż w końcu ma okazję sprawdzić wytrzymałość swojego wozu na rozerwanie wskutek zderzenia z drzewem – o kierowcy nazywającym wszystkie inne wozy oprócz marki, którą sam jeździ, nędznymi „maszynami do szycia” – o „gablotach rodzinnych”, o piknikach na łonie przyrody, o wspaniałych wyjazdach na weekend nad jeziora marchijskie, o niezapomnianych godzinach i dniach...

Tutaj wszelako zaczynamy już fantazjować...! Niech będzie, jak jest – choćbyśmy posiadali starą jak świat, żalną „furę”, z której wszyscy się śmieją – niech się śmieją – najważniejsze, że porusza się i jeździ. – Czy to luksusowy wóz mający 120 KM, czy jednocylindrowy mający tylko dwa – być własną koleją żelazną, ustalać odpowiednio do swoich potrzeb rozkład jazdy i zatrzymywać się akurat tam, gdzie świat się nam podoba, to dla każdego piękne uczucie!

TRAGICZNA ROZMOWA

Lucie, bawiąc się swym małym stetoskopem z kwarcu różanego do badania duszy, skrzywiła usta.

– Jack depeszował, pyta mnie, czy chcę zostać jego żoną; Gregory mówił dzisiaj o przyszłości pewnych aparatów do wzmacniania prądu i jaki kapitał trzeba by mieć na początek, i chodziło mu właściwie o to samo co Jackowi, tylko wyraził się trochę bardziej rzeczowo... Lissie, widzisz tego wysokiego bruneta? Wygląda na demonicznego typu. „Napromieniujmy” go.

Włączyła stetoskop do badania duszy i nastawiła odległość w metrach. Na małej niebiesko-zielonej skali pojawiły się żółte paski. Lucie z rezygnacją pokręciła głową.

– Okropność, spójrz tylko, Lissie! Niebieski, a więc umysł filozoficzny z romantyczną domieszką – zielonożółty, a więc dobra pamięć, kiepski pilot, umiarkowany w jedzeniu, pedantyczny mąż... czyli nie demon, Lissie... Zawsze tak jest...

Przemknęła obok nich gromada masek. Lucie zdecydowanym gestem zatrzasnęła swój tester.

– Ciagle to samo, ciagle to samo. Daleko zaszłyśmy ze swoimi aparatami! W ciągu sekundy można przeprowadzić sekcję i dokładnie zanalizować każdego człowieka. Miłość została zamordowana przez elektryczność. Jak można kochać kogoś, jeśli od razu zna się go dokładnie?

Lissie skinęła głową.

– Niespodzianki umarły. Wszystko wiemy z góry. W miarę jeszcze byłoby ciekawie, gdyby nie dzieliło się z nikim tej wiedzy. Ale wszyscy pozostali też wiedzą wszystko z góry!

Na tarasie przygotowywano scenki pasterskie. Zażywni jegomoście tańczyli lendlera i tworzyli korowód, spokojnie klaszcząc w dłonie.

Lucie pokazała na nich.

– Tak daleko zaszłyśmy! Sielanka wygrywa! To od nadmiaru harmonii! Wiemy przecież wszystko – jeśli ktoś chce coś ukraść, jego myśli świecą czerwono na kryształowej płycie tej skrzynki. Jeśli chce skłamać, pojawia się siatka czarnych nitek. Nikt nie może już zrobić niczego złego ani złośliwego, bo wcześniej zdradziłyby go nasze aparaty. Dlatego wszędzie zapanował spokój.

– Dawniej, Lucie, podobno było inaczej! Były tragedie, łzy, nienawiść, miłość, porwania, tajemnice, ciekawość...

- Nie mam już nawet nadziei, że uda mi się coś przeżyć!
- Obie westchnęły i popatrzyły na tańczących lendlera jegomościów.
- Ja się wycofuję... – oświadczyła nagle Lissie stanowczym głosem.
- I co chcesz robić, kochanie?
- Skończę z tym!
- Lissie! Chcesz się zabić...?
- Tak!

Przez chwilę panowało milczenie. W końcu Lucie mruknęła:

- Ja też!

Pocałowały się na pożegnanie, jednym susem przeskoczyły przez balustradę otaczającą taras dachowy 112-piętrowego hotelu i ze świstem pomknęły w dół.

Na wysokości dziesiątego piętra wylądowały jednak miękko, schwytane przez niewidzialne urządzenie, które automatycznie włączało się w momencie skoku, i zostały przewiezione windą z powrotem na górę.

Rok dwutysięczny pięćsetny był po prostu przygotowany na każdą ewentualność; nawet próby samobójcze były wykluczone i z góry wiadome; nie dało się przed nim uciec.

Bez iskiej nadziei przyjaciółki popatrzyły na siebie.

Zadepesuję do Jacka, że może przyjechać... – oświadczyła smętnie Lucie.

HYMN NA CZEŚĆ KOKTAJLU

W przygaszonym świetle butelki z likierami połyskiwały niczym rubiny, opale i topazy. Światło tworzyło w rżniętym szkłe srebrne akcenty i tonęło w półmroku zaścielającym kąty pomieszczenia niczym grube dywany. Kobiety przypominały tonacją barw smukłe flamingi.

Lavalette uśmiechnął się: Opium to dobry narkotyk; uspokaja i odsłania sens rzeczy. Ale tak naprawdę można je palić tylko w Sajgonie i Kantonie, gdzie indziej jest fałszowane. Morfina to coś dla niegustownej rozpaczki, a kokaina to środek odurzający dla dyletantów życiowych. Działają one zbyt nagle, ażeby można je było powiązać z jakimś stylem. Kiedy chcemy intensywniej przeżywać chwilę obecną, nie zatracając poczucia taktu, pozostaje nam tylko mieszanie likierów. Wino sprawia, że poeci zaczynają mówić. Rozwiązuje język i inspiruje do opowiadania – a kto jest bardziej gadatliwy niż poeta! Wino to napój lekkiej radości życia – nie można bez niego żyć, wino łączy i pokonuje przeszkody, podnosi nastrój i zbliża ludzi do siebie.

Koktajl zaś to esencja. Pomaga w koncentracji, a zarazem czyni milczącym. To nie napój, tylko trunek. On stanowi obiektywny miernik wartości, odsłania różnice i przeciwieństwa. Nie zachęca do bratania się, tylko kusi do szarmanckiej samotności. Kocha mały krąg, nie gromadę.

Trudno rozpoznać cezurę miłości; jeszcze trudniej kierować się jej prawami, najtrudniej zaś odczuwać w najsubtelniejszym rezonansie to, co nieuchwytnie i niewytłumaczalne w kobiecie, co rzadkie, jasne, niestrzeżone, nagle. Ale czy łatwiej za pomocą czystej esencji pomarańczowej i gotowanej benedyktyнки wyczarować z marasquino di Zara migotliwy melanż purpury, błysków noża i oproszonego złotem nieba i dzięki paru kroplom likieru morelowego ze śmietanką z koziego mleka nadać tej mieszaninie urzekający zapach Południa, woń słońca, pożółkłej trawy, pasterzy z brązu, Pana i hałasów w którymś z portów Romanii?

W picciu likierów bez mieszania ich z innymi alkoholami kryje się pewien prymitywizm. Gorzej jednak pić ciężkie wina z szampanem. Wino i szampan mają bukiet, dlatego należy je pić osobno. Likiery mają duszę; dopiero z reagentem objawiają całe swoje bogactwo.

Każdy koktajl jest kompozycją. Są koktajle w C-dur – czy można je sobie wyobrazić bez koniaku? Albo w as-moll bez ananasa? Czy przyjemne

impromptu w Es-dur jest możliwe bez wanilii i cordial-medoc?

Jakże wdzięcznym zadaniem jawi się komponowanie symfonii chwili lub sonaty kaprysu. Na początek idzie, jako allegro, klarowne curacao, główne składniki to koniak i czysta wódka, po których może nastąpić sekwencja z niewielką ilością bardzo starego portwajnu. Potem andante con moto alla Manhattan, melodyjne adagio na sposób flipa, con sordino w postaci Pousse-cafe, może jeszcze dla amatorów groteskowe scherzino z alaszem i mokką, a na koniec pogodne rondo miętowo-absyntowe.

Możliwych kombinacji jest zresztą bez liku, istnieje wiele wariacji tematu z dżinem, creme de menthe i nikolaszką. Chopin po zagranii nokturnu przejeżdżał zwykle kciukiem po klawiszach z dołu do góry, aby przez to nagle urwanie nie dopuścić do przesiąknięcia codzienności smutnym nastrojem. Podobnie ktoś, kto przeszedł przez cykl koktajlowy, powinien skończyć ostrygą prerii z dużą ilością czerwonego pieprzu i sosem worcester.

Na rozsądku przy mieszaniu koktajli nie da się daleko zajechać. Dopiero spleen dodaje swego rodzaju pieprzu. W tym miejscu powstają nowoczesne mity. Jak cień pojawia się Kinsley. Kinsley był na morzu koktajli nieomylnym kompasem, który instynktownie wskazywał właściwy kierunek. W ponure listopadowe czwartki mieszał inaczej niż w majowe niedziele, z owoców, likierów i arabskich rodzynek potrafił wydobyć w biedermeierowskim wnętrzu srebrzysty dźwięk klawesynu, wiedział, że dla smagłej dziewczyny, z którą siedzi przy wysokim gotyckim oknie, winien przyrządzić inny koktajl niż dla jasnowłosej golfistki na tarasie klubowym.

Nie pytał, sam rozpoznawał typ człowieka, który potem odtwarzał w shakerze. Zwyciężał bez słów, rozszyfrowywał bez pozbawiania czaru.

Jak wieczorem nie nosi się jasnych garniturów, tak samo nie miesza się po zmroku jasnych koktajli. A najbardziej tajemniczy jest likier szarej godziny.

Podgrzany apricot, z dosypanym w ostatniej chwili pyłem lodowym, łączy się z prunelle, wstrząśniętą nalewką imbirową, gorzką pomarańczą i wpuszcza kroplę cytryny, potem dodaje się śmietanę, a zaraz po niej dwie krople curacao. Rozpoczyna się krystalizacja w shakerze; mniej więcej przez trzy minuty można będzie obserwować, jak napój burzy się ku brzegom naczynia. Kiedy z wolna się uspokoi, od środka promieniście rozejdą się odnogi. Nasycone kryształy zawisną w naczyniu niczym plastry pełne miodu. Dodaje się świeży sok ananasowy i przelewa zmieszany napój – najlepiej do okrągłej kryształowej karafki, szczelnie ją zalakowuje, podgrzewa i studzi przez godzinę w wodzie, dopóki nie osiągnie temperatury lodu. Przez siedem nocy podczas pełni wystawia się butelkę na światło księżyca, a potem trzyma w ciemnym miejscu.

Słońce nie ma prawa do niej dotrzeć. Po roku można butelkę otworzyć.

Otrzymana esencja służy jako podstawowy składnik koktajlu szarej godziny.

Do tego dochodzi jednak jeszcze jedenaście innych ingrediencji, których nie wymienię.

Do mieszania trzeba specjalnej umiejętności łączenia tego, co różne, w jedno. Koktajl jest różnorodny jak życie. To diament, który lśni tysiącem barw i błyszczy szlifem wielu faset, ale to w dalszym ciągu diament.

Znając ciężar likierów, można wydobywać z nich grę barw i układać składniki warstwami jak kolorowe płytki kwarcu. Zielone włókna prunelle i czerwone odnogi sherry tworzą w czystej wódce osobliwe spirale – w płaskich czarkach układa się z nich poezję niuansów w stylu Kandinsky'ego, dodając po kilka kropel starego rumu, araku i soku z czarnych porzeczek. Jałowiec i gencjana z chłodnych kamionkowych dzbanów tworzą z najczystszy destylatem śliwkowym i wiśniówką wspaniałą bukiet, który uzupełniają ciężkie, oleiste likiery sporządzone według pożółkłych mniszych receptur.

Mieszanie powinno się zaczynać od nie mniej niż trzydziestu jednostek likieru. Trening jest konieczny. Koktajl pragnie czuć rękę mistrza. Mechaniczne zlewanie różnych składników to jeszcze nie mieszanie. Po pewnym czasie rutyna przestaje pomagać i wtedy potrzebny jest talent. Mistrzami zostają tylko nieliczni.

Gdy Lavalette umilkł, zebrani przypuścili szturm, domagając się od niego receptur. Rozejrzał się pogardliwie dokoła: Receptury! Oto dzisiejszy świat – receptury! Praktyczne wykorzystanie do użytku domowego! Jak mogę znać receptury... czy wtedy mógłbym tak mówić? Tak wielka bliskość tylko pozbawia czaru. Dopiero dal daje wyjaśnienie. Jeśli chcecie receptur, zapytajcie miksera przy barze! Zresztą co wy, pochłonięci pracą, rozumiecie z gracji i twórczego rauszu teorii...

METAMORFOZA MELCHIORA SIRRA

Historia fantastyczna

Melchior Sirr należał do owych dziwnych z natury ludzi, w których to, co nieprzewidziane, pączkuje niczym drzewo wiśni w kwietniu. Struktura jego przeżycia była metafizycznym romboidem, w którym wszystko, co normalne i solidne, ostrożnie postawione na głowie, zaskakująco odbijało się we wklęsłych soczewkach jego wyobraźni.

Nigdy nie kusila go dziwaczność, choć podążała za nim niczym tresowany owczarek. Kiedy księżniczka Parmy zagadnęła go na bulwarze St Michel i poprosiła, by przez godzinę towarzyszył jej podczas przejażdżki w zapadającym zmroku – tym srebrzystoszarym, gołębiem zmroku pierwszych majowych wieczorów, kiedy aleje są potężnymi wiosennymi kandelabrami, a powietrze pachnie jak wino z Prowansji – on, uśmiechając się z roztargnieniem, ucałował najpiękniejsze dłonie w Europie i odrzucił tę cudowną improwizację, bo był umówiony na partię taroka.

Pewnego wieczoru, po długim posiedzeniu, podczas którego nie miała rolę odegrało białe hautes sauternes, Melchior wsiadł do swojego wozu, aby wziąć udział w wystawnej imprezie tanecznej. Prowadził auto osobiście, chciał bowiem być sam na sam ze swoimi myślami i oddawać się mglistym rozważaniom na temat nowej kombinacji w skacie, jakie wzbudziły w nim chińskie rysunki tuszem, które niedawno oglądał.

Kilka razy musiał się zatrzymywać na skrzyżowaniach. Gdy potem włączał pierwszy bieg, przez maszynę przebiegało delikatne drżenie, gwałtownie parło naprzód, radowało się uzyskaną wolnością włączonego drugiego biegu, a w końcu pędziło w dal uskrzydłone bezpośrednim przeniesieniem siły. Wibrowanie silnika brzmiało niczym złocistobrazowy dźwięk wiolonczeli pośród fletowego adagia melancholijnych dumań Melchiora nad nie mającym szans powodzenia grandem z czterema waletami na ostatnim ręku i tam spotkało nagle odpowiedź oraz rezonans; w zagadkowej paraleli rytmika zagazowanej benzyny korespondowała z rytmem fosforyzującego tremolanda hautes sauternes, wyskakiwały iskry, trzaskały skojarzenia, na podobieństwo zorzy polarnej rozbłyskiwał fantastycznie falujący barok nastrojów i z bezgłośnym grzmotem załśniło przed nim połączenie: we wnętrzu Melchiora Sirra powstał tajemniczy pomost między człowiekiem a maszyną. Maszyna była człowiekiem – człowiek był maszyną. Pod pokrywą silnika biło serce – w wale kardanowym tętniło

życie... – a przez żyły Melchiora pompowała się benzyna, oczy zaś były przygaszonymi reflektorami. Coraz bardziej ulegał sugestii, że ma do czynienia z wzajemnym powiązaniem, i kiedy dotarł do celu, wysiadając z auta, omal się nie zatoczył.

Tam czekała nań sensacja. Na gigantycznym podjeździe przed kapiącym od światła westybuliem spotkały się setki automobili, które posapywały miarowo szumiącym cicho oddechem, parskały ze złością, zgrzytały gniewnie kołami, warczały, ryczały, śpiewały, nuciły – żyły!

Z oparów w mózgu Melchiora wyłoniła się klarowna idea, której doniosłość go poraziła. Zdjęty dreszczem, mimowolnie uniósł ręce, rozłożył je, obrócił ramiona i odetchnął głęboko – odczuwał działanie swojego płucnego gaźnika, czuł mechanikę swojej maszyny cielesnej, był „automobilem”.

Zamaszystym ruchem odwrócił się do swoich braci na asfalcie i zaczął przemawiać:

– Wy, kołowe – wy, dinozaury dwudziestego wieku - wy... – ale język ciała nie było w stanie nadażyć za tak wysokim wzlotem ducha. Wzruszony do głębi Melchior wkroczył do jasno oświetlonego hallu. Tutaj wrażenie jego romantycznego epizodu o podłożu nerwowym jeszcze bardziej się nasiliło, bo w gęstwie tańczących w sali na piętrze widział tylko parkiet i wirujące nogi, które wydawały mu się grządką wysuwanych tam i z powrotem, podskakujących tłoków i korbowodów. Także tutaj rytm pracującego pod ziemią silnika przekazywał ruchy. Melchior skonstatował rzeczowo, że maszyna ma za mało oleju; w swym zaślepieniu uważał bowiem skargi saksofonu za głośne tarcie rozgrzanego cylindra.

W tym momencie poczuł, że obowiązek go wzywa. Znakomicie wziął ostry zakręt i przecinając salę, wylądował z ostrym hamowaniem w barze, żeby pobrać paliwo. Szeroko otwartymi oczami patrzył na kolorowe laboratorium, w którym destylowano drinki, flipy, foury i inne koktajle. Ale prawdziwe wzruszenie ogarnęło go dopiero wtedy, gdy ujrzał paradujące przed nim wina. Butelka za butelką, opatrzone nadrukowanymi znakami runicznymi opisującymi zawartość. Tu było właściwe miejsce do budowania chat, tu było idealne miejsce na parking, żeby przygotować się do wielkiej jazdy.

Melchior wybrał po namyśle paliwo. Jego upodobanie do białego bordeaux kazało mu ponownie ulec benzynie hautes sauternes. Ponieważ jednak ta sama wydawała mu się zbyt lekka, dodał jeszcze dla równowagi benzol ciężkiego burgunda i zaczął z zapalem tankować. Mądrze rozumując, że olej jest duszą każdej maszyny, potem zażył jeszcze porcję gęstej benedyktyнки.

Płynnym ruchem ręki wrzucił następnie pierwszy bieg.

Nogi powoli ruszyły z miejsca. Melchior zatrąbił krótko i włączył drugi bieg. Ze średnią prędkością 15 kilometrów na godzinę okrążył salę, a następnie przejechał uliczką utworzoną przez zdumionych tańczących w stronę schodów. Tam zaciągnął hamulec na cztery koła i, zaciskając kurczowo dłonie w

kamizelce dla zmniejszenia prędkości, zsunął się w dół, w stronę wyjścia. Obrął kurs ostro w lewo, natychmiast jednak musiał się zatrzymać, bo przed nim jarzyły się reflektory. Próbował je obejść z prawej, ale i tam czały się groźnie reflektory, wszędzie, gdziekolwiek spojrział. „Plac Poczdamski” – pomyślał i podjechał pod latarnię uliczną; nie pozostało mu bowiem nic innego, niż zatrzymać się i poczekać, aż miną go wszystkie pozostałe auta i będzie miał wolną drogę.

Wyłączył zapłon i czekał. Czekał. Czekał, dopóki auta i reflektory nie zaczęły przed nim krążyć, coraz prędzej i prędzej – dopóki w zagadkowo-czarodziejski sposób światła się nie rozdzieliły, przednia szyba nie rozszczepiła się kompletnie, podwoiła się, potroiła i wszystko jęło kręcić się jak na spirytystycznej karuzeli.

Po jakiejś chwili portier znalazł Melchiora Sirra na ziemi, opartego o słup latarni, z szeroko otwartymi oczami, lecz poza tym drzemiącego spokojnie. Przed nim stał samotny i równie spokojny jego wóz, przepisowo oświetlony...

GWEN I AUTOMOBILE

Moja przyjaciółka Gwen nigdy by nie przysięgła, że bitwa pod Zamą odbyła się w roku 202 – mijałoby się też z celem wdawanie się z nią w dyskusję o twierdzeniu Pitagorasa – nigdy też do końca nie jest pewna, czy symfonię h-moll napisał Schumann czy Schubert – ale gdy zawiązać jej oczy i postawić ją na Friedrichstrasse, z niezawodną pewnością wymieni markę, liczbę koni mechanicznych, gaźnik oraz wiek każdej z przejeżdżających maszyn.

Taka jest Gwen. Dziewiętnastolatka. Nowoczesna. Niesentymalna. Myślenie uważa za nieprzyjemną chorobę zakaźną. I tylko raz popadła w głęboką zadumę...

To było ostatnio, kiedy opowiedziano jej, że w świecie cywilizowanym – łącznie z Pankow i Wilmersdorfem – podobno żyją jeszcze neandertalczyki, którzy nie potrafią odróżnić limuzyny z nasadzonym dachem od miejskiego coupe.

Gwen milczała przez trzy dni. A potem postanowiła reformować, aby nie dopuścić do katastrofy gospodarczej. Plany rosły w jej głowie jak grzyby po deszczu, z których powstawały istne drzewa chlebowe poznania.

Swoje poglądy Gwen zamierza przedstawić w dwóch wielkich dziełach. Pierwsza praca ma się nazywać *Astrologia automobilu* i traktować o impresjach karoseryjnych oraz karmie zakrętów charakterologicznych. Do publikacji dodana będzie instrukcja, jak na podstawie położenia ciał niebieskich wyliczyć, jaki wóz wyznaczył nam los. Poza tym dla orientacji zamieszczona będzie tabela wozów. Podobno były też próby badania wpływu plam na Słońcu na kształt chłodnicy. Gwen lubi rozmach.

Druga praca nosi tytuł *Jaki wóz pasuje do mojej cery? Jak pudrować się w pawiobłękitnej limuzynie – w biskupio-czerwonym kabriolecie z wewnętrzną kierownicą – w cytrynowożółtym coupé z kierowcą. Krój kapelusza a kształt drzwiczek wozu – waga ciała a wybór karoserii...*

Gwen zamierza zatelegrafować do Darwina, żeby ten zajął stanowisko w sprawie Henry'ego Forda. Ryszard Strauss ma podjąć próbę skomponowania nowoczesnego silnika synkopowego z wątlego czterosuwca. Gerhart Hauptmann podobno obiecał zagrać rolę tytułową w filmie *Goethe w automobilu*.

Jak powiedziałem, taka jest moja przyjaciółka Gwen. Zdolna. Dziewiętnastolatka. Nie lubiąca się zastanawiać. Skuteczna w działaniu...

MAŁY ROMANS AUTOMOBILOWY

On był dwuosobowym sportowym wozem o wydłużonym kształcie, cudownym przekroju i bajecznie szlachetnych liniach, wysokoobrotowy, rasowy – z silnikiem tak przerasowanym jak chart rosyjski borzój z hodowli w Perchinie. Karoseria to jeden wielki gładki, ciągły sznyt, z niebywałą śmiałością eliminujący wszystko, co nazywa się łuk, krzywa i wygięcie – uwolniony od banalności stopni pod drzwiczkami i trywialnego paralelizmu błotników w stosunku do linii koła. Za to wąskie i proste są oba paski po bokach pokrywy chłodnicy, krótkie, władczo osadzone, poziome niczym brwi rybaków i myśliwych – ludzi, którzy muszą dużo patrzeć w morze i w dal – ponad i za przednimi kołami, żeby wylapywać błoto tryskające z zadeszczonych szos. Ale tylko jeden nad tylnymi kołami, dla ochrony pleców. Poza tym całe koło odkryte – a gdy wóz jako upiorny cień pędził zachmurzonym gościńcem, sunął za nim potężny wir odrzucanej do tyłu wilgotnej ziemi i okruchy żwiru niczym szary wicher i odległa burza.

Niska szyba przednia, niska kierownica, niskie siedzenia zamontowane w jedynym dużym wyźłobieniu wewnątrz wozu. Fotele z czerwonej skóry, karoseria polakierowana na całkiem jasny kolor – błyszczące niklowane drażki – lśniąca szkło...

Prawdziwy czempion, wyprzedzający przestrzeń i czas.

Ona była dwuosobowym kabrioletem z kierownicą w środku, o miękkich kształtach, bez żadnych ostrych linii. Nie silnik dominował, tylko nadwozie coupé. Cały układ techniczny został wyciszony – połączony z ośmioma cylindrami, wielokrotnie łożyskowany, korbówód obracał się dookoła własnej osi bez najmniejszego dźwięku, łagodnie niczym oswojony lampart. Nigdy nie było wiadomo, czy tłoki pracują, tak bezgłośnie przesuwają się wzdłuż gładkich naoliwionych ścian swoich stalowych komór.

Resory wylapywały wszelkie wstrząsy na nierównym bruku, odchylając się w długich amplitudach, wierni strażnicy, którzy z ulicy nie wpuszczali nikogo, nawet jeśli ten ktoś umknął tłumiącym poduszkom grubych opon balonowych. Fotele zdawały się nie mieć dna, tak głęboko człowiek się w nie zapadał. Niczym szata przylegały do pleców, a na wysokości siedzenia wznosiły się nieco, żeby można było wygodnie oprzeć nogi. W rogach pojazdu leżały zbytkowne poduszki i pufy oraz pledy.

Drzwi można było zatrzasnąć z całej siły – a mimo to lądowały w zamkach

cicho i łagodnie, przytrzymywane przez cudowne zawiasy, które delikatnie hamowały impet.

Najpiękniejsza zaś była szyba przyciemniana w kolorze starego brązu, umieszczona ukośnie przed przednimi oknami. Wiele dni trwało, nim znaleziono taką szybę w odpowiednim odcieniu. Ale za to wewnątrz coupé panowało ulotne, załamane, rozplywające się światło, w którym skóra miała barwę złota i jasnego brązu, będącą tembrem życia.

Spotkali się po raz pierwszy pod oczami świateł sygnalizacyjnych. Kiedy On spojrzął jej w reflektory, dostrzegł z podziwem jej cudownie wycięty profil chłodnicy. Benzyna w jego żyłach zamarła na chwilę, po czym zaczęła wrzeć miłością.

Także Ona go zobaczyła, i także jej słodki dreszcz przeszedł po cylindrach. Tłoki zaczęły głośno stukać z podniecenia, a krew wprawiała w zmieszanie jej gaźnik, przez co trochę się zakrztusiła...

Po raz drugi zobaczyli się w garażu pewnego hotelu na Południu. Przez całą wypełnioną dzwonieniem włoską noc stali obok siebie i – nie rozmawiali, jak ludzie, tylko – milczeli o swojej miłości.

Dopiero następnego ranka, podczas tankowania, odważyli się nieśmiało pokiwać do siebie kołami.

Życiem wielu automobili rządzą demony: jest ono surowe i pełne awarii, zmudne, bolesne, krótkie – a kończy się przeważnie nagłą śmiercią. Inne natomiast mają bogów za kierowców swej podświadomej egzystencji, ci zaś łagodnie prowadzą je szczęśliwie przez całe lata.

Także Jemu i Jej sprzyjały gwiazdy. Wcześniej jednak nadeszły jeszcze nagle niewytłumaczalne dni udreki. Co rano gwałtownie odrywano ich od siebie. Jego wypędzano na zewnątrz, gdzie świtał poranek, a Ona zostawała sama w ciemnościach garażu. Bramę otwierano znowu dużo później i do środka wsuwał się wtedy On, owiany zorzą wieczorną i łagodnym kobiecym śmiechem, wracał do niej z bezkresnej równiny.

W końcu udało mu się znaleźć sposób, żeby już jej nie opuszczać. Dumny, choć sparaliżowany wrócił tuż po wyjeździe ze złamaną osią. Potem przez długi czas stali obok siebie zespoleni, dopóki nie przyszły części zapasowe.

Później jeździli jedno tuż za drugim długimi szosami, wzdłuż purpurowych i niebieskich mórz; wspólnie wspinali się na górskie przełęcze i pokonywali liczne wąwozy, a potem uskrzydleni wracali do domu.

Bogowie ich kochali i dlatego łaskawie zesłali im los dany tylko automobilom, które w swej bezkompromisowości zawsze mają odwagę do życia na pełnym gazie: oboje pozostali odtąd razem w Jego garażu – istnym raju z motelkami ze strusich piór, miękkimi ściereczkami, widokiem na ogród, ostrożnymi szoferami

i centralnym ogrzewaniem.

KRĄG WOKÓŁ FELIKSA

Morton nie osiągnął w życiu nic oprócz trzydziestu pięciu lat, te jednak osiągnął z niejaką łatwością. I w dalszym ciągu nie miał zamiaru dezorganizować swej egzystencji przez jakiś cel i wolę jego zrealizowania. A przy tym w najmniejszej mierze nie można by mu zarzucić gnuśności; przeciwnie, brał nadzwyczaj żywy udział w sprawach tego świata. Starał się jednak nie być w nie aktywnie wplątany. Ambitni krewni z XII grupy uposażeniowej nieraz wyjaśniali mu korzyści płynące z pensji wypłacanej z góry co kwartał i późniejszej dożywotniej emerytury – Morton spokojnie wzruszał jedynie ramionami. Na wezwanie zapobiegliwych i zaradnych życiowo, żeby koniecznie robił karierę, odpowiadał, że rozpoczął właśnie hodowlę niebieskich pudli królewskich, która już niebawem zyska wysoką renomę. Gdy jednak mimochodem przy butelce czegoś dobrego, urodzonej nie później niż w 1921 roku, nawiązywało się z nim pogawędkę, zwykł czasem opowiadać historię o Nell.

Nell była wyjątkowo udanym koktajlem cech amerykańskich i europejskich. Z amerykańskiej *girl* miała głębokie zrozumienie dla faktu, że ważniejsze jest posiadanie ładnych nóg niż przeczytanie *Czarodziejskiej góry* Tomasza Manna; na wskroś europejski był u niej natomiast dar w miarę sensownego ubierania się, nieprzesadzania z makijażem oraz noszenia dyskretnych ozdób, które pasują do reszty stroju.

Dzięki temu, nieskrępowana tradycjami kulturowymi, ale za to dobrze zabezpieczona przez bardzo solidny comiesięczny czek od papy przysyłany na Credit Lyonnais, jawiła się jako osoba pełna oczekiwań, zorganizowana i ciekawa życia, i można było postawić 10 do 1 na to, że życie będzie dla niej dobrym sportem z happy endem. Była faworytem.

Wyszło inaczej. Los ma zawsze ten podły zwyczaj, że lubi czyhać za błahymi kulisami. Człowiek spaceruje sobie, nie przeczuwając nic złego, i nagle stopa wpada w pułapkę ukrytą pod hiacyntami, kretowiskami, za ubrankami dziecka lub podobnymi akcesoriami sielankowej egzystencji. To tak jak z owym Turkiem, który uratowany jako jedyny z katastrofy statku w niemal legendarnych okolicznościach, wrócił do domu, a biorąc kąpiel, zemdlał i utonął w wannie.

Taką pułapką w wypadku Nell był automobil. Podczas spaceru po bulwarach

zatrzymała się przed olbrzymimi szybami wystawy, za którymi stały samochody. Kiedy zamierzała już pójść dalej, ujrzała w środku wspaniale zbudowanego mężczyznę. To skłoniło ją do przekroczenia progu salonu.

Jeden z wozów był w kolorze beżowym jak wyblakłe liście klonu jesienią, ten podobał się Nell najbardziej. Drugi był oliwkowozielony z kontrastującymi elementami w odcieniach jadeitu. Na jego widok Nell wyrwało się:

– Ten wóz nazywa się Feliks...

I kupiła go wyłącznie ze względu na ów zagadkowy podszept, ponieważ czuła się do tego zobowiązana. W ten sposób wydobyła go bowiem z bezmienności i spontanicznie oraz precyzyjnie określiła jego indywidualny charakter.

Stało więc na Feliksie. Nell kochała go, bo uznała swój pomysł za dowcipny... (proszę jednak pamiętać, że była Amerykanką). Wyruszyła nim wzdłuż Riwiery, która nie robiła już na niej specjalnego wrażenia – uważała, że bardziej zasługuje na podziw Floryda; były tam bowiem hotele w mauretańskim stylu. Właściwie podróżowała tylko po to, żeby jechać Feliksem, i tak dotarła do Nicei.

Jednak na quai des Etats-Uni Feliks zatrzymał się, wypaliwszy z westchnieniem ostatnią kroplę benzyny. Przejeżdżający sportowiec cyklista pomógł w kłopotcie. Umówili się na kieliszek martini na tarasie Ambasadora. Spoza palm przed hotelem Negresco wyłonił się księżyc – dwa tygodnie później „New York Times” opublikował menu i listę gości na weselu Nell.

Po czterech tygodniach Nell była zawiedziona, po trzech miesiącach zaczęła się nudzić, gdy pół roku później mąż ją zdradził, jej pewność siebie doznała wstrząsu. Wkrótce potem rozwiodła się, wyjechała do sanatorium i w przystępie depresji sprzedała Feliksa.

Dokładnie rok później ponownie spacerowała bulwarami. I za lustrzanymi szybami dostrzegła nagle – oliwkowo-zielonego z kontrastującymi elementami w odcieniach jadeitu – Feliksa, a obok jego beżowego konkurenta. W głębi pomieszczenia stał proporcjonalnie zbudowany sprzedawca – cała sytuacja była taka sama jak poprzednio, krąg wokół Feliksa się zamknął. Rok wszakże został stracony.

Nell zadowoliliła się przeanalizowaniem, co by się stało, gdyby kupiła wóz w kolorze pożółkłych liści klonu. Jego bak mieścił sześć litrów benzyny więcej, automobil nie zatrzymałby się więc na quai des Etats-Uni.

Ja jednak nie mogłem już przejść do porządku dziennego nad Feliksem – zakończył swą opowieść Morton. – Stał na końcu każdej drogi. Zacząłem się baczniej przyglądać sprawom tego świata i szybko doszedłem do wniosku, że zawsze są jakieś kręgi wokół Feliksa.

I wtedy w oględny sposób jałem się z nich wycofywać, i ograniczyłem się do przyglądania... Ale widzę, że butelka jest pusta; zrobimy sobie koktajl, który

nazwałem Feliks: łyżeczka syropu gumowego i dwie łyżeczki czerwonego curacao na mocno schłodzony kieliszek szampana... na to plasterek cytryny – a na dno pięć kropli gorzkiej angostury.

FLIRT Z KARLEM

Są mężczyźni noszący imię Karl, i nie ma na to rady, w ich aktach chrztu widnieją być może inne imiona – ale czy jest coś bardziej rzeczywistego niż imię? Człowiek zostaje nim obdarowany wbrew woli w takim wieku, gdy jest najbardziej bezbronny, i przez całe życie musi je potem dźwigać. Jak można na istocie ludzkiej wycisnąć tak charakterystyczne piętno jak imię, kiedy ma ona zaledwie trzy albo pięć dni! Tutaj leży odłogiem cały rozdział cichej tragedii, w którym nie szukał dotąd motywów chyba żaden pisarz. Nietrudno sobie wyobrazić, że człowiekowi odechciewa się żyć, kiedy ma na imię Raoul i na dodatek posiada odpowiednio poczciwe nazwisko. Po prostu nie jest w stanie przeskoczyć tak złożonej i trudnej przeszkody, wisi więc między oboma mianami i nadziewa się to na jedno, to na drugie. Nieraz rozwój może być już w zarodku skażony trywialnością za sprawą przylepionego człowiekowi imienia, które działa później jak hamulec na cztery koła! Wiadomo to z góry, czy ktoś zostanie poetą czy dyktatorem? A może spikerem w berlińskim radiu?

Imiona muszą pasować jak garnitury szyte na miarę. Powinno się je przydzielać dopiero po osiągnięciu pełnoletności – dzięki temu uniknięto by wielu zmartwień.

Jest jednak mnóstwo osób, które mają na imię Karl. Chociaż się tego wypierają, powołując się na metrykę urodzenia, gdzie stoi czarno na białym Ernst, Kurt albo Konrad; mimo to mają na imię Karl – bo Karl to w tym wypadku nie imię, tylko typ.

I nie jest to z pewnością typ niesympatyczny. A przy tym natura zmienna; nosi zarówno sztywne kapelusze, jak i laski trzcinowe z Malakki, czasami lubi też nosić zamszowe buty lub kupuje z zasady wyłącznie srebrzystoszare krawaty, widuje się go kreującego jako dodatki do smokingu opale lub trzymającego się uparcie masy perłowej, przynosi w prezencie orchidee, ale pewnie też bukiety pierwiosnków, potrafi rozróżniać odcienie i posiada swoiste wyczucie sytuacji...

W miłości Karl jest trochę zbyt prostoduszny. Właściwie nie miano by nic przeciwko temu, żeby nieco z nim poflirtować i doświadczyć owego miękko zamglonego, giętkiego uczucia, przyjemnie ożywiającego nudę pobytu... ale Karl nie za bardzo to pojmuje. W tych sprawach jest prostoduszny i dlatego ma na imię Karl.

Zawsze to samo. Siedzi człowiek w hotelowym hallu, na tarasie, przy oknie w

kawiarni, zagłębiając się w fotelu, muzyka przygrywa, a na zewnątrz bezszelestnie pędzą auta... i gdzieś tam pojawia się też Karl, gustownie i dekoratywnie, i jego obecność, przy innym stoliku, w kącie, gdziekolwiek, dobrze pasuje do nastroju...

Karl jest dostatecznie wrażliwy, aby zauważyć, że jest uwzględniany w kalkulacji, lecz nie wie, że wyłącznie na takiej samej zasadzie jak Pousse-cafe, maraskino albo tango. Nie interesuje go nawet najdelikatniejsza forma flirtu, owo spotkanie bez słów przy zachowaniu dystansu, i nie rozumie, że wszystko się kończy, kiedy się wstaje i wychodzi. On, przeciwnie, uważa, że jego czas właśnie nadszedł.

Mnóstwo razy zakładałem się, że Karl nie ujdzie nawet pięciuset metrów bez zbliżenia się do kogoś i mniej lub bardziej zręcznej próby zdyskontowania takiego przelotnego kontaktu i wywołania przeżycia z eteru nie-określoności, aby schwytać je w realniejszej sieci randki. Wygrałem prawie wszystkie te zakłady. Tylko parę zakończyło się remisem: wprowadził Karl niezupełnie się zbliżał, dowiadywał się jednak, gdzie ta osoba mieszka, i pisał do niej listy.

Z tego powodu należy zawczasu zachować ostrożność wobec Karla, żeby potem nie popsuł komuś nastroju. Szczególnie kłopotliwe było to w Berlinie, gdyż tu co trzeci człowiek ma na imię Karl.

Z autem jest inaczej. Kiedy pobyt w kawiarni, maraskino i nastrój kończą się i wybrzmiewają, wstaje się od stolika i – zauważa, że i Karl w swoim kąciuku szykuje się do wyjścia. Wychodzi się, wsiada do samochodu i w momencie, gdy Karl pojawia się pod portalem, naciska się dźwignię rozrusznika i odjeżdża mu sprzed nosa.

Dawniej takie przeżycia kończyły się zawsze banalnie i irytująco – teraz zaś w finale pojawia się wyrafinowana, subtelna złośliwość, która ubiera je niemal w szatę moralności. Człowiek się bawi, a zarazem przyczynia do wychowania Karla.

Może się jednak zdarzyć, że Karl ma własny samochód, który zaparkował w pobliżu. Tym lepiej. Aspekt czysto techniczny nie pozwoli mu na zachowanie niegustowne; co najwyżej z wielką mówiącą miną może kogoś wyprzedzić. Ale i ten moment nie może trwać długo, bo w przeciwnym razie Karl wpakuje się chłodnicą w najbliższą taksówkę.

Nic więcej nie może się zdarzyć. Jeśli mamy taki kaprys, robimy z tego na koniec komedię, kierując swój wóz na mocno uczęszczane drogi publiczne pierwszej kategorii. Wtedy Karl na pewno się zmęczy. Nie ma piękniejszej chwili niż moment zatrzymania go tuż za nami przez policjanta drogowego, gdy my odjeżdżamy z poćwierkującym gaźnikiem.

Jeśli mimo to utrzyma się za nami, to pozwalamy mu jeszcze raz na wyprzedzenie nas z wielką mówiącą spojrzaniem i skręcamy w najbliższą

przecznice. Na drogach publicznych pierwszej kategorii nawet Karl nie może zawrócić.

Niewłaściwie obchodziliśmy się ze spuścizną minionych stuleci. Sztuka gawędzenia powoli zwapniała wśród sprawozdań giełdowych; sztukę epistolarną przejęła maszyna do pisania, flirt natomiast dzięki automobilowi osiągnął nowe stadium i może znów rozkwitnąć, lekkomyślnie i beztrosko – wóz bowiem starannie chroni go i strzeże przed surowym wiatrem rzeczywistości oraz wymachiwaniem kapeluszem przez różnych Karłów.

BILLY

Historia Billy'ego Smitha odznacza się bolesną prostotą trywialności. Przez to staje się niemal tragiczna, albowiem jedynie laicy, cierpiąc, wierzą, że tragizm mogą wywoływać tylko niezwykle okoliczności. Przeciwnie: o wiele bardziej niesamowite, niebezpieczne i zaraźliwe są konflikty natury codziennej, zwyczajnej, powszechnej; zdarzają się one częściej i są przede wszystkim nieprzyjemnie bliskie: w następnej chwili mogą dotknąć każdego.

Zdarzenia, które zrobiły z właściciela fermi drobiowej z Kentucky fachowca w przygotowywaniu makaronów, są najzwyczajniejsze pod słońcem. Mają siłę prymitywnego żywiołu i w nieco osobliwy sposób rysują najbardziej aktualny i nieunikniony los, jaki może człowieka spotkać – a jego sprawcami są automobile i kobiety, najbardziej zgubne i nieuchronne połączenie, jakie można sobie wyobrazić.

Ferma drobiowa Billy'ego Smitha osiągnęła zaskakująco wysoką pozycję dzięki nagłemu wzrostowi cen jaj srebrnobiałych kur rasy Wyandotte; srebrnobiałe wyandotte były wtedy w Kentucky mniej więcej tym samym, czym jest Gerhart Hauptmann w niemieckim gaju poetyckim: praktycznymi replikami Goethego na użytek domowy. Każdy musiał je mieć.

Przekonano Billy'ego, żeby kupił sobie samochód. Ten uznał jego zalety, naradził się z żoną i następnego dnia zamówił wóz godny jego dobrobytu: z wbudowanym radiodbiornikiem, drewnianą podłogą i nowoczesną pompą wodną, która pozwalała napełniać chłodnicę nawet przy fontannie. Pomysłowa konstrukcja amerykańskiego przemysłu na weekendy i gorące dni.

Podczas trzeciej wycieczki automobilowej żona poprosiła Billy'ego, żeby oddał jej kierownicę. Tylko sto jardów, to przecież prosty odcinek.

Billy nie chciał się zgodzić. Żona nic nie powiedziała, ale wieczorem upuściła kosz z siedemdziesięcioma jajami, i to znanego i cennego gatunku ze skorupką o grubych porach.

Dwa dni później zdobyła miejsce za kierownicą. W następnych tygodniach Billy zapłacił osiemset dolarów za wyrządzone szkody i dwa razy musiał dać automobil do przeglądu i naprawy. Błotniki były łatanе dwanaście razy.

W urodziny Billy'ego jego żonie jadącej z prędkością 110 kilometrów na godzinę udało się na odcinku dziesięciu metrów zatrzymać wóz przed meblowozem. Wóz miał naprawdę fenomenalne hamulce...

Tyle że przy tym manewrze głowa Billy'ego przebiła przednią szybę i nieco zaskoczona, mocno krwawiąc, utknęła w wianuszku odłamków szkła ponad chłodnicą z patentowym urządzeniem do czerpania wody z fontanny.

Po sześciu tygodniach intensywnej opieki chory powrócił do sił na tyle, że mógł złożyć pozew rozwodowy. Został uznany za winnego, zapłacił odszkodowanie i z ulgą sprzedał wóz.

Billy był człowiekiem uczuciowym i nie potrafił żyć bez kobiet. Nauczony doświadczeniem minionych miesięcy przeżytych u boku energicznej chłopczycy, wybrał tym razem istotę wdzięczną i delikatną, emanującą owym powierzchownym uduchowieniem, jakie w Nowym Jorku produkuje się pewnie maszynowo, bo pełno go na Broadwayu i na ekranie filmowym.

Przed podpisaniem aktu ślubu zapytał ją, co właściwie sądzi o prowadzeniu auta samemu.

Zatrzęsa się, aż na jej szmince pojawiły się rysy: Och, nigdy, nie siądzie nawet obok kierowcy, sam silnik wydaje się jej czymś niesamowitym!

Billy z ufnością podpisał dokument.

Oczywiście znowu kupiono automobil, jak bowiem mieliby żyć przy dużych odległościach.

Mabel siedziała jednak zawsze z tyłu, nie śmiała usiąść z przodu. Billy tryumfował...

Nieszczęsny cieszył się o wiele za wcześnie. Po tygodniu Mabel się przyzwyczaiła. W dalszym ciągu siedziała z tyłu, ale zaczęła dyrygować.

Gdy kiedyś Billy był w dobrym nastroju i jechał żwawo, potrząsnęła go za ramię w panicznym strachu tak gwałtownie, że omal nie spowodował wypadku.

– Jedźże wolniej – jęknęła – chyba że chcesz przewieźć mnie na tamten świat!

Gdy natomiast jechał wolno, skarżyła się, że tą nudą chce ją tylko zdenerwować – dlaczego nie przyśpieszy tempa? Gdy wchodził w zakręt dosyć ostro, krzyczała tak, że aż się wzdrygał – gdy brał zakręt trochę wolniej, właściwie nie miał jak uciec przed jej jazgotaniem o jego nieudolności. Kiedy automobil miał defekt, wypominała mu to – kiedy nie miał, też mu to wypominała.

Z powodu tego głosu za plecami Billy zrobił się nerwowy i niepewny. Zdarzało mu się zahaczyć o krawężnik, wjechać w wózek z warzywami, przeoczyć jakiś znak drogowy. Mnożyły się mandaty, a pewnego dnia po prostu zostawił wóz z wdzięczną duszą w środku dokładnie przed wieżą ze światłami ulicznymi i oddalił się biegiem, a całą resztę powierzył Johnowi F. Myerowi, najbardziej energicznemu adwokatowi po drugiej stronie Hudsonu, który zresztą załatwił sprawę ku jego zadowoleniu.

Przez kwartał się wahał; potem przeznaczony mu los dopadł go znowu. Owocem jego psychologicznych dociekań była piękność o marcepanowej cerze i uśmiechu filmowym – sądził, że jest zupełnie indyferentna i tak bardzo dba o

swoją cerę, że pęd powietrza przy prędkościach powyżej 50 kilometrów na godzinę będzie musiał być dla niej okropieństwem.

W tym momencie historia Billy'ego zaczyna wpadać w ton balladowy.

Z początku marcepanowa swetrówka uważała wszystko za zachwycające. Potem zaczęła wybrzydzać na kapelusz Billy'ego. Także garnitur nie był w kroju dość sportowy, a co dopiero mówić o kolorze.

Billy nic nie odpowiedział, ale następnego dnia pojawił się w rezedowych golfach i krawacie w odcieniu gołębiej krwi ze staroperskimi ornamentami.

On zatem był już właściwie *alright* – ale wóz! Zaczęło się od lakierowania – oczywiście przy okazji trzeba też było zmienić golfy – a na zakupie nowego samochodu wcale się nie skończyło.

Dzisiaj wóz był zbyt sportowy – jutro zbyt mieszczański – rano nie pasował do niego płaszcz, po południu kostium. Limuzyny były nudne, kabriolety banalne, w otwartych wozach panowały przeciągi...

Przyjaciele, nie ma sensu wyliczać dalej cierpień Billy 'ego! Wszak to cierpienia każdego z nas, to najbardziej gorzki tragizm mężczyzn kierowców: inny wóz zawsze jest wygodniejszy, elegantszy i lepszy, inny kierowca zawsze jeździ z większą energią, brawurą i rutyną, a na to – między nami mówiąc – jest tylko jeden sposób: nigdy nie jechać z tą samą kobietą więcej niż raz. Za drugim razem zaczynają się już porównania.

Sami widzicie: Mężczyzna za kierownicą stoi na straconej pozycji.

Podczas przejażdżki w górach Billy miał koniecznie wyprzedzić jakiś samochód. Przy tej okazji przepalił mu się przewód elektryczny, wóz zahamował, poślizgiem przejechał w poprzek drogi i zatrzymał się tuż nad przepaścią. Ale rozrusznik nie chciał zaskoczyć.

Billy, wytracony z równowagi, wysiadł i uruchomił silnik za pomocą korby z przodu. Zapomniał jednak, że w ostatniej chwili włączył bieg wsteczny. Włosy zjeżyły mu się na głowie, gdy patrzył, jak wóz stacza się po zboczach i z wysokości trzydziestu metrów spada w przepaść.

Billy usłyszał głuchy odgłos uderzenia. Osunął się na kolana i odmówił niemą modlitwę za zmarłą marcepanową cerę.

Na tym jednak wcale jeszcze nie koniec, gdyż ta za chwilę bez żadnego szwanku wdrapała się z powrotem na szczyt zbocza. Trzymała w ręku urwaną kierownicę, którą bez słowa grzmotnęła go w głowę...

Billy wymyślił coś nowego. Kobiet nie mógł unikać, postanowił więc schodzić z drogi samochodem. Na pokładzie *Anne Lane* wyruszył w rejs w kierunku najciemniejszych wysp Nowej Gwinei, marząc o sielskim życiu wśród zielonych orzechów kokosowych i kanibali.

Przybył tam w samą porę, aby obejrzeć wyścig z lotnego startu o mistrzostwo plaży, który wygrał wódz Ki-au-heh. Zerknawszy tylko na garaże z trzciny, widząc pożądlivy wyraz oczu młodych kanibale, które lustrowały wóz Ki-au-

heh, Billy poczłapał zniechęcony z powrotem na statek.

Próbował jeszcze w innych miejscach – na Ziemi Ognistej, w Tybecie, w Endorfinie, na Grenlandii, wszystko to jednak na nic – wszędzie były przed nim automobile.

Zwątpił w siebie, czytał już książki Karin Michaelis i był bliski śmierci.

I wtedy wreszcie nastąpiła wielka przemiana, która zapewniła mu honorowe miejsce wśród przyszłych pokoleń przygotowawczy makaronu: Billy odnalazł Wenecję, miasto bez automobili...

Nie dręczą go już piskliwe odgłosy klaksonu. Najśłodsza muzyką dla jego umęczonych uszu jest jednostajne nawoływanie: „Gondola! Gondola!” Odpowiada mu miejscowy typ kobiet. Kocha w nich przede wszystkim to, co konserwatywne, co gdzie indziej powierzchownie określa się jako gnuśność.

Ninetta, jego niewiasta, ma tylko jedno życzenie: nigdy nie wyjeżdżać z Wenecji. Billy pragnie tego samego. Oboje otworzyli restaurację i zarobili już na niej ciężką forszę. Billy ma ambitne plany. Chce wykupić wszystkie Palazzo i zamienić je w hotele, a ponadto opublikować swoje wspomnienia. Ich ukoronowaniem ma być ostatnie zdanie: Mężczyźni kierowcy wszystkich krajów, łączcie się w domach wypoczynkowych Billy’ego Smitha!

Billy jest wielkim optymistą. Wierzy, że w Wenecji już wkrótce trzeba będzie coś dobudować.

BLÀ I WIEJSKI ŻANDARM

Historia ta ma trochę dziwną i gorzką puentę, ponieważ wiąże się z młodą damą krótko nazywaną Blà.

Ktoś opowiedział Blà, że na najgłębszej prowincji dolnosaksońskiej często występuje odmiana wiejskich kotów, która przez tamtejszych chłopów została udostępniona użyciu językowemu za pomocą określenia „trikolory”. Trikolory to trochę indywidualna francuszczyzna, a znaczy tyle co trójkolorowy – zwierzątko te mają białe, rude i czarne plamy i, co zaskakujące, nie wyrastają z nich małe pantery; nadal są delikatne i drobne, a przy tym mają wspaniałą, duży łeb wiejskiego kocura i potrafią zachwycająco siedzieć i mruczeć.

Blà wie od dawna, że koty syjamskie i persy to coś dla bankierów i innych wytwornych ludzi, zwłaszcza że berlińscy portierzy nie mają już do czynienia z czystymi rasowo angorami; szykowne jest tylko to, czego nie mają inni, i dlatego od razu po pierwszej relacji pewnego tancerza łajdaka na ich temat postanowiono urządzić ekspedycję samochodową do krainy technikolorowych, żeby przywieźć jednego z nich jako łup.

Wszyscy znają trasę z Berlina do Hanoweru – to mniej więcej najnudniejsza trasa, jaka istnieje. Jedzie się godzinę za godziną, a okolica ciągle wygląda tak samo jak przedtem, człowiek zaczyna medytować i robi jedna za drugą przerwy na kawę tylko po to, by zagłuszyć uczucie naleśnikowego pustkowiecia, jakim ten fantastyczny krajobraz przesycza jego duszę.

Dlatego ucieszyliśmy się, gdy w jednej z wiosek trafiliśmy na wybory króla kurkowego, i natychmiast wzięliśmy w nich udział z większą niż normalnie radością. Żeby się dobrze wprowadzić, postawiliśmy kilka kolejek łatwo przyswajanej żytniówki, które przyjęto z wielkim zadowoleniem. Byliśmy bohaterami i panami sytuacji; Blà poprosił beztrąsko do tańca dziarski wiejski żandarm. Oboje odpłynęli w swego rodzaju cakewalku, a tymczasem komitet pociągnął mnie w drugą stronę, pilnie doradzając udział w zawodach strzeleckich. Chyba jednak najważniejsze przy tym wydawało się, żebym wcześniej został członkiem bractwa po natychmiastowym uiszczeniu rocznej składki.

Ludzie byli tacy uprzejmi, że bez oporu zostałem członkiem. Pewnie uważali mnie za dość nieszkodliwego typu. Po obejrzeniu honorowych nagród – główną nagrodą była automatyczna maselnica – podczas nowej kolejki wódki za moje

pieniądze proponowano mi przy szynkwacie różne bruderszafty. Potem ktoś sobie przypomniał, żeby i mnie pozwolić strzelać.

Zaprowadzono mnie przed dość sfatygowanego orła, któremu brakowało już skrzydeł, szponów oraz łba. Wśród jowialnego poklepywania po plecach wręczono mi strzelbę i zachęcono do naciśnięcia spustu.

Wystrzeliłem na oślep, lecz nagle nastąpiła krępująca cisza jako wyraz zaskoczenia. Tułów orła przechylił się powoli i z głuchym odgłosem rozbił o ziemię. Nie dowierzałem własnym oczom – trafiłem, a nawet więcej: zostałem królem kurkowym i tym samym zdobywcą automatycznej maselnicy.

Moi nowi przyjaciele robili głupie miny; nastrój wyraźnie się popsuł. Członkowie komitetu mieli czerwone twarze.

Moje niewinne zdanie: „Co za przypadek!” przyjęto z lodowatym milczeniem. Z tłumu dobiegały już znajome pomruki o obcych przybłędach, łapaniu sprzed nosa nagród i wynoszeniu się do diabła.

Kiedy zbliżyłem się do maselnicy, grupa krępych młodzieńców z wioski otoczyła groźnym kordonem cenną nagrodę. Nie wyglądało na to, że zamierzają utworzyć gwardię honorową króla kurkowego. Mieli nieprzyjemnie duże dłonie.

Nawet prokurator musiałby uznać, że prędzej dostanę lanie niż maszynę do robienia masła. Dlatego wykonałem zaskakujący specjalny manewr: patetycznie wystąpiłem naprzód i akurat kiedy chciano mnie już wziąć za fraki, oświadczyłem głośno, że rezygnuję z nagrody i zamierzam przeznaczyć ją na amerykańską loterię na rzecz wymiany bruku w wiejskiej szosie.

Sytuacja rozpozodziła się w jednej chwili. Poczciwi ludzie ze wsi mają takie złote serce, nie potrafią długo się gniewać. Czym prędzej wymówiłem się jednak od następnej kolejki żytniówki, bo musiałem poszukać Blą.

Żandarm okazał się przystojnym młodzieńcem, mundur leżał na nim bez zarzutu. Z zapalem mówił coś do Blą i z miejsca stracił humor, kiedy podszedłem do nich. Życzliwie zapytał, dokąd wiezie podróż, i odkrył uradowany, że to dokładnie w jego kierunku, czy moglibyśmy go zabrać, to tylko trzydzieści kilometrów, w przeciwnym razie się spóźni. Blą poparła go, a ponieważ wóz niestety ma tylko trzy siedzenia obok siebie, pojechaliśmy wszyscy troje. Dobrze nam się rozmawiało, to znaczy: ja prowadziłem, a tymczasem żandarm gawędził z Blą. Od czasu do czasu przykuwało moją uwagę jego trochę nieruchome spojrzenie, które tłumaczyłem postępującym zakochaniem. Pożegnał się nadzwyczaj serdecznie i trzymając rękę Blą w swojej dłoni, obiecał, że niebawem da znać.

Co ja będę dalej opowiadał o tej dziwnej podróży! Dotarliśmy wprawdzie do Dolnej Saksonii i zresztą przywieźliśmy ważący cetnar pumpernikiel – tamtejszy specjał – oraz wędzoną szynkę. Ale z legendarnych trikolorowych niewiele widzieliśmy i tylko przypadkiem kupiliśmy jedno z milutkich zwierzątek. Żre

ono jednak bez przerwy i już teraz ma niemal wielkość lamparta. O innych wydarzeniach wolałbym zamilczeć.

Tylko jeden z moich rozmówców dotrzymał słowa: wierny wiejski żandarm. Dał już znać o sobie, kiedy wróciliśmy do domu. Blà tryumfalnie otworzyła wyglądający trochę urzędowo list. W środku znajdowały się dwa mandaty za zbyt szybki przejazd przez miejscowości Xi Y. Jako świadek podany był żandarm Z, który siedząc w wozie, obserwował prędkościomierz.

Stąd brało się to czasem trochę nieruchome spojrzenie.

FRYWOLNY OBIEKTYW

Oklaski kolegów po fachu sypały się jeszcze na fotografa Geschwindera, który objaśniał wartości artystyczne zdjęć plenerowych z aktorami filmowymi, gdy podniósł się z miejsca niepozorny człowieczek i bez wezwania zaczął mówić:

– Panowie fotografowie! Zakradłem się na to posiedzenie waszego związku, żeby powiedzieć wam prosto w oczy, co myślę o waszym rzemiośle. Żył nam się dobrze i spokojnie przed wynalezieniem aparatu. Srebrny grosz miał wartość srebrnego grosza, drzewo było drzewem, a kobieta kobieta. Istnieli wprawdzie malarze i portretowali, ale każdy z nas wiedział, że takie obrazy mają być przekształconą rzeczywistością, a nie rzeczywistością samą.

Potem jednak przyszliście wy ze swoimi obiektywami i sfalszowaliście świat. Wymyśliliście frazes o nieprzekupności soczewki fotograficznej, jedno z najobłudniejszych zdań, jakie znam. Przeciwnie, nie ma nic bardziej przekupnego niż oczy waszych aparatów, na dodatek nazywane przez was z żalem dwuznacznie obiektywami.

Fotografia przyniosła na świat fałszywą romantykę. Nie mówmy na razie o pladze portretowej – o tym powiem później jeszcze kilka słów – pozostanmy przy tym, co proste, poczciwe, a mianowicie przy zdjęciach krajobrazu.

Ile nieszczęśliwych wyjazdów urlopowych macie już, panowie, na sumieniu! W żurnalach i prospektach widuje się cudowne fotografie. Fale przyboju rozlewają się niczym róg koronki przed spokojnie oddychającym morzem, eleganckie postacie śmiałków śmigają na grzbietach fal, a piękne kobiety śnią w koszach plażowych – ale kiedy pakuje się walizki i przyjeżdża, znajduje się morze koloru bulionu, w którym unoszą się meduzy niczym pokrzywy, zamiast przystojnych ujeżdżaczy fal w wodzie hałasują spieczeni na raka łysielcy na grubych gumowych zwierzątkach, a wszystkie kobiety ważą około osiemdziesięciu kilo albo mają nogi do niczego. Powiedzcie sami, panowie: Czy w ogóle są takie kobiety, jakie fotografujecie?

Nie ma, odpowiadam wam stanowczo! Popatrzcie na całostronicowe zdjęcia w magazynach ilustrowanych: niczym boginie w słonecznym świetle na tle nieba, lasu, morza i tarasów; na ten widok płoną tęsknotą całe prowincje! Ale kiedy człowiek na wzór trubadura wyruszy w drogę i, trafiony w serce, pokona wszelkie przeszkody, aby do nich dotrzeć, rozczarowany musi potem stwierdzić, że są to ludzie jak wszyscy inni. Dziewczęta, jakie mamy także w Duderstadt i Budziszynie, nic szczególnego, większości z nich w ogóle nie można rozpoznać

na podstawie fotografii. A kto jest temu winny? Wyłącznie wy ze swoimi aparatami! Zaklinam was, panowie, nie igrajcie tak lekkomyślnie ze standardem szczęścia małżeńskiego w miastach prowincjonalnych średniej wielkości! Nie ludźcie naszych kupców i młodych urzędników, że są takie kobiety jak na waszych okazjonalnych zdjęciach!

Ale pozostajmy jeszcze przy krajobrazie! Pojawiają się zdjęcia wiejskich gospód na odludziu w cieniu wysokich lip, psy leżą w słońcu, kury spacerują po stołach. Cudowna idylla z dala od świata – myśli się – w sam raz dla ludzi z wielkich miast, i od razu telegraficznie zamawia się pokój miesiąc wcześniej, żeby nikt nas nie uprzedził. Oczywiście okazuje się, że każdy wieśniak ma auto, a nasz gospodarz nawet dwa, tak iż czym prędzej musimy uciekać przed hałasem tych starych gratów. A dlaczego? Dlatego, że podstępnie sfotografowaliście tylko fasadę gospody; gdybyście zrobili zdjęcie tyłów budynku, każdy natychmiast zwróciłby uwagę na garaże obok obory.

Podobno drzewo to drzewo. Ale gdy zjawiacie się wy ze swoimi teleobiektywami, swoimi rysującymi miękko soczewkami, swoim operowaniem cieniem, wtedy byle rozczochrana brzoźka wygląda jak pomnik przyrody. A jeśli w jakimś kurorcie stoją tylko trzy sosny, wy tworzycie takie zdjęcie, jakby rósł tam cały las wysokopienny. Wszak nie słyszycie przekleństwa nas, gości, którzy dali się na to nabrać.

A krajobraz ucinacie po prostu tam, gdzie wam pasuje. Format 9x12 albo 10x15, a my pozostali musimy się zadowolić resztą. Hałasu, brudu i cen pokoi już nie fotografujecie. U was kusząco świeci słońce, a deszcz to malowniczo miękki światłocień – my natomiast, jeśli damy się skusić waszym zdjęciom, pocimy się albo nabawiamy kataru z powodu mokrych nóg. Gdyby wysadzić was na pustyni, z opuncją figową i mułem jako jedynymi rekwizytami, zrobilibyście z tego wieczór w rajskim ogrodzie.

Czynem kryminalnym są natomiast wasze portrety. Mili, niewinni ludzie zwabieni przed wasze obiektywy zamieniają się jakby za sprawą czarów w nadęte indory. Każdy kominiarz staje się u was Otellem, każda szwaczka gejszą, a czarnowłose dziecko mieszczańskie niechybnie przyszlą gwiazdą w typie Nielsen⁵. Najgorsze jest jednak to, że wywabieni przez was z błęgiego szczęścia nieważności czują się potem zobowiązani do życia odpowiadającego waszym zdjęciom.

Lorę, na przykład, była uroczym, miłym stworzeniem, wprost predestynowanym do szczęśliwego zamążpójścia. Niestety wpadła w ręce jednego z owych mistrzów migawki szczelinowej, który zrobił jej zdjęcie w manierze demonicznej. To obudziło ambicję dziewczyny, która nagle zaczęła się nosić zagadkowo, mówiła o filmie, chełpiła się ciężkimi kompleksami psychicznymi i w ten sposób wiernie dopasowywała się do swojej fotografii.

⁵ Asta Nielsen – duńska aktorka, gwiazda filmu niemego (1881-1972).

Skutek był taki, że każdemu uprzykrzała życie swymi kapryсами, stała się drażliwa, bo oczywiście nie wszystko pasowało do jej charakteru, a w końcu wykoleiła się i zdeprawowała.

Ostrzegam was, panowie, przed zemstą oszukanych! Cynicy wśród was twierdzą, że jedyną przeszkodą dla naprawde artystycznego zdjęcia portretowego jest zawsze wyłącznie model i dlatego lepiej byłoby tylko markować fotografie i wykonywać je dopiero potem...

Jesteście, panowie, zagrożeniem dla państwa, wywołujecie konflikty rodzinne, stwarzacie niedoceniane kobiety i rozbijacie związki! Wasze zdjęcia wzywają do porównań niekorzystnych dla rzeczywistości! To anarchizm...

W tym momencie drobny, niepozorny mówca został spoliczkowany przez herkulesowego fotografa Geschwindera, który następnie, okładając go nadal, wśród hucznych braw, wypchnął go mężnie z mównicy na salę.

WRÓG

Kiedy zapytałem swego kolegę szkolnego, podporucznika Ludwiga Breyera, jakie przeżycie wojenne utkwilo mu najżywiej w pamięci, spodziewałem się, że usłyszę o Verdun, Sommie albo o Flandrii; był bowiem na wszystkich tych trzech frontach w najgorszych miesiącach. Tymczasem Breyer opowiedział mi poniższą historię:

Nie najżywsze, ale najtrwalsze z moich wrażeń zaczęło się od tego, że zażywaliśmy spokoju w małej francuskiej wiosce daleko na tyłach. Wcześniej zajmowaliśmy paskudny odcinek frontu, gdzie ogień artyleryjski był wyjątkowo gwałtowny, potem wycofano nas więc dalej niż zwykle, bo mieliśmy ciężkie straty i musieliśmy z powrotem zebrać siły.

To był wspaniały tydzień: sierpień, cudowne, biblijne lato, a wszystko to szło nam do głowy jak ciężkie złociste wino, które znaleźliśmy kiedyś w jakiejś piwnicy w Szampanii. Zostaliśmy odwszeni; niektórym z nas dostała się nawet czysta bielizna, inni wygotowali gruntownie w kociołkach na małych ogniskach swoje koszule; wszędzie panowała atmosfera czystości – której urok zna jedynie żołnierz oblepiony skorupą brudu – pogodna jak sobotni wieczór w owych bardzo już odległych czasach pokojowych, gdy jako dzieci kapaliśmy się w wielkiej wannie, a matka wyciągała z szafy świeżą bieliznę, pachnącą krochmaleni, niedzielą i ciastem.

Oczywiście wiesz, że to nie bajka, gdy mówię, że szczęście tego chylącego się ku końcowi sierpniowego popołudnia zalewało mnie słodką, silną falą. Jako żołnierz człowiek ma zupełnie inny stosunek do przyrody niż większość ludzi. Tysiączne zakazy, zahamowania i przymusy przestają działać wobec twardej, straszliwej egzystencji na skraju śmierci; a w minutach i godzinach przerw w walce, w dniach spokoju, myśl wznosi się czasem ku życiu, czyli nagiemu faktowi, że jeszcze się istnieje, że udało się wyjść obronną ręką, oraz ku czystej radości, że można widzieć, oddychać i poruszać się swobodnie.

Pole w promieniach zachodzącego słońca, niebieskie cienie lasu, szum topoli, czysty nurt płynącej wody sprawiały nieopisaną radość; ale głęboko, niczym bat, niczym kolec, tkwił ostry ból biorący się z wiedzy, że za kilka godzin, za kilka dni wszystko to będzie musiało odejść i zamienić się znowu w wyschnięte krajobrazy śmierci. A uczucie to, tak dziwnie złożone ze szczęścia, bólu, melancholii, smutku, tęsknoty i nadziei, było typowym doświadczeniem

odpoczywającego żołnierza.

Po kolacji wyszedłem z kilkoma kolegami kawałek za wioskę. Nie mówiliśmy wiele; pierwszy raz od tygodni byliśmy w pełni zadowoleni i wygrzewaliśmy twarze w ukośnych promieniach słońca, które świeciło nam prosto w oczy. Tak doszliśmy w końcu do małego, smętnego budynku jakiejś fabryki pośrodku rozległej ogrodzonej posesji, wokół której rozstawiono wartowników. Na dziedzińcu pełno było jeńców, którzy czekali na transport do Niemiec.

Wartownicy nie robili ceregieli i wpuścili nas do środka, żebyśmy mogli się rozejrzeć. Ulokowano tam kilkuset Francuzów, którzy siedzieli lub leżeli na ziemi, palili papierosy, rozmawiali i drzemali. Wtedy otworzyły mi się oczy. Do tej pory z ludźmi zajmującymi nieprzyjacielskie okopy kojarzyłem jedynie krótkie, przelotne wrażenia – pojedyncze i mgliste. Może jakiś hełm wystający przez chwilę ponad brzegiem nasypu; ramię, które coś rzucało i znikowało z powrotem; kawałek szaroniebieskiego materiału, postać wylatująca w powietrze – niemalże abstrakcyjne rzeczy, które czaiły się za ogniem karabinowym, ręcznymi granatami i drutem kolczastym.

Tutaj po raz pierwszy zobaczyłem jeńców, i to wielu, siedzących, leżących, palących – Francuzów bez broni.

Nagle przeżyłem szok, ale w chwilę później musiałem śmiać się z siebie samego. Otóż zaszokowało mnie, że oni są takimi samymi ludźmi jak my. Faktem jednak było – doprawdy, jak tu się nie dziwić – że po prostu nigdy dotąd nie zastanawiałem się nad tym. Francuzi? To byli wrogowie, których należało zabijać, ponieważ chcieli zniszczyć Niemcy. Tamtego sierpniowego wieczoru uświadomiłem sobie wszakże ową złowrogą tajemnicę, magię broni. Broń zmienia ludzi. I ci niegroźni koledzy, ci pracownicy fabryczni, niewykwalifikowani robotnicy, handlowcy, uczniowie, którzy siedzieli tutaj wokoło tacy cisi i zrezygnowani, gdyby mieli tylko broń w ręku, w jednej chwili staliby się na powrót wrogami.

Pierwotnie nie byli wrogami; stawali się nimi dopiero, gdy dawano im broń do ręki. Zastanowiło mnie to, choć wiedziałem, że moje rozumowanie może być niezupełnie logiczne. Ale zaczęło mi już świtać, że to broń zmusza nas do tej wojny. Na świecie było tyle broni, że w końcu wzięła ona górę nad ludźmi i zamieniła ich we wrogów...

A potem, dużo później, we Flandrii, znów obserwowałem to samo: kiedy szalała bitwa materiałowa, ludzie praktycznie nie byli już do niczego potrzebni. Broń z jednej strony w bezsensownym amoku miotała pociski w broń po drugiej stronie. Człowiek musiał mieć wówczas odczucie, że nawet gdyby wszystko między jedną a drugą stroną było martwe, broń sama kontynuowałaby swoje dzieło aż do całkowitego unicestwienia świata. Natomiast wtedy, na dziedzińcu fabryki, widziałem tylko ludzi takich samych jak my. I po raz pierwszy pojąłem, że walczę przeciwko ludziom; ludziom, którzy jak my zauroczeni są mocnymi

słowami i bronią; ludziom, którzy mają żony i dzieci, rodziców i jakiś zawód i którzy może teraz – skoro to oni natchnęli mnie tą myślą – również się budzą i powinni tak samo rozejrzeć się dokoła i zapytać: „Bracia, co my robimy? Po co to wszystko?”

W parę tygodni później byliśmy znowu na spokojniejszym odcinku frontu. Francuska linia przysunęła się do naszej dosyć blisko, ale nasze stanowiska były dobrze umocnione, a poza tym, można by powiedzieć, prawie nic się nie działo. Codziennie rano punktualnie o siódmej artylerie wymieniały na dzień dobry po kilka strzałów; w południe oddawano sobie jeszcze mały salut, a pod wieczór zwyczajowe błogosławieństwo. Zażywaliśmy kąpiele słonecznych przed ziemiankami, a w nocy posuwaliśmy się nawet do tego, że zdejmowaliśmy buty do spania.

Pewnego dnia po drugiej stronie ziemi niczyjej pojawiła się nagle ponad przedpiersiem tabliczka z napisem: „ATTENTION!” Nietrudno sobie wyobrazić, z jakim zdziwieniem się w nią wpatrywaliśmy. W końcu doszliśmy do wniosku, że chcą nas jedynie ostrzec, iż poza rutynowym programem będzie jakiś dodatkowy ostrzał artyleryjski; trwaliśmy więc w gotowości, aby na odgłos pierwszego wystrzału schronić się w ziemiankach.

Dookoła jednak panowała cisza. Tabliczka znikła. W parę sekund później powędrowała w górę saperka; na łopatkę dostrzegliśmy dużą paczkę papierosów. Jeden z naszych kolegów, który miał jakieś pojęcie o języku, wymalował pastą do butów z tyłu na mapniku słowo „COMPRIS” Unieśliśmy mapnik w górę. Wtedy oni po drugiej stronie jęli wymachiwać paczką papierosów. A my w odpowiedzi pomachaliśmy mapnikiem. Potem powędrował w górę kawałek białego materiału.

W największym pośpiechu porwaliśmy koszulę z kolan obergefrajtra Bühlera, który akurat wylapywał wszy, i zaczęliśmy nią powiewać.

Po chwili biały materiał podniósł się także po drugiej stronie, po czym pokazał się hełm. Zaczęliśmy wymachiwać koszulą jeszcze mocniej, tak że pewnie wszystkie wszy z niej powypadały. W górze pojawiła się wyciągnięta ręka, która trzymała jakąś paczkę. Następnie przez drut kolczasty przecisnął się powoli żołnierz; czołgał się na łokciach i kolanach w naszym kierunku, wymachując od czasu do czasu chusteczką i śmiejąc się nerwowo. Mniej więcej pośrodku ziemi niczyjej zatrzymał się i zostawił swoją paczkę. Pokazał na nią kilka razy, zaśmiał się, skinął głową i czołgając się, ruszył z powrotem. Wprawilo nas to w niebywale podniecenie. Z niemal sztubackim uczuciem, że robimy coś zakazanego, że dajemy komuś prztyczka w nos, i po prostu z nieukrywaną żądzą dobrania się do dobrych rzeczy, które oto leżały w naszym zasięgu, łączył się posmak wolności, niezależności, tryumfu nad całym mechanizmem śmierci. To samo uczucie miałem wtedy, gdy stałem pośród jeńców; zdawało się, że jakiś ludzki pierwiastek wdarł się zwycięsko w przedmiotowe wyobrażenie „wroga”, a ja pragnąłem dołożyć do tego tryumfu

swoją część.

Czym prędzej zebraliśmy kilka prezentów, naprawdę nędznych rzeczy, gdyż do podarowania mieliśmy o wiele mniej niż koledzy z naprzeciwka. Następnie daliśmy znowu sygnał koszulą i natychmiast otrzymaliśmy odpowiedź. Powoli dźwignąłem się w górę; głowa i ramiona znalazły się poza okopem. To była cholernie paskudna chwila, powiadam ci, kiedy tak stałem bez żadnej osłony, na wolnej przestrzeni ponad nasypem.

A potem zacząłem czołgać się prosto przez siebie; i wtedy moje myśli zupełnie się odmieniły, jakby nagle zostały przełączone na bieg wsteczny. Ta niebywała sytuacja zafascynowała mnie; czułem, jak wzbiera we mnie silna, kipiąca radość; uszczęśliwiony i roześmiany posuwałem się zwinnie na czworakach. I przeżyłem cudowną chwilę pokoju – indywidualnego, prywatnego pokoju, pokoju, jaki zapanował na całym świecie ze względu na mnie.

Postawiłem przyniesione rzeczy, zabrałem tamte i zacząłem czołgać się z powrotem. I w tym momencie pokój się rozpadł. Znowu czułem setki luf karabinów wycelowanych w moje plecy. Dopadł mnie okropny strach, pot spływał po mnie strumieniami. Dotarłem jednak do okopu cały i zdrowy, po czym zdyszany położyłem się na ziemi.

Następnego dnia trochę już byłem przyzwyczajony; poza tym stopniowo upraszczaliśmy całą sprawę i w końcu nie wychodziliśmy z okopów jeden po drugim, tylko obaj opuszczaliśmy swoje linie równocześnie. Niby dwa psy spuszczone ze smyczy czołgaliśmy się do siebie i wymienialiśmy prezenty.

Kiedy po raz pierwszy spojrzeliśmy sobie w oczy, uśmiechnęliśmy się tylko z zakłopotaniem. Tamten kolega był jak ja młodym człowiekiem, miał może dwadzieścia lat. Po jego twarzy widać było, jak bardzo podoba mu się ta zabawa. *Bonjour, camerade*, powiedział; ale ja byłem do tego stopnia zaskoczony, że odpowiedziałem tylko: *Bonjour, bonjour*, powtórzyłem to dwa albo trzy razy, skinąłem głową i spieszenie się odwróciłem. Mieliśmy stałą porę spotkań i zrezygnowaliśmy ze stosowanych wcześniej znaków, ponieważ obie strony dotrzymywały niepisanego traktatu pokojowego. A w godzinę później strzelaliśmy do siebie znowu tak samo jak przedtem. Pewnego razu tamten kolega z lekkim wahaniem podał mi rękę i uścisnęliśmy sobie dłonie. Poczuliśmy się bardzo dziwnie.

Podobne wypadki zdarzały się wtedy również na innych odcinkach frontu. Dowiedziało się o tym Naczelne Dowództwo i wydało rozkaz, że tego rodzaju rzeczy są absolutnie zabronione; w kilku wypadkach pokrzyżowało to nawet codzienną rundę działań wojennych. Nam to wszakże nie przeszkadzało.

Pewnego dnia na froncie zjawił się jakiś major i osobiście wygłosił nam pogadankę. Wykazywał wiele zapału i energii i powiedział nam, że zamierza zostać na froncie do wieczora. Pech chciał, że zajął stanowisko blisko naszego punktu wypadowego i zażądał karabinu. Major był bardzo młody i żądny

czynów.

Nie wiedzieliśmy, co robić. Nie było żadnej możliwości, żeby dać jakiś znak kolegom po drugiej stronie; poza tym sądziliśmy, że można nas rozstrzelać na miejscu za robienie interesów z wrogiem. Wskazówka minutowa na moim zegarku przesuwała się powoli do przodu. Nic się nie działo i wyglądało już niemal na to, że wszystko rozejdzie się po kościach.

Major na pewno wiedział o powszechnym brataniu, jakie rozgrywało się wzdłuż linii frontu, ale nic konkretnego o tym, co robiliśmy tutaj; po prostu czysty pech sprowadził go do nas akurat teraz i zlecił mu to zadanie.

Zastanawiałem się już, czy mam mu powiedzieć: „Za pięć minut przyjdzie ktoś z tamtej strony. Nie możemy strzelać, bo on nam ufa”. Ale nie ośmieliłem się, a zresztą co by to w ogóle dało? Gdybym tak zrobił, wtedy może major tym bardziej by został i czekał, a tak wciąż istniała szansa, że sobie pójdzie. Poza tym Bühler szepnął mi na ucho, że podczołgał się za przedpiersie i dał karabinem znak „pudło” (jak sygnalizuje się chybiony strzał na strzelnicy), a tamci mu w odpowiedzi pomachali. Zrozumieli, że nie mogą przyjść.

Na szczęście dzień był pochmurny; padało trochę i nadciągał zmierzch. Był już kwadrans po ustalonym czasie naszych spotkań. Z wolna mogliśmy odetchnąć. Nagle jednak coś przykuło mój wzrok; język mi skołowaciał; chciałem krzyknąć, lecz nie mogłem; osłupiały z przerażenia wpatrywałem się w pewien punkt po drugiej stronie ziemi niczyjej, gdzie powoli pokazało się ramię, a następnie ciało. Bühler popędził na koniec przedpiersia i próbował rozpaczliwie dać jakiś znak ostrzegawczy. Ale było za późno. Major już wypalił. Ciało po drugiej stronie osunęło się na powrót z cienkim okrzykiem.

Przez chwilę panowała niesamowita cisza. Potem usłyszeliśmy ryk i zerwał się morderczy ogień.

– Strzelać! Nadchodzą! – wrzasnął major.

Wtedy i my rozpoczęliśmy ogień. Ładowaliśmy i strzelaliśmy jak opętani, ładowaliśmy i strzelaliśmy, żeby jak najszybciej mieć za sobą tę straszliwą chwilę. Cały front był w ruchu, włączyły się także działa, kanonada trwała przez całą noc. Straciliśmy dwunastu ludzi, w tym majora i Bühlera.

Od tej pory działania wojenne kontynuowane były zgodnie z przepisami; papierosy nie kursowały już tam i z powrotem, a straty w ludziach rosły. Wiele mi się przytrafiło od tamtego czasu. Widziałem wielu umierających ludzi; sam zabiłem więcej niż jednego; stałem się twardy i nieczuły. Mijały lata. Przez cały ten długi czas nie ośmieliłem się jednak wrócić myślą do tamtego cienkiego okrzyku w deszczu.

MILCZENIE WOKÓŁ VERDUN

Nikt nie potrafi dokładnie powiedzieć, kiedy to się zaczyna: nagle zmieniają się gładkie, łagodnie zaokrąglone linie na horyzoncie; czerwień i brąz, błyszczące, płomienne barwy liści w lesie przybierają niespodziewanie dziwny odcień, pola płowieją i blakną, przechodząc w ochrowe tony; w krajobrazie pojawia się coś osobliwego, cichego, bladego – nie za bardzo można to wyjaśnić.

Niby to ten sam co poprzednio łańcuch górski, te same lasy, te same pola i łąki, niby nadal ten sam krajobraz co przed godziną – wiedzie przezeń droga, biała i jakby bez końca, a złote światło późnej jesieni rozlewa się nadal po ziemi niczym słodkie wino – a mimo to z oddali, niewidzialnie i niesłyszalnie, nadciągnęło nagle coś innego; i oto stoi, potężne, uroczyste i ogromne, i okrywa wszystko cieniem.

Nie chodzi o owe krzyże na poboczach dróg, cienkie i ciemne, które pojawiają się co chwila. Krzywe i bardzo znużone wystają z trawy, zmurszałe od ciągłych wiatrów, wymęczone przez przeciągające chmury, krzyże z wojny 1870 roku. Ze smukłych młodych drzewek, które wówczas posadzono między nimi, dawno wyrosły drzewa o potężnych konarach pełne świergocących ptaków. Owe dawne rowy strzeleckie już nie przerażają, nie przywodzą już właściwie na myśl śmierci – teraz przypominają raczej krajobraz parkowy, malowniczy i wdzięczny dla oka, dobra ziemia i dobry kraj.

Nie chodzi o charakter tej pięknej, strasznej okolicy, która zawsze była polem bitewnym, gdzie wojny przez wieki odkładały swe odpady niczym różne warstwy w skale, pokład nad pokładem, warstwa na warstwie, wojna po wojnie, nawet dziś jeszcze łatwo rozpoznawalne, od batalii francuskich królów po okopy w Mars la Tour i masowe mogiły w Douaumont.

Nie chodzi także o tajemniczą, dwuznaczną atmosferę tej ziemi, gdzie miękkie niebieskie linie na horyzoncie nie są po prostu pagórkami i lasami, tylko ukrytymi fortami; gładkie wierzchołki przed nimi nie są zaś jedynie łańcuchami pagórków, tylko silnymi, umocnionymi wzgórzami; gdzie idylliczne doliny służą również jako rowy strzeleckie, jako doliny śmierci, miejsca zbiórek i rejony koncentracji i gdzie małe pagórki są betonowymi stanowiskami artyleryjskimi, gniazdami karabinów maszynowych, a niektóre kryją w sobie magazyny amunicji i sztolnie; wszystko tutaj zostało bowiem przemienione w strategię. W strategię oraz groby.

Chodzi o milczenie. Potworne milczenie wokół Verdun. Milczenie po bitwie.

Milczenie nie mające na świecie równego sobie; dotąd bowiem we wszelkich walkach górę brała przyroda; życie odradzało się ze zniszczenia, odbudowywano miasta, wyrastały lasy, a po kilku miesiącach na polach falowało znowu młode zboże. Ale w tej ostatniej, najstraszliwszej z wojen po raz pierwszy zwyciężyło zniszczenie. Stały tutaj wioski, których nigdy nie odbudowano; wioski, gdzie nie został kamień na kamieniu. Ziemia pod powierzchnią jest jeszcze pełna śmiertelnego zagrożenia, czynnej siły wybuchowej, pełna granatów, min i gazów trujących, tak że każde uderzenie motyką czy wbicie szpadla może być niebezpieczne. Były tam drzewa, które nigdy więcej nie wypuściły pąków, ponieważ nie tylko ich wierzchołki i pnie, ale także najgłębiej sięgające korzenie zostały odrąbane, zdruzgotane i roztrzaskane w drzazgi. Były tam pola, po których nigdy więcej nie będzie ciągnięty pług, ponieważ posianym w nich ziarnem jest stal, stal i jeszcze raz stal.

Na tej podziurawionej ziemi w lejach po granatach rośnie jednak zmierzwiona, wątła dzika trawa. Także na brzegach kraterów kwitną czerwone maki i rumianki, a pośrodku pochyłości wypełza nawet czasem chaotycznie i nieśmiało jakiś krzak; ale ta rzadka pokrywa roślinna dodatkowo potęguje wrażenie milczenia i beznadziejności. Wydaje się, że w tym miejscu jest dziura w paśmie wydarzeń, jakby czas się tutaj zatrzymał; jakby czas, który niesie nie tylko przeszłość, ale także przyszłość, litościwie wyłączył tutaj silnik. Nigdzie na świecie nie ma takiej ziemi; pustynia kryje w sobie więcej życia, gdyż jej milczenie jest organiczne.

Nigdzie na świecie nie ma takiego milczenia, gdyż to milczenie jest potężnym skamieniałym krzykiem. Nie kryje się w nim cisza cmentarza; pomiędzy wieloma zmęczonymi, wyczerpanymi żywotami spoczywa niewiele takich, które były młode i pełne zapału; tutaj dla setek tysięcy rozpadła się nagle na atomy widoczna w ich oczach wielka siła, moc, która pozwalała im oddychać i patrzeć, schylać się i walczyć; tutaj w kurczowym odruchu najintensywniejszej samoobrony pożałowało się życia, a nawet się je pieściło, wierzyło w nie z namiętnością, dzikością, żarliwością i zawziętością większą niż kiedykolwiek; i na tę desperacką, wyteżoną wolę, na ten kipiący wir aktywności, udręki, nadziei, strachu i żądzy życia spadł grad odłamków i kul. I wtedy życie, ta najtrwalsza i najkruchsza rzecz, jaka istnieje, przelało swoją krew i nad ośmiuset tysiącami ludzi rozpostarła się wielka ciemność.

Nad tymi polami zgubione lata zdawały się istnieć nadal, lata, których nie było, które nie mogą zaznać spokoju – krzyk młodości zdławiony został za wcześnie, skończył się zbyt nagle.

Ze wzgórz zstępuje szary, ołowiany wiatr i zlewa się z żarem jesieni, jej jasnym ogniem i złocistym światłem. Ze wzgórz zstępuje milczenie, które pozbawia pogodne dni energii i życia, jakby słońce zaćmiło się niczym tamtego popołudnia na Golgocie. Ze wzgórz zstępują nazwy i wspomnienia. Vaux, Thiaumont, Belleville, „Zimna Ziemia”, „Wąwóz Śmierci”, „Wzgórze 304”,

„Umarlak” – co za nazwy! Przez cztery długie lata żyły pośród gigantycznego wycia śmierci: dziś ogarnia tutaj człowieka bezmiar ich milczenia. I nie mogą tego zmienić wycieczki Cooka, przyjemne wypadki jednodniowe po przystępnych cenach ze zwiedzaniem głębokich ziemianek przy romantycznym świetle lampek karbidowych. Ta kraina należy do zmarłych.

W tej ziemi, zrytej niezliczonymi granatami wszelkiego kalibru, w tej krainie zastygłej zgrozy, pośród tego krajobrazu pełnego kraterów żyją wszakże ludzie. Prawie się ich nie widuje, z biegiem czasu tak dobrze się dopasowali, tak nieznacznie odróżniają się od otoczenia. Ich odzież jest żółta i szara, i brudna od ich ofiar. Czasami są ich setki, czasami mogą się pewnie liczyć na tysiące, ale pracują pojedynczo i tak są rozproszeni, że zawsze wydaje się, iż jest ich tylko kilku – pracowite małe mrówki w pustych lejach. Żyją swoim życiem, często przez całe miesiące nie opuszczają swoich obozów, gdzie mieszkają w barakach, i rzadko zachodzą do wiosek. To poszukiwacze.

Pola bitew stały się obiektem działań spekulacyjnych. Pewien przedsiębiorca otrzymał od rządu pozwolenie na zbieranie wszelkich wartościowych metali. I w tym celu zatrudnia poszukiwaczy. Uganiają się oni za wszystkim, co przedstawia jakąkolwiek wartość jako metal: starymi karabinami, niewypałami, bombami, szynami kolejowymi, zwojami drutu, szpadlami – dla nich te pola wspomnień, ciszy i smutku są kopalniami żelaza, stali oraz miedzi. Miedź lubią najbardziej, bo można za nią dostać najlepszą cenę.

Większość poszukiwaczy to Rosjanie. Pośród panującego milczenia również oni stali się milczący. Przeważnie trzymają się we własnym gronie. Nikt nie szuka ich towarzystwa; mimo iż rząd wydał tysiące zezwoleń, odnosi się wrażenie, że to, co robią, nie jest w porządku. W ziemi spoczywa metal wartości milionów franków; ale także łzy, krew i strach milionów.

Jest to intratne zajęcie; wielu poszukiwaczy po krótkim czasie może sobie pozwolić na auto. Artyleria przez lata dbała o to, żeby teraz mieli z czego żyć. Pierwsze, pośpieszne, powierzchniowe zbieranie już się skończyło i obecnie muszą kopać głębiej, aż do następnej warstwy zagrzebanych skarbów. Ziemia jest twarda, już od tygodnia kopią jeden i ten sam dół o powierzchni kilku metrów kwadratowych. Dlatego ważne jest, żeby wybierać zawsze właściwe miejsce. A to wymaga doświadczenia.

Zazwyczaj obszukuje się najpierw teren za pomocą długich żelaznych szpikulców wbijanych w ziemię. Może się wtedy zdarzyć, że szpikulec natrafi na but, który stawia opór; buty zmarłych leżących pod ziemią są bowiem na ogół dobrze zachowane; poszukiwacz potrafi to ocenić, ma przecież wprawę. Na ogół potrafi oszacować, czy wykop się opłaca czy nie. Jeśli natrafi na stalowy hełm, to bardzo dobrze; znalezisko takie cenne jest o tyle, że wskazuje ewentualny łup. Jest paru starych, doświadczonych poszukiwaczy, którzy kopią tylko w miejscach, gdzie rośnie jakiś krzak. Liczą na to, że w takich miejscach powinny być zasypane ziemianki z trupami – w przeciwnym razie roślinność tak by się

nie rozkrzewiła. A w ziemiankach można znaleźć metale wszelkiego rodzaju.

Jeśli ktoś ma szczęście, natrafia na karabin maszynowy, a nawet mały magazyn amunicji. Wtedy naturalnie można zarobić za jednym zamachem parę tysięcy franków. Największym znaleziskiem, o którym mówi się do dzisiaj, był niemiecki samolot. Na fotelu pilota siedział jeszcze szkielet; pomiędzy jego nogami stała skrzynka, a w niej 15 000 marek w złocie.

Wszędzie ten sam obraz. Ziemię najpierw się spulchnia i rozkopuje, a następnie rozgrzebuje dalej rękami. Wyłaniają się granaty ręczne, niemieckie z długim trzonkiem, oraz naczynia kuchenne. Wzbudzają niewielkie zainteresowanie. Lufa karabinu natomiast, pogięta i skorodowana, zostaje rzucona na kupę zebranego już zardzewiałego żelastwa. Hełm – potem błada, wilgotna szmata, szarozielona, wytarta, w połowie już zbutwiała, czaszka, jeszcze z włosami, jasnymi włosami, czaszka z dziurą o postrzępionych brzegach wyrwaną pośrodku czoła. Poszukiwacz odkłada ją do małej skrzynki za sobą. Wytrzepuje poplamione brunatne kości z nędznej brudnozielonej szmaty. Ostatnie wyciąga z czubków butów. Wszystko wędruje do skrzyni, a wieczorem będzie odesłane do głównego magazynu w celu identyfikacji. Pozostaje spleśniała portmonetka z niewielką ilością poczerniałych pieniędzy. Resztki nadgniętego portfela także. Lecz oto, sądząc po dźwięku, szpadel natrafia ponownie na jakiś metal, wyłaniają się żelazne słupki i zwoje drutu – dobry łup...

Zawsze ten sam obraz, setki razy, tysiące razy; w jesiennym słońcu leży żołnierz, parę zbutwiałych szmat, kilka kości, czaszka, resztki wyposażenia w postaci zardzewiałej sprzączki do pasa i ładownicy. On także byłby teraz bardzo szczęśliwy, gdyby żył jeszcze.

Niektórzy poszukiwacze twierdzą, że na podstawie kształtu zuchwy potrafią powiedzieć, czy mają przed sobą czaszkę niemiecką czy francuską. Ważne jest także, żeby wieczorem odstawić kości do głównego magazynu, w przeciwnym razie do rana pożarłyby je lisy. To dziwne, że lisy jedzą tutaj kości. Z pewnością nie ma dla nich nic innego do żarcia. Pomimo to żyje tutaj wiele lisów.

Poszukiwacze kucają w swych niezliczonych małych jamach i kopią jak krety. To prawda, że kości, które znajdują, są identyfikowane, gromadzone na cmentarzach, w mauzoleach, w ogromnych kamiennych sarkofagach.

Mimo to byłoby może lepiej, gdyby pozwolono tym żołnierzom spoczywać tam, gdzie spoczywali dotąd przez dziesięć czy dwanaście lat, gdzie wszyscy są kolegami.

I wydaje się, że oni sami nie chcą tego zmieniać. Wydaje się, że sama ziemia czuwa nad nimi i broni ich przed rękami, które szukają między nimi metalu i pieniędzy. Obok martwych żołnierzy śpi bowiem ich broń. I owa broń zachowała jeszcze nieraz swoją siłę rażącą.

Wystarczy jedno uderzenie motyką w ziemię. Wystarczy ostry sztych szpadla i ziemia pęka z głuchym hukiem, fruwają odłamki i śmierć wyciąga z ziemi

chyż rękę po poszukiwaczy. Wielu już zostało rozerwanych na strzępy, wielu zostało okaleczonych i co tydzień przybywa nowych. Śmierć, która kosiła najpierw żołnierzy, czuwa teraz nad grobami zabitych, a ziemia strzeże ich, jakby nie powinni leżeć we wspaniałych mauzoleach, tylko pozostać tam, gdzie zginęli.

I nad tym właśnie całunem czas się zatrzymał, przed boleścią rozpiętą między tymi horyzontami; nad tym całunem zalega milczenie, smutek i wspomnienia.

KARL BROEGER WE FLEURY

Wóz pędzi szosą na pełnym gazie, opony śpiewają, droga jest prosta, szybki w oknach klekoczą cicho; Strasburg i Metz zostały daleko w tyle. Obok mnie siedzi Karl Broeger i je chleb z masłem, ale nie jest w pełni skoncentrowany. Jego myśli krążą gdzie indziej.

Obiad jedliśmy dwie godziny temu. Kiedy odpoczęliśmy już po przyjemnej niespodziance w postaci połowy homara w majonezie za dwadzieścia pięć franków jako *hors d'oeuvre* – że nie wspomnę o realności innych rzeczy pobudzających apetyt – oraz ogromnym półmisku serów, który zwieńczył ten godny pamięci posiłek, Karl zaczyna mi składać obszerne sprawozdanie na temat swoich planów i widoków na przyszłość.

Niewiele z niego rozumiem, gdyż wiąże się z nim mnóstwo zastrzeżeń i wątpliwości, kalkulacji oraz ludzi. Może to następstwo homara lub wina, a może fakt, że jedno i drugie było zadziwiająco tanie, w każdym razie jego perspektywy sięgają coraz wyżej, a w końcu giną w chmurach Mount Everestu: za dziesięć lat będzie kierownikiem, za dwadzieścia dyrektorem, potem dyrektorem generalnym, prezesem i tak dalej. Obecnie Karl stoi na tak niskim szczeblu drabiny, że spokojnie może spać bez obawy poważnych obrażeń. Jest pracownikiem banku i ma zdrową konstytucję. Dlatego już w dwie godziny po homarze może znów jeść – zwyczajny dobry chleb z masłem. Tymczasem, aby nie uprzedzać urzeczywistnienia swoich ideałów, snuje marzenia o tym, co będzie kiedyś robił jako kierujący interesem. To cały Karl.

Samochód gna dalej przez wioski – spiczaste szczyty domów, barwne stroje kobiet, jesienny wiatr i kupy gnoju przemykają za naszymi oknami, zakręt za zakrętem, pagórek za pagórkiem, w końcu obsadzone drzewami aleje się urywają; drogi rozgałęziają się i zwężają; zbliżają się ocieźałe, rozklekotane autobusy z grubymi wymalowanymi literami i jakimiś nośnymi hasłami, a na przydrożnych tablicach pojawiają nazwy miejscowości, na których widok wszystko powinno się zatrzymać.

Karl chowa rzeczy do portfela. Pomiędzy papiery z banku wetknął wycinki z gazety sportowej, opisujące sławetny mecz piłkarski Rheine-Miinster (drużyna Karla wygrała zdecydowanie sześć do zera, a on sam został wyróżniony w relacji), lecz największą wagę przywiązuje do kilku zdjęć czarujących dam, które oglądał podczas deseru.

Przed nami droga się kończy. Wóz zatrzymuje się z piskiem hamulców;

wysiadłszy, znajdujemy się na czymś w rodzaju rynku. Stoją tam zaparkowane auta, wokół nich zatroskani kierowcy, uosobienie fachowości w szpiczastych szoferskich czapkach, grupy ludzi zbierają się i ustawiają, przewodnicy biegają po placu, zbierają swoje owieczki i wyruszają na trasę. Mężczyźni wokół nas uprawiają z zapalem swoje rzemiosło stłumionym, spiesznym szeptem; wczorajsze ulice śmierci zamieniły się w bulwary pełne powojennych gości, z którymi trzeba się liczyć, a tam gdzie kiedyś każdy krok oznaczał krew i potworny strach ścisnął człowiekowi gardło, przebiegają obecnie dróżki z drewnianych bali, żeby turyści nie pobrudzili sobie butów, przodem natomiast kroczą fachowo wyszkoleni tłumacze, tak żeby każdy zobaczył wszystko – absolutnie wszystko. Douaumont.

Również wokół nas krąży jakiś człowiek, z ożywieniem i zapalem wyrzucając półgłosem słowa – chce nam wyjaśnić strategię tutejszych urządzeń, poniekąd nas z nimi zaznajomić. Karl, pokrzepiony homarem oraz chlebem z masłem, uśmiecha się życzliwie i słucha uważnie; w końcu i my pozwalamy się oprowadzić po forcie przy świetle lampki karbidowej; także my pozwalamy sobie wyjaśniać, jacy praktyczni byli Niemcy, którzy natychmiast po zajęciu fortu zainstalowali w piwnicy maszyny, założyli światło elektryczne i ustawili dźwigi, żeby wyciągać na górę amunicję, wszystkiego tego wcześniej, rzecz jasna, nie było.

Karl potwierdzająco kiwa głową: rzeczywiście, tak było. Ale kiedy stajemy przed zardzewiałymi stalowymi hełmami, niewypałami oraz pokrzywionymi lufami karabinów i nasz przewodnik także tutaj zaczyna na powrót trajkotać, a inny obok nas przystępuje do opowiadania tej samej historii po angielsku, Karl daje mi znak; ma tego dosyć; przepychamy się do wyjścia. Wobec tych hełmów, napierśników, odłamków granatów na dole ucichł zupełnie.

Po dusznym powietrzu w tunelu wita nas na zewnątrz powiew wiatru, tak łagodny i kojący, że człowiek najchętniej oparłby się o niego. Jest jeszcze dosyć jasno, ale nastąpiła już owa tajemnicza pora, gdy dzień i noc równoważą się, szale wagi, które wahają się bez końca, zatrzymują się na moment i jak gdyby zastygają w bezruchu – jeszcze jedno uderzenie serca i czar mija, nagle pojawia się słaby odblask wieczoru, na łące ryczy krowa i zapada noc.

Łańcuch wzgórz przed nami pokrywa fioletowy cień. Przewodnik wyszedł za nami i stojąc z tyłu, zaczyna znowu:

– „Pieprzniczka” po tamtej stronie była nadzwyczaj ciekawym punktem pod względem strategicznym...

Nic więcej nie udaje mu się powiedzieć. Karl ogląda się gniewnie i mówi stanowczym tonem:

– Zamknij się pan...

Nie mówi tego złośliwie, raczej spokojnie i kończąc w ten sposób dyskusję.

Po czym rusza przodem, zostawiając za sobą strategiczny szyk bitewny,

niewyraźną paplaninę grup turystów, zostawiając homara, chleb z masłem, zdjęcia dam i sprawy bankowe, zostawiając za sobą dziesięć lat pokoju.

Idzie, a jego twarz staje się coraz poważniejsza; oczy zwięzają się, intensywnie wpatrują w ziemię; szeleści trawa, zgrzytają kamienie, jakaś tabliczka ostrzega jeszcze przed groźącym gdzieś niebezpieczeństwem, lecz Karl nie dba już o takie rzeczy. Jest na tropie.

Siad prowadzi przez resztki zasieków z drutu kolczastego na podziurawione granatami pola. Tłumacz zasypuje nas gradem ostrzeżeń i zostaje daleko w tyle. Pokazują się ziemianki, zasypane, a potem odkopane, dokoła walają się granaty z długim trzonkiem i podziurawione jak sito naczynia kuchenne, z żółtej gliny wystaje nędzny zardzewiały widelec, a na jego końcu wisi połówka łyżki.

Przez jakiś czas idziemy dalej. Karl zatrzymuje się często i bada stan rzeczy. Potem kiwa głową i prze dalej naprzód. Można rozpoznać kierunek okopu. Ale tylko kierunek – leje, pomiędzy którymi biegnie, a potem ostro skręca kilka śladów.

Jeszcze parę kroków. Jeszcze jedno spojrzenie – i Karl znalazł, czego szukał.

Przez chwilę milczy, po czym mówi:

– Tutaj... – Zatrzymuje się, lecz zaraz rusza dalej: – To musiało być mniej więcej tutaj... tutaj byliśmy wtedy... dookoła huk, kilka strzałów, a potem „Do ataku...” – I powtarza: – A potem „Do ataku”.

To rzekłszy, zostawia za sobą okop, podrywa się i sam atakuje znowu. Teraz jednak to nie jest już Karl Broeger, człowiek zajmujący się sprawami bankowymi i wiadomościami piłkarskimi; to ktoś zupełnie inny, o dziesięć lat młodszy, to podoficer Broeger, którego dopadły z powrotem ziemia, dziki zapach popiołu pól bitewnych oraz wspomnienia, spadające nań niczym trąba powietrzna.

Jego ruchy nie są już takie jak przedtem: nie jest to już niezdecydowane szukanie; nie jest to także sposób chodzenia, do którego przywykłem; nieświadomie, mimo woli pojawia się znowu coś ze skokowego, uważnego, ostrożnego skradania się, instynktowna zwierzęca pewność; on sam nie zauważa nawet, że wciągnął głowę w ramiona, że ramiona poruszają się luźno w stawach, gotowe zamortyzować upadek; nie zdaje sobie również sprawy, że unikając pokazywania całej postaci, jakby nie chciał być widziany, przez cały czas pozostaje pod jakąś osłoną.

Tak posuwamy się do przodu. Jeszcze przed kilkoma godzinami nie byłby pewnie w stanie zorientować się w terenie; teraz zna każdą piędź ziemi; znowu należy do przeszłości. I tak podążamy śladem – dwaj mężczyźni w szytych na miarę garniturach i kapeluszach, z laseczkami – podążamy tym samym śladem, którym on i jego drużyna czołgali się owej straszliwej nocy, kiedy pociski świetlne jak ogromne lampy łukowe wisiały ponad obrazem zniszczenia i cała ziemia wokół Thiaumont i Fleury wznosiła się i opadała niczym morze pod

fontannami eksplozji; ponownie idziemy tą drogą, a wokół nas panuje niezmierzona wieczorna cisza, lecz w uszach podoficera Broegera wrze bitwa; swoją laseczkę trzyma w ręku niby granat i raz jeszcze prowadzi swoich ludzi przez leje po granatach do szturm na miasto.

Miasta już nie ma. Zniknęło zrównane z ziemią; nie zostało odbudowane, bo ziemia nadal jest zaminowana, naszpikowana materiałami wybuchowymi, zbyt niebezpieczna, aby ją znowu zabudowywać.

Karl opiera się o pomnik upamiętniający miejsce, gdzie stało kiedyś Fleury, budząca grozę wioska, której ruiny zdobywano i tracono sześć razy jednej nocy.

– Był u nas taki młody rekrut – mówi. – Przez cały czas trzymał się blisko mnie. Kiedy potem musieliśmy się wycofać, zniknął. A później...

Później, gdy zajęli to miejsce, odnaleźli jedynie kawałek czyichś zwłok, ale nie wiedzieli, czy to był on. Tym sposobem zgłoszono go jako „zaginionego” i jego matka po dziś dzień ma nadzieję, że pewnego ranka wejdzie do jej różowego pluszowego salonu i, zmężniały, silny i barczysty, usiądzie obok niej na sofie.

– Nie ma powodu, dla którego nie miałby jeszcze żyć – zastanawia się Karl, spoglądając na mnie posepnym wzrokiem. – Sądysz, że zostałby muzykiem? Wtedy chciał nim zostać.

Nie wiem tego, więc odchodzimy. Szarówka ustąpiła miejsca barwie granatowej. Karl zatrzymuje się jeszcze raz i mówi, machając ręką, jakby chciał wszystko wymazać:

– Spójrz, ja tego po prostu nie rozumiem. Kiedyś było tu tak, że nie można było nawet myśleć, to było piekło, czyste piekło, kres wszystkiego, koniec, diabelski kocioł, beznadzieja, i człowiek siedział w środku tego, lecz właściwie nie był już człowiekiem – a teraz spacerujemy sobie tutaj i okazuje się, że to tylko mała dolina, a tam, w ciemności, niewinny pagórek...

Biała bryła mauzoleum rysuje się w ciemności. Autobusy wycieczkowe z rzędami miękkich siedzeń stoją gotowe do odjazdu, a potem warcząc, odjeżdżają.

Za oknami samochodu przesuwa się znowu ciemny krajobraz. W świetle reflektorów prześlizgują się pomniki na cześć poległych, wiele pomników. Napisy na nich mówią przeważnie o *gloire* i *victoire*.

– To nie jest cała historia – Karl kręci głową – nie, to absolutnie nie wszystko. Ale mają rację, że wznoszą pomniki, gdyż więcej niż tam i w całej tamtejszej okolicy nigdzie nie wycierpiano. Jedno tylko opuścili: Nigdy więcej. Tego brakuje. Wiesz...

Przed nami rozciąga się biała szosa i wznosi powoli pod górę. Zza chmur wyłania się księżyc, czerwony i smutny. Stopniowo robi się coraz mniejszy i jaśniejszy, a w końcu oblewa srebrną poświatą amerykański cmentarz przy wjeździe do Romagne. W bladym świetle połyskuje czternaście tysięcy krzyży. Czternaście tysięcy krzyży w rzędach jeden za drugim – tak zdumiewająco prostych, w pionie i w poziomie, że oczy człowieka pieką. Pod każdym krzyżem

grób. A na każdym napis: Herbert C. Williams, porucznik, wojska chemiczne, Connecticut, 13 września 1918 – Albert Peterson, 137 pp, 35 dyw., Dakota Północna, 28 września 1918; czternaście tysięcy, a było ich dwadzieścia pięć tysięcy. Zabici podczas ataku na Montfaucon, zabici parę tygodni przed zawarciem pokoju. Jeden tylko cmentarz dla tak wielu. Wszędzie, w setkach miejscowości, leżą inni, białe drewniane krzyże Francuzów, czarne Niemców.

Pośród tych czternastu tysięcy krzyży szeroką główną aleją chodzi tam i z powrotem, tam i z powrotem pojedynczy człowiek, odległy i mały. To bardziej przygnębiające, niż gdyby nic się nie ruszało. Karl ponagla, żeby jechać dalej.

W miastach, na placach bawią się dzieci. Dookoła nich są sklepy, domy, cmentarze przykościelne, gazety, hałas, krzyki, ulice, świat; ale one, pogrążone w swych prostych zabawach, bawią się dalej, bawią się jak wszędzie na świecie.

– Dzieci – mówi Karl, lecz w ciemności nie widać, co się z nim dzieje – dzieci są wszędzie takie same, prawda – dzieci o niczym jeszcze nie wiedzą... – A kiedy zastanawiam się jeszcze nad jego słowami i obrzucam go baczny spojrzeniem, obraca się do mnie. – No, rusz się wreszcie, stary – po co tu jeszcze sterczymy? – Po czym odwraca głowę i przez resztę drogi wygląda w napięciu przez okno.

ŻONA JOSEFA

Było to w roku 1919 i kwitły już bzy, kiedy podoficer Josef Thiedemann wracał do domu. Była przy nim tylko jego żona. Sama po niego przyjechała, nie wzięła ze sobą nawet woźnicy.

Przez cały dzień oboje siedzieli w milczeniu obok siebie. Brązowe lśniące końskie zady przed nimi kołysały się lekko na boki. Wjechali na drogę wiodącą przez środek wioski i posuwali się powoli do przodu. W zachodzącym słońcu ludzie stali przed domami, czasem jakaś kobieta położyła mężowi rękę na ramieniu. Thiedemann wszakże nie rozpoznawał nikogo – nawet własnej żony ani koni.

W lipcu 1918 roku po wybuchu granatu został zasypany w ziemiance, gdzie siedział z paroma kolegami. Przed zmiążdżeniem ocalił go najczystszy przypadek: kawałek pękniętego oszalowania ziemianki, który oparł się ukośnie o ścianę nad jego głową. Zanim pomoc dotarła do niego, upłynęło kilka godzin i wszyscy sądzili, że pewnie już się udusił; jednak dwie strzaskane belki zaklinowały się w taki sposób, że pozostała między nimi wąska szczelina, przez którą mógł od biedy oddychać. To uratowało mu życie.

Thiedemann był jeszcze przytomny, kiedy go wydobyto, i sądząc po zewnętrznych objawach, nie odniósł praktycznie żadnych obrażeń. Przez jakiś czas siedział apatycznie na ziemi na brzegu okopu i nieobecny spojrzeniem wpatrywał się w zwłoki swoich kolegów. Jeden z sanitariuszy potrząsnął go za ramię i próbował wcisnąć mu między zęby filiżankę kawy z odrobiną wódki. Wtedy westchnął głęboko i stracił przytomność.

Doznał przypuszczalnie ciężkiego szoku i przez rok bez mała przenoszono go z jednej kliniki neurologicznej do drugiej. W końcu żonie udało się uzyskać pozwolenie na zabranie go do domu.

Kiedy wóz skręcił na drogę prowadzącą do zagrody i podskakując, podjechał pod szopę, Thiedemann wyprostował się. Jego żona zbladła i wstrzymała oddech. W chlewie kwiczały świnię, a od lip niósł się wonny zapach. Thiedemann obracał głowę to tu, to tam, jakby czegoś szukał. Potem znowu zapadł się w siebie i pogrążył na powrót w apatii; nie zareagował, nawet kiedy siedział już przy stole i weszła jego matka. Zjadł, co mu podano, a następnie zrobił obchód domu. Wszędzie się orientował, wiedział dokładnie, gdzie trzymane jest bydło i gdzie mieści się sypialnia. Ale niczego nie rozpoznawał.

Pies, który w pierwszej chwili obwąchał go z zainteresowaniem, położył się z powrotem pod piecem i zaskamlał. Nie lizał mu rąk ani go nie obskakiwał.

W ciągu pierwszych tygodni Thiedemann dużo siedział sam w ciepłych promieniach słońca obok stodoły. Na nikogo nie zwracał uwagi, a jemu pozwalano robić, na co miał ochotę. Nocami cierpiał często na ataki duszności. Zrywał się wtedy z łóżka, wymachiwał rękami i krzyczał. Raz omal się nie wykrwawił, kiedy stłukł szybę w oknie i przeciął sobie szkłem przegub dłoni. Z tego powodu żona kazała wstawić w sypialni szybę z drucianą siatką.

Później Thiedemann bywał bardzo szczęśliwy, gdy bawił się z dziećmi. Robił im małe papierowe statki i wycinał fujarki z wierzbowych gałęzi. Dzieci go lubiły i kiedy nastał czas zbioru jagód, zabrały go ze sobą do lasu. W drodze powrotnej chciały pójść na skróty przez kawałek otwartego terenu. Ledwo jednak znaleźli się poza osłoną ostatnich drzew, Thiedemann zrobił się niespokojny. Wystraszony i zdenerwowany zawołał coś do dzieci i rzucił się na ziemię. Popatrzyły na niego ze zdumieniem. Pociągnął w dół stojącego najbliżej chłopca i nie dał się namówić, żeby iść dalej przez otwarte pole w pozycji wyprostowanej. Wciąż pochylony, chciał się tylko czołgać. Dzieci nie wiedziały, co robić, poszły więc po jego żonę. Kiedy się oddalały przez pola, Thiedemann wołał za nimi zaniepokojony do ostatnich granic i zamykał oczy, jakby zaraz miało się stać coś strasznego.

Z biegiem czasu stał się gruby i nalany – nic nie robił i jadł bez umiaru. Stopniowo rozpoznawał domowników; nie rozumiał jednak, że do nich należy. Ich powierzchowność przestała być dla niego swojska. Prawie zawsze był pogodny i zadowolony. Tylko od czasu do czasu, gdy przypadkiem zobaczył kawałek świeżo rozłupanego, jasnego drewna, zaczynał płakać i niełatwo go było pocieszyć.

Jego żona prowadziła gospodarstwo sama. Zwolniła jedyne robotnika, bo kiedyś przy stole usiłował przedrzeć pewien bezradny gest Thiedemanna. Po kilku dniach wrócił, żeby wyjaśnić, że nie zrobił tego złośliwie, lecz kobieta, nie słuchając go, wręczyła mu jedynie zapłatę i wyszła z pokoju. Pewnego wieczoru, kiedy syn młynarza chciał się dobrać do niej i zamknął za nią drzwi, chwyciła wiszący na ścianie sportowy karabinek i nie wypuściła go z ręki, dopóki tamten, uśmiechając się głupkowato, nie wyszedł. Również inni próbowali, ale żaden nic nie wskórał. Kobieta miała trzydzieści pięć lat i odznaczała się smagłą, dumną urodą. Pracowała ciężko, lecz pozostała sama.

W pierwszych miesiącach często przyjeżdżali lekarze. Thiedemann chował się przed nimi i za każdym razem trzeba go było szukać. Tylko na wołanie żony gotów był przyjść do domu. Jeden z lekarzy pozostał w zagrodzie prawie cały rok, żeby się nim zajmować. Kiedy odjeżdżał, kobieta musiała sprzedać kilka sztuk bydła. W owym roku zbiorom zbóż zaszkodziły letnie deszcze, ucierpiały

także ziemniaki. To był trudny rok.

Stan Thiedemanna się nie zmieniał. Kobieta przyjęła z kamienną twarzą lekarski wyrok, jakby był dla niej rzeczą zupełnie obojętną. Nocą jednak, kiedy Thiedemann mruczał przez sen niezrozumiałe słowa i rzucał się w łóżku na wszystkie strony, przytulała się do niego, jak gdyby ciepło jego ciała miało jej pomóc; wsłuchiwała się w jego słowa, zadawała mu pytania i zagadywała go. Nie odpowiadał, ale uspokajał się, po czym prędko zasypiał.

Tak mijały lata.

Raz przyjechał na kilka dni w odwiedziny kolega Thiedemanna. Przywiózł parę fotografii z tamtych czasów i ostatniego wieczoru pokazał je kobiecie. Było wśród nich migawkowe zdjęcie grupowe ich plutonu. Przedstawiało siedzących przed ziemianką i szczerzących zęby obnażonych do pasa mężczyzn, którzy przepatrywali koszule, szukając wszy. Thiedemann był drugi z prawej i uśmiechał się, jedną rękę trzymał w górze, ściskając coś między kciukiem i palcem wskazującym.

Kobieta obejrzała zdjęcia jedno po drugim. Kiedy tak pogrążyła się w oglądaniu, do pokoju wszedł Thiedemann. Ciężkim krokiem zbliżył się do pieca po drugiej stronie pomieszczenia i usiadł na krześle. Kobieta wzięła zdjęcie grupowe i przez jakiś czas trzymała je w dłoni. Jej spojrzenie wędrowało od wyblakłego zdjęcia do apatycznej postaci pod piecem.

– A więc to tam się stało? – spytała.

Przyjaciół skinął głową.

Kobieta milczała przez chwilę. W ciszy słychać było tylko ciężki oddech Thiedemanna. Przez okno wleciała ćma i trzepotała się wokół lampy. Drżący cień jej skrzydeł padał migotliwie na stół i fotografie, nadając im iluzoryczny ruch i pozór życia. Kobieta wskazała na zdjęcia okopów i zniszczonych wiosek.

– Dalej to tak wygląda?

– Pewnie tak.

Szybkim ruchem podała mu ołówek i wygładziła torebkę po cukrze, która leżała w zasięgu ręki na parapecie.

– Proszę mi napisać nazwę tej miejscowości. I jak się tam dostać.

Przyjaciół uniósł głowę.

– Chce pani tam jechać?

Kobieta popatrzyła na zdjęcie, na którym Thiedemann, jeszcze uśmiechnięty i zdrowy, siedział przed ziemianką, po czym spokojnie podniosła wzrok na gościa.

– Tak – odpowiedziała.

– Wszyscy byśmy tam chętnie kiedyś pojechali – rzekł przyjaciel z namysłem, powoli pisząc litery. – Musi pani pojechać przez Metz.

Zanim wszystko zostało przygotowane, upłynęło sporo czasu. Ludzie nie rozumieli, dlaczego kobieta chce jechać, i próbowali ją odwieść od tego zamiaru.

Ona jednak nie zważała na żadne perswazje. Nie dawała się wyprowadzić z równowagi, bez wahania pakowała rzeczy niezbędne w podróży. Kiedy ludzie ją wypytywali, odpowiadała krótko i po prostu:

– Tak trzeba.

Podróż była ciężka. Od długiej jazdy Thiedemanna rozboleła głowa, a kobieta nie miała przy sobie nikogo, kto by jej pomógł. Poza tym nie rozumiała języka. Po prostu stała i patrzyła na ludzi, dopóki nie domyślili się, o co jej chodzi.

Trzeciego dnia po południu dotarli do miejscowości, gdzie stała kompania Thiedemanna. Była to pusta, smętna wioska z długimi szeregami szarych domów. Po ruinach ze zdjęcia nie zostało ani śladu. Miejscowość została całkowicie odbudowana.

Przed gospodę zajechało parę konnych wozów z turystami. Do kobiety podszedł tłumacz i ją zagadnął. Zapytała, czy mógłby jej coś powiedzieć o odcinku frontu, gdzie został zasypany Thiedemann. Wzruszył ramionami – teraz wszędzie były znowu pola, ponownie uprawiane od jakiegoś czasu.

– Wszędzie? – spytała kobieta.

– O, nie! – Tłumacz zaczął wykazywać oznaki zrozumienia i wyjaśnił, że w pobliżu, w odległości niespełna kilometra, znajdują się okopy i leje po granatach, które nadal wyglądają prawie dokładnie tak samo jak dawniej. Czy chciałaby, żeby ich tam zaprowadził? Skinęła głową. Zdażyła tylko zostawić bagaże w gospodzie i wyruszyli w drogę.

Dzień był pogodny i piękny. Lekki wietrzyk niósł się po zboczach, pomiędzy okopami i zasiekami z drutu kolczastego trzepotały się małe błękitne motyle. Na brzegach kraterów rosły maki i rumianki. Łąki, które w dalszym ciągu sięgały tu i ówdzie w głąb tego krajobrazu, stopniowo zostawały w tyle, wioska zniknęła, a kiedy przekroczyli grzbiet pagórka, wokół nich zaległo nagle blade milczenie pól bitewnych, zmacone jedynie przez kilka małych grupek mężczyzn przy pracy, rozproszonych pomiędzy lejami po granatach. To zbieracze metali, wyjaśnił przewodnik, szukają żelaza, stali i miedzi.

– Tutaj? – spytała kobieta. Przewodnik skinął głową.

– W ziemi jest pełno amunicji – powiedział. – Dlatego wydzierżawiono cały teren pewnej firmie, która zajmuje się odzyskiwaniem metali. Odnajdywane zwłoki są zabierane, a potem grzebane na różnych pobliskich cmentarzach.

Wskazał na prawo, gdzie widoczne były długie rzędy białych krzyży, które błyszczały w słońcu.

Kobieta została z Thiedemannem na dawnym polu bitwy do wieczora. Obeszła z nim wiele okopów i lejów, stała wraz z nim przed wieloma zawałonymi i zasypanymi ziemiankami. Nieraz spoglądała na niego, po czym ruszała dalej. On jednak towarzyszył jej obojętnie, żaden błysk nie ożywił jego zgasłej twarzy. Następnego ranka kobieta znów była na polu bitwy. Znała już drogę i dzień w dzień widywano oboje, jak wędrują powoli po gliniastym gruncie między lejami: znużony, pochylony mężczyzna i wysoka, milcząca kobieta. Wieczorem wracali

do gospody i szli do swojego pokoju.

Czasem towarzyszył im tłumacz. Pewnego razu zaprowadził ich w rejon, gdzie rzadko zapuszczali się turyści. W pobliżu nie było żywej duszy oprócz paru grupiek pracujących zbieraczy.

W jednym miejscu labirynt okopów frontowych pozostał praktycznie nienaruszony. Thiedemann zatrzymał się przed jakąś ziemianką i schylił, by zajrzeć do środka. Robił to już często, lecz tym razem kobieta przystanęła i chwyciła tłumacza za ramię. Z wejścia wystawało kilka zgniłych desek, które stanowiły oszalowanie ścian ziemianki. Thiedemann zaczął je ostrożnie obmacywać.

W tym momencie rozległ się nagle ostry metaliczny dźwięk dochodzący od paru zbieraczy, którzy zaczęli kopać w odległości kilkuset metrów od nich. Dźwięk wydawał się tak nieznośnie głośny, że kobieta podniosła rękę, jakby chciała go uciszyć, lecz w następnej chwili ziemią wstrząsnął potężny huk, po czym dał się słyszeć gwizd, świst i syk, a na koniec rozpaczliwy, przeraźliwy krzyk z grupy zbieraczy.

– Wybuch! – zawołał tłumacz i ruszył biegiem na miejsce wypadku. – Przy kopaniu natrafili na granat!

Kobieta sama nie wiedziała, jak to się stało, lecz oto klęczała już przy mężczyźnie, który miał nogę poszarpaną na strzępy. Od bluzy roboczej oderwała rękaw i owinęła nim udo rannego; podniosła z ziemi mały pręt żelazny i wetknęła w węzeł, a następnie zacisnęła opaskę; mężczyzna zemdłał, kiedy podparł się na łokciu, żeby zobaczyć ranę. Koledzy odnieśli go do baraków. Kobieta wstała. Tłumacz zasypał ją potokiem słów – była to siódma eksplozja tutaj w ciągu dwóch tygodni! Rozglądała się za jakąś kępką trawy, którą mogłaby zetrzeć krew z rąk. Nagle jej zmysły wyostrzyły się i zaczęła nasłuchiwać. Rannego mężczyzny nie mogli już słyszeć, ale w dalszym ciągu rozlegał się głuchy, zduszony krzyk. Pobiegnęła z powrotem...

Krzyk wydobywał się z gardła Thiedemanna, który leżał płasko na ziemi, jakby przypadł do niej w desperackiej próbie szukania osłony. Krzyczał z twarzą wciśniętą w ziemię, jego ramionami wstrząsał szloch. Tłumacz spojrział na niego zdziwionym wzrokiem i chciał go podnieść, ale kobieta powstrzymała go.

Z baraku nadbiegło paru robotników. Myśleli, że Thiedemann jest ranny, i chcieli go wziąć na nosze. Kobieta nie dopuściła jednak nikogo. W jednej chwili wydała się odmieniona: jej ruchy wyrażały gorączkowy pośpiech, a mimo to zmusiła wszystkich do odejścia, taka siła i błagalny strach malowały się w jej oczach. Kręcąc głową, mężczyźni wreszcie sobie poszli, nawet tłumacz – kobieta patrzyła za nimi, póki nie zniknęli w labiryncie okopów. Potem usiadła na stopniach ziemianki i czekała.

Gdy zapadł zmierzch, Thiedemann zupełnie umilkł. Leżał na ziemi tak samo jak wtedy, nad jego nocnym posłaniem wzbijały się dźwięki dzwonów na Anioł

Pański. Ale kobieta w dalszym ciągu siedziała nieruchomo.

W końcu Thiedemann się poruszył. Próbował podnieść się na łokciu, lecz opadł z powrotem na ziemię. Po chwili spróbował po raz drugi. Kobieta nie pomagała mu. Cofnęła się tylko głębiej w ciemną czeluść ziemianki.

Thiedemann obmacywał rękami ziemię. Obluzował i wyrwał deskę z szalowania. Próbował wstać, lecz nie udało mu się. Zrezygnował więc i siedząc, bez przerwy głaskał dłońmi trawę. Podniósł głowę i obracał nią powoli w lewo i w prawo. Robił to dosyć długo.

Nad głowami dwojga ludzi jał śpiewać jakiś ptak. Ręce Thiedemanna uspokoiły się.

– Anna... – powiedział z lekkim zdziwieniem.

Kobieta dalej nic nie mówiła, ale gdy wzięła teraz męża pod ramię, żeby go odprowadzić, jej twarz drgnęła nagle, jakby miała się rozpaść na kawałki, i na chwilę nogi się pod nią ugięły.

W kilka tygodni później Thiedemann mógł objąć na powrót gospodarstwo. Jego żona dobrze je prowadziła: stado bydła powiększyło się o czternaście młodych krów, a poza tym dokupiła trochę łąki i pola.

DZIEJE MIŁOŚCI ANNETTE

Annette Stoll wychowała się w małym mieście uniwersyteckim w środkowych Niemczech. Była świeżą, młodą dziewczyną o jasnej cerze, beztroską i skora do śmiechu. Uczęszczała do szkoły z umiarkowaną pilnością i miała słabość do słodczy i filmów. Jej towarzyszem zabaw w dzieciństwie był młody Gerhard Jäger, starszy od niej o mniej więcej trzy lata, chudy, tyczkowaty, zdradzający zamiłowanie do książek i poważnych rozmów.

Mieszkali po sąsiedzku, ich rodzice byli ze sobą zaprzyjaźnieni. Naturalną kolejną rzeczy wychowywali się więc razem jak brat i siostra. Przygody jednego były przygodami drugiego – opuszczone ogrody, kręte zaułki, niedziele z biciem dzwonów, letnie łąki, zmierzch, gwiazdy, zapach oraz podniecający, tajemniczy czar młodości – wszystko to przeżywali wspólnie.

Później to się zmieniło. Dziewczyna, wcześniej dojrzała i urodziwa, wykształciła w sobie chłodne opanowanie właściwe rezolutnej szesnastolatce. Nagle opuściła otwarty, swojski ogród dziecięcego koleżeństwa i znalazła się w półmroku fascynujących tajemnic. Młody Gerhard Jäger, który do niedawna był jej starszym przyjacielem i obrońcą krainy dzieciństwa, wydawał jej się teraz niezgrabny, dużo młodszy od niej i niemal śmieszny w swej refleksyjnej naturze i braku zdecydowania. Lubiła w życiu rzeczy gładkie i okrągłe, nietrudno więc było przepowiedzieć jej dalszy rozwój – będzie niechybny, spokojny i zupełnie zwyczajny, z czcigodnym małżonkiem i zdrowymi dziećmi.

Kiedy Gerhard skończył pierwszy semestr na uniwersytecie, stali się sobie obcy.

Potem przyszła wojna. Miasto zaraziło się powszechnym gorączkowym entuzjazmem. Z każdym dniem coraz więcej studentów początkowych semestrów zamieniało swoje kolorowe czapki na szare wojskowe z pułków ochotniczych. A ich chłopięce twarze z wypisaną młodzieńczą gotowością do ofiar wyglądały niemal obco, poważniej, doroślej, ale także piękniej i zarazem jednak za blisko jeszcze ławy szkolnej, klubu wioślarskiego i wieczornych eskapad – za blisko jeszcze pokoju, żeby choć w przybliżeniu naprawdę rozumieć, co to wszystko znaczy i dokąd idą.

Gerhard Jäger należał do pierwszych ochotników. Ten spokojny, niezdecydowany, refleksyjny chłopiec był jakby odmieniony. Zdawał się płonąć jakimś wewnętrznym ogniem, który był jednak bardzo odległy od

niepohamowanego odurzenia wojennego profesorów. On i jego koledzy widzieli w wojnie coś więcej niż tylko walkę i obronę; dla nich była ona wielkim szturmem, który miał zmieść z powierzchni ziemi przestarzałe ideały pretensjonalnie uporządkowanej egzystencji i odmłodzić starzejące się życie.

Wyruszyli wszyscy razem pewnej niedzieli. Na dworcu było wielu płaczących, podekscytowanych i rozentuzjasmowanych przyjaciół i krewnych. Zjawilo się niemal całe miasto. W wyloty luf karabinów powtykano kwiaty i świeże zielone gałązki, grała kapela wojskowa, tu i tam wlatywały okrzyki i wołania. Gdy pociąg już ruszał, Gerhard Jäger ujrzał nagle Annette przed oknem swego przedziału. Machała do kogoś w innym wagonie. Chwycił ją za rękę.

– Annette...

Roześmiała się i rzuciła mu resztę swoich kwiatów.

– Przywieź mi coś ładnego z Paryża!

Skinał głową, ale nie zdążył już nic powiedzieć, gdyż pociąg przyśpieszył, a na dworcu panował gwar głosów śpiewających pieśni i grzmiących instrumentów orkiestry dętej. Powiewająca na wietrze biała letnia sukienka dziewczyny była ostatnim wspomnieniem, jakie zabrał ze sobą...

Przez pierwsze miesiące Annette niewiele słyszała o Gerhardzie. Potem coraz częściej zaczęły przychodzić listy i kartki poczty polowej. Właściwie dziwiło ją to; nie mogła pojąć, dlaczego miałyby to się stać tak nagle. Ale jeszcze mniej rozumiała, dlaczego wszystkie te listy zajmują się wspomnieniami z ich wspólnego dzieciństwa, z biegiem miesięcy coraz bardziej ograniczając się do tego jednego. Spodziewała się dobitnych opisów śmiałych ataków i za każdym razem była na nowo zawiedziona, czytając jedynie o rzeczach, które już знаła i które ją nudziły.

Brygada Gerharda poniosła ogromne straty podczas wielkiej bitwy we Flandrii. W kilka dni później jego rodzice otrzymali jedynie krótką informację, że z dwustu żołnierzy nie jest jeszcze ranny tylko on i dwudziestu siedmiu innych. Z drugiej zaś strony Annette dostała długi list, w którym Gerhard niemal żarliwym tonem przywoływał wspomnienie pewnego majowego poranka oraz kwitnącej białej wiśni za krużgankiem katedry. Jego ojciec pokręcił głową, kiedy przeczytał ten list. Czuł, że powinien wyznawać wyższe ideały, i byłby szczęśliwy, gdyby jego syn okazał się trochę bardziej heroiczny. Annette wzruszyła ramionami i odłożyła na bok gęsto zapisane kartki listu – nie mogła sobie przypomnieć tamtego majowego poranka.

Tym większe było zdziwienie obydwójga, gdy wkrótce potem dowiedzieli się, iż Gerhard dowiódł tak wielkiej odwagi podczas walk we Flandrii, że został odznaczony za waleczność i otrzymał awans.

W jakiś czas potem przyjechał na urlop do domu, żyłasty, szczupły i opalony, zupełnie inny, niż Annette wyobrażała go sobie na podstawie jego listów. W przeciwieństwie do gadatliwie dumnego ojca wydawał się podwójnie poważny, niekiedy nawet nieobecny duchem i osobliwie roztargniony. Gdy po raz pierwszy

został z Annette sam na sam, po godzinie dziwnego zachowania, prawie bez słów, to nieporadnie wodząc oczyma dokoła, to zniechęca na nią spoglądając, wziął ją nagle za rękę i zapytał, czy nie mogliby się pobrać. I z pewnym zatwardziałym, choć cichym uporem obstawał przy swoim zamiarze, nawet kiedy padł zarzut, że są jeszcze za młodzi. On miał dziewiętnaście, a ona niespełna siedemnaście lat.

W pośpiesznych wojennych małżeństwach i zaręczynach nie było wtedy nic niezwykłego – tego rodzaju akty należały do powszechnego entuzjazmu. Po pierwszym chwilowym zaskoczeniu Annette prędko oswoiła się z tą myślą; doszła do wniosku, że byłoby fascynujące, gdyby jako pierwsza dziewczyna z klasy wydała się za męża, poza tym naprawdę lubiła tego męskiego z wyglądu młodego oficera, w którego przedzierzgał się marzycielski Gerhard z jej dzieciństwa, a coś więcej nie było chyba konieczne. Także jej rodzice, zamożni i dobroduszni, a w dodatku nastawieni patriotycznie, dali zgodę, a nawet byli zadowoleni: ślub miał dać pretekst do urzędzenia wielkiego przyjęcia.

Uroczystość odbyła się w południe. Po południu, podczas weselnego obiadu, ukazało się specjalne wydanie gazety, które donosiło o nowym wielkim zwycięstwie na froncie wschodnim. Ojciec Gerharda kazał przynieść wszystkie dostępne gazety i odczytywał towarzystwu na głos poszczególne relacje. Dziesięć tysięcy Rosjan wziętych do niewoli! Gości weselnych ogarnęło radosne upojenie. Wygłaszano mowy, śpiewano patriotyczne pieśni, a Gerhard w szarym mundurze wydawał się ucieleśnieniem ideałów, którymi wszyscy byli odurzeni.

Ksiądz uściskał mu dłoń, nauczyciel poklepał go po plecach, ojciec zachęcał, żeby nadal bił wroga, wykazując taką samą dążność do celu, po czym wszyscy obecni wystąpili naprzód, aby wypić z nim za „zwycięstwo, sławę i pomyślność w walce”. Po toastach Gerhard, który jeszcze bardziej spochmurniał i zamilkł, zerwał się nagle z krzesła, chwycił swój kieliszek i kiedy towarzystwo przy stołach ucichło w niemym oczekiwaniu, odstawił go tak gwałtownie, że ten rozprysł się na kawałki.

– Wy... – powiedział – wy... – powtórzył, wędrując ciemnymi, błyszczącymi oczyma od jednego do drugiego. – Co wy o tym wiecie? – I wyszedł.

Tego wieczoru i przez całą noc toczył z Annette niespokojne, gorączkowe rozmowy, jakby pragnął uchwycić coś, co, jak się obawiał, może mu się wymknąć; mówił o młodości, o celu, o życiu. Przez cały czas mówił tylko o niej, a mimo to często wydawało jej się, że wcale nie ją ma na myśli.

Następnego wieczoru miał wrócić na front. Przez cały dzień starał się przebywać tylko z Annette. Był jakby w gorączce. Nie chciał widzieć nikogo innego, tylko przechadzać się z nią po placach i ogrodach i być z nią na łąkach nad rzeką, aż do pory odjazdu. Wydawał jej się dziwny i właściwie trochę się go bała. Kiedy się żegnał, uściskał ją mocno i mówił szybko, jakając się z pośpiechu, jakby wiele rzeczy pozostało jeszcze nie wypowiedzianych i nie zrobionych. Następnie wskoczył do jadącego już pociągu.

W cztery tygodnie później zginął i Annette w wieku siedemnastu lat została wdową.

Wojna toczyła się dalej, z roku na rok coraz bardziej krwawa; w końcu w miasteczku nie było już prawie domu, gdzie nie noszono by żałoby, i los Annette, o którym często mówiono na początku, zbladł na tle boleśniejszych doświadczeń tych rodzin, w których zginęli ojcowie i synowie. A i ona sama przestała to z czasem odczuwać. Była zbyt młoda, a tych kilka dni, które spędzili razem, nie wystarczyło, aby traktowała Gerharda jak męża. Dla niej był jedynie przyjacielem z młodych lat, który zginął jak wielu innych.

W jej życiu dało się jednak zauważyć pewne zmiany: jakby odsunęła się od świata. Z dawnymi przyjaciółkami nic już jej właściwie nie łączyło; na to nie była już dość dziewczęca. Z drugiej zaś strony czuła, że tak samo nie należy do dorosłych – na to była jeszcze zbyt dziewczęca. Tym sposobem nie wiedziała w końcu, jak się ma zachowywać. Zbyt wiele się zdarzyło i zbyt szybko minęło.

Jednak wydarzenia ostatnich lat wojennych nie pozostawiły jej czasu na refleksję. Od rana do wieczora pracowała na ochotnika w szpitalu jako sanitariuszka. Groźny wir czasów zataczał coraz szersze kręgi i wciągał każdego.

Potem nastąpiło zawieszenie broni, rewolucja, okres puczów, koszmar inflacji, a w końcu, kiedy wszystko minęło i Annette doszła do siebie, odkryła niemal ze zdziwieniem, że stała się kobietą dwudziestopięcioletnią, a jej życie nie wzbogaciło się o nic cennego. O Gerhardzie bowiem prawie już nie myślała.

Wkrótce potem umarli jej rodzice. Ich majątek skurczył się do tego stopnia, że Annette musiała być wdzięczna, iż otrzymała posadę pielęgniarki w pewnym północnoniemieckim mieście. Kilka miesięcy później poznała mężczyznę, który zaczął się do niej zalecać i chciał się z nią ożenić. Zrazu się wahała, ale z czasem go polubiła. Ustalono dzień ślubu.

Teraz naprawdę powinna być szczęśliwa, a mimo to nurtował ją niepokój. Coś w niej, nie wiedziała co, wzdragało się przed tym krokiem. Nieraz przyłapywała się na tym, że przebywa duchem gdzie indziej; bywała tak zamyślona, że nie słyszała, gdy ktoś do niej mówił. Jej myśli stawały się mgliste i unosiły w odległy świat posępnej, ponurej melancholii. Nocami budziła się z płaczem zupełnie bez powodu. A potem znów próbowała niepohamowaną czułością lub namiętą tęsknotą za uczuciem pokonać osobliwą barierę, która stopniowo przed nią powstawała.

Czasami, gdy była w swoim pokoju sama i patrzyła przez okno na nagie szare domy naprzeciwko, miała wrażenie, że ściany rozplywają się w przezroczysty opar, a za nimi otwierają się drzwi: pojawiały się zaułki i dachy szczytowe, letnie łąki i gorące, opuszczone ogrody – i wówczas zdejmowała ją nagła tęsknota za tym, żeby znowu być w domu; w końcu doszła do przekonania, iż tu leży źródło wszelkich jej kłopotów. To po prostu jedynie nostalgia; aby ją przewyciężyć, musiała tylko tam wrócić i zobaczyć wszystko

jeszcze raz.

Postanowiła wyjechać na kilka dni w rodzinne strony. Narzeczony towarzyszył jej w tej podróży.

Przybyli na miejsce wieczorem. Annette była bardzo podniecona. Kiedy tylko rozpakowali w hotelu swoje rzeczy, uwolniła się od narzeczonego i wyszła sama na miasto.

Stała przed domem, który był jej domem rodzinnym. Pobiegła do ogrodu. Jej podniecenie rosło. Księżyc świecił, dachy domów błyszcząły. Powietrze przesycił zapach wiosny; miała uczucie, że coś ją czeka, jakiś początek – to wznosiło się już na horyzoncie, napływało, chciało być przypominane, chciało otrzymać imię.

Chodziła po łąkach. Trawa była ciężka od rosy. Wiśniowe drzewa lśniły jak świeży śnieg. I wtedy nagle to się pojawiło: jakiś głos, odległy, zapomniany, należący do przeszłości głos, odległa, zapomniana, należąca do przeszłości twarz; w środku coś pękło, coś pełnego napięcia, coś nieskończenie dalekiego, niewyobrażalnie zmęczonego, ciężkiego, smutnego – coś, o czym przestała już myśleć; a teraz to się podniosło, potężniejsze niż kiedykolwiek w życiu; nagle bardzo kochany, stracony, a przecież nigdy nie należący do niej – Gerhard Jäger.

Wróciła do hotelu, chwiejąc się na nogach, oszołomiona. Popatrzyła na narzeczonego – jakże był jej obcy! Potrafiłaby go znienawidzić, kiedy tak stał przed nią, żywy i zdrowy. Z trudem zdołała wypowiedzieć kilka niezbędnych słów. Chciał z nią rozmawiać; nalegał, żeby rzecz przemyślała raz jeszcze; obiecywał, że na nią poczeka. Przytakiwała wszystkiemu, co mówił, byle ją tylko zostawił.

Tych kilka dni, które przeżyła z Gerhardem, stało się teraz dla Annette udręką i tajemnicą. Wyciągnęła jego listy i czytała, dopóki oczy nie osłępiły od łez. Odszukała kilku spośród jego kolegów i niestrudzenie wypytywała ich o wszystko, co o nim wiedzieli. Jeden wiele z nim rozmawiał, nawet jeszcze w dzień jego śmierci. I oto Annette usłyszała po raz pierwszy, czym właściwie była wojna; po raz pierwszy zrozumiała, o czym Gerhard mówił w nocy poprzedzającej powrót na front; po raz pierwszy pojęła, co tak gorąco pragnął znaleźć u niej – miejsce odpoczynku, port, małe ognisko miłości pośród takiej masy nienawiści; iskierkę ludzkich uczuć pośród powszechnego zniszczenia; ciepło, zaufanie, grunt, na którym mógłby stanąć; ziemię, ojczyznę, pomost, po którym mógłby wrócić.

Jej sercem zawładnął żal – ale i miłość. Ona, dla której to wszystko było tylko drobnym aktem próżności, lekkomyślną skłonnością do rzeczy niezwykłych, małą przyjaźnią i odrobiną dziewczęcej zmysłowości; ona, która tak prędko zapomniała, która ledwo jeszcze pamiętała, zaczęła nagle kochać – kochać cień.

Wycofała się ze wszystkiego. Znajomi próbowali ją przekonywać, pomóc jej,

żeby się odnalazła. Wszystkie te zabiegi na nic się nie zdały. Gdyby żyła z istotą ludzką, może dałoby się ją od tego uwolnić; lecz ona żyła ze wspomnieniem.

Dziwaczała coraz bardziej. Często, kiedy sama była w pokoju, mówiła głośno do siebie. Bardzo szybko straciła posadę w szpitalu. Później wstąpiła do małej sekty, która urządzała seanse spirytystyczne. Raz wydawało jej się, że podchodzi do niej Gerhard. Tak mijały lata... Pewnego dnia nie było jej już... Ostatnią rzeczą, jaką widziała, był ciemny krzyż ramy okiennej na tle zachodzącego słońca.

OSOBLIWE LOSY JOHANNA BARTOKA

Johann Bartok, blacharz i instalator, był pięć miesięcy po ślubie, kiedy wybuchła wojna. Natychmiast został powołany do wojska i wysłany do austriackiego garnizonu przy granicy. W przeddzień wyjazdu zajęty był porządkowaniem swoich spraw i przekazywaniem małego warsztatu żonie i czeladnikowi. Udało mu się nawet jeszcze dostać dwa zlecenia. Zeszło mu nad tym wprawdzie pół dnia, lecz z drugiej strony miał tę satysfakcję, że teraz przynajmniej do Bożego Narodzenia wszystko powinno iść jak należy. Gdy nastał wieczór, włożył swój najlepszy garnitur i udał się z żoną do fotografa. Dotychczas nie mogli się zdecydować na zrobienie sobie zdjęcia – musieli ciężko pracować, żeby się utrzymać, więc tego rodzaju wydatek wydawał im się pewnie zbyt kosztowny. Teraz jednak to było coś innego. Następnego ranka fotograf przyniósł zdjęcia do pociągu. Ponieważ wypadły trochę większe, niż się spodziewał, Bartok wziął nóż i próbował wyciąć fragment z twarzami ich obojga, który zmieściłby się do koperty zegarka, ale się nie udało; odkroił więc własną podobiznę i zatrzymał tylko zdjęcie żony. Teraz się zmieściło.

Pułk Bartoka przesunięto w krótkim czasie na front. Zimą 1914 roku pułk ruszył do ataku i uwikłał się w zażarty nocny bój, podczas którego wróg wykonał manewr oskrzydający i odciął trzy kompanie. Okrażeni żołnierze bronili się przez cały dzień; kiedy zabrakło amunicji, musieli się poddać. Należał do nich także Bartok. Jeńcy spędzili kilka miesięcy w obozie zbiorczym. Bartok siedział po całych dniach w baraku i oddawał się rozmyślaniom. Chętnie by się dowiedział, jak miewa się jego żona i czy udało jej się zdobyć nowe zlecenia, gdyż zakład musiał jej teraz dawać utrzymanie. Ale do nikogo z obozu nie przyszedł żaden list, i jedyną rzeczą, jaką mógł zrobić Bartok, było ślanie do domu listów z radami i adresami ludzi, którzy potrzebowali może nowej kraty żelaznej lub na przykład sphuczki klozetowej. Mniej więcej na początku kwietnia sformowano oddział składający się z 1800 ludzi i przetransportowano ich na wybrzeże. Był wśród nich Bartok i jego koledzy. Wsiedli na pokład parowca, krążyła plotka, że mają być przewiezieni do jakiegoś obozu w Azji Wschodniej.

W ciągu pierwszych kilku dni prawie wszyscy cierpieli na chorobę morską. Potem siedzieli beczynnienie, stłoczeni w dusznej ciemnej ładowni, i palili, dopóki mieli papierosy. Na morze można było przelotnie rzucić okiem jedynie przez kilka wąskich bulajów, więc po kolei wyglądali na zewnątrz. Woda była

niebieska i przejrzysta; czasami udało się zobaczyć białe skrzydła lub cień jakiejś dużej ryby.

Strażnicy zaczęli z wolna zaniedbywać swoje obowiązki. Jeńcy zauważyli to i ukuli plan zaskoczenia załogi i opanowania statku. Kilku z nich wyśledziło, w których pomieszczeniach przechowywane jest broń, inni uzbroili się potajemnie w szydła do szycia żagli, liny oraz noże.

Zaatakowali pewnej sztormowej nocy. Trzech podoficerów ogromnej postury stanęło na czele oddziału, do którego należał Bartok. Na pozór niewinnie podeszli powoli do schodów na pokład kajutowy, po czym rzucili się nagle niczym koty na zdumionych strażników, którzy w ogóle nie stawiali oporu. W kilka chwil później wyłamali luki i znaleźli się na pokładzie.

Część załogi zaskoczono we śnie, reszta musiała się poddać. Tylko kapitan i dwóch oficerów zabarykadowali się i rozpoczęli ogień. Od strzałów rewolwerowych zginęło trzech jeńców. Gdy jednak ustawiono karabin maszynowy, ciężko ranny kapitan się poddał.

Jeńcy zamierzali przebić się do jakiegoś neutralnego portu, byli bowiem dobrze zaopatrzeni w broń i żywność, a niektórzy z nich pływali już wcześniej po morzach. Dowództwo objął były oficer marynarki. Codziennie ćwiczone, Bartok szkolony był na karabinie maszynowym. Dowodzący statkiem oficer szacował, że będą musieli płynąć cały tydzień, by dotrzeć do najbliższego portu. Ale zdarzyło się inaczej. Czwartego dnia pojawił się bowiem na horyzoncie niski szary kadłub krążownika. Dymiąc z kominów, kierował się wprost na parowiec z jeńcami.

Próbowali uciec, lecz nie byli dość szybcy. Wtedy przygotowali wszystko do obrony w nadziei, że wytrzymają do zapadnięcia nocy, a potem wymkną się pod osłoną mgły i ciemności.

Nie udało się. Mieli wprawdzie karabiny, lecz kule nie były w stanie dosięgnąć krążownika. Po godzinie wielu z nich nie żyło, musieli wywiesić białą flagę. Oficer marynarki się zastrzelił, gdy podpłynęła do nich pierwsza łódź z okrętu wojennego. Kapitan krążownika nie traktował żołnierzy jak jeńców, tylko jak buntowników, i dlatego umieszczono ich w kolonii karnej na pewnej wyspie. Kilku prowodyrów rozstrzelano, jednym z nich był Michael Horvath, przyjaciel Bartoka. Przed śmiercią przekazał Bartokowi swój zegarek i portfel.

– Powodzenia, Johann – powiedział, ściskając jego dłoń na pożegnanie – obojętne, czy umrę w taki czy inny sposób: ostatecznie wyjdzie przecież na to samo... Miejmy nadzieję, że ty się uratujesz! Jeśli moja matka będzie jeszcze żyła, oddaj jej wtedy te rzeczy, dobrze?

Pozostałych jeńców uznano za winnych buntu. Co piąty został skazany na dożywocie, a reszta na piętnaście lat przymusowych robót. Podczas odliczania Bartok miał szczęście: dostał tylko piętnaście lat.

„Piętnaście lat”, pomyślał wieczorem pierwszego dnia, gdy z obolałymi

członkami kładł się w kącie rozgrzanego od upału baraku z blachy falistej. „Teraz mam trzydzieści dwa lata. Za piętnaście lat będę miał czterdzieści siedem” Wyjął z koperty zegarka zdjęcie żony i długo na nie patrzył. W końcu pokręcił głową i spróbował zasnąć.

Praca była ciężka, a klimat zabójczy. W pierwszym roku zmarło stu osiemdziesięciu ludzi. W drugim stu dziesięciu. W czwartym roku Bartok zaprzyjaźnił się z Wilczkiem, chłopem z Banatu. W szóstym go pochował. W siódmym stracił przednie zęby. W ósmym dowiedział się, że wojna dawno się skończyła. W dziewiątym roku osiwiął. W dziesiątym roku uciekło szesnastu ludzi, ale zostali schwytani. W dwunastym roku żaden nie mówił już o domu rodzinnym. Świat skurczył się do wymiarów wyspy, życie ograniczało się do znoej pracy i głębokiego snu, tęsknota wygasła, wspomnienie się zatarło – nad bezsensownymi resztkami istot, które co wieczór kładły się bez słowa, by umrzeć, a mimo to podnosiły się znowu następnego ranka, stali tylko strażnicy, wielcy i władczy, oraz gorączka i zwątpienie.

Kiedy dozorca powiedział im, że są wolni, w pierwszej chwili nie mogli uwierzyć. Do ostatniego dnia liczyli się z tym, że przyjdzie i zakomunikuje im, że muszą zostać dodatkowo na pięć lat – tak niewielkie mieli pojęcie o tym, co to znaczy być wolnym. Spakowali swe nieliczne manatki i pomaszerowali w dół do portu. Bartok obejrzał się po raz ostatni za siebie. Przed barakami zobaczył żyjących jeszcze kolegów spośród tych, którzy otrzymali dożywocie i musieli zostać. Teraz patrzyli za nimi w milczeniu. Przed wymarszem Bartok zapytał dwóch z nich, czy nie przysłać im czegoś z domu.

– Zamknij pysk! – odpowiedział jeden i odszedł. Drugi w ogóle już nic nie rozumiał. Ale ten pierwszy biegł za nimi parę kroków. – My też wrócimy! – krzychał. Z pozostałych żaden się nie ruszył. Stali tylko i się gapili.

W drodze na statek Bartok wyciągnął zegarek. W kopercie było jeszcze zdjęcie jego żony – zupełnie wyblakłe, nie dało się już rozpoznać żadnych szczegółów. Wyjął je i spróbował przenieść się myślą w przeszłość. Nie robił tego od dawna i zaraz zaczęło mu się mącić w głowie, tak bardzo odwykł już od tego.

Po zejściu na stały ląd wyruszył w dalszą podróż z kilkoma kolegami, którzy pochodzili z tej samej okolicy. Stwierdzili, że ich strony rodzinne należą teraz do kraju, który przedtem walczył przeciwko nim. Odstąpiono mu ów region na mocy traktatu pokojowego. Nie rozumieli tego, ale na razie przyjęli ten fakt do wiadomości. Cały świat zmienił się bowiem dla nich w ciągu tych piętnastu lat. Widzieli domy, ulice, auta, ludzi, słyszeli swojskie nazwy, a mimo to wszystko było obce. Miasta rozrosły się, ruch uliczny zatrząwał ich i trudno im było pojąć, co się wokół dzieje. Wszystko odbywało się zbyt szybko. A oni byli przyzwyczajeni do bardzo wolnego myślenia.

W końcu Bartok dotarł do swego miasta rodzinnego. Musiał iść powoli i podierać się jakimś kijem, bo z podniecenia okropnie drżały mu kolana.

Odnalazł dom, w którym mieszkał. Nadal mieścił się w nim warsztat, lecz nikt nie wiedział nic o jego żonie. W ostatnich dziesięciu latach dzierżawa często przechodziła z rąk do rąk. Jego żona musiała się wyprowadzić dawno temu. Bartok szukał wszędzie jakiegoś śladu. W końcu dowiedział się, że żona przypuszczalnie mieszka teraz na zachodzie w pewnym większym mieście.

Wyruszył więc do miasta, którego nazwę mu podano. Stawał potem w wielu drzwiach i w wielu korytarzach i wypytywał o nią. Kiedy nikt nie potrafił udzielić mu informacji i zniechęcony utracił nadzieję, a nawet zaczął już myśleć o wyjeździe, nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Odwrócił się na pięcie i podał urzędnikowi nazwisko swego dawnego czeladnika. Urzędnik zajrzał jeszcze raz do księgi i je odnalazł. Kobieta wyszła za mąż przed siedmioma laty. Bartok skinął głową. Teraz było dla niego jasne, dlaczego nie przychodziły żadne listy, dlaczego nigdy nie miał wiadomości z domu. Po prostu uznana, że nie żyje.

Powoli wszedł po schodach na górę i zadzwonił. Drzwi otworzyło pięcioletnie dziecko. Potem podeszła jego żona. Patrzył na nią i nie mając pewności, czy to ona, bał się podjąć rozmowę.

– Jestem Johann – powiedział w końcu.

– Johann! – Cofnęła się o krok i opadła ciężko na krzesło. – Matko Przenajświętsza! – Zaczęła płakać. – Przecież wtedy dostaliśmy zawiadomienie – potwierdzenie – że nie żyjesz!

Wysunęła jakąś szufladę i poczęła w niej grzebać drżącymi rękami, jakby jej życie zależało od tego, czy znajdzie owo zawiadomienie.

– Tak, tak, daj spokój... – Bartok omiółł kuchnię nieobecny wzrokiem. – To twoje dziecko? – zapytał. Kobieta przytaknęła. – Masz więcej?

– Dwoje...

– Aha, dwoje... – powtórzył odruchowo. Usiadł na sofie i patrzył tępo przed siebie.

– Co teraz będzie, Johann? – spytała przez łzy kobieta.

Bartok podniósł wzrok. Przed nim, na niskiej komodzie, stała mała fotografia w pozłacanych ramkach. Fotografia, którą sobie zrobili, zanim został żołnierzem. Wziął ją teraz do ręki i długo jej się przyglądał. Potem spojrzał znowu na żonę. Przejechał ręką po czole.

– Pięć miesięcy, prawda?

– Tak, Johann...

– A teraz?

– Siedem lat – odpowiedziała miękko. Pokiwał głową i wstał. Kobieta objęła go. – Chyba nie odejdiesz znowu?

– Odejdę... – rzekł, zabierając czapkę.

– Zostań przynajmniej na kolację – poprosiła. – Alfred wróci...

Pokręcił głową.

– Nie, nie – tak będzie lepiej. Wtedy musiałabyś jakoś uporządkować całą sprawę. Tak będzie na pewno dobrze.

Postał jeszcze chwilę przed domem. Potem poszedł na dworzec i wrócił do rodzinnego miasta. Zamierzał poszukać pracy i zacząć wszystko od początku.

ŚNIŁO MI SIĘ W NOCY...

O wy, grudniowe noce roku 1917! Wy, lazaretowe noce pełne jęków i urywanych krzyków! Na co mi wspomnienie o was – dzisiaj, w czasach, które znów wypełnia drżeniem żądza wojenna i nieprzejednana wrogość! Czy wszystko, co powstało wtedy z błota i zgrozy, nie zostało już na powrót zapomniane, czy nie pograżyły się na powrót w niepamięci owe lata, kiedy ziemia bardziej była nasiąknięta krwią niż deszczem?

Wy, noce, w które udręka była dla wszystkich ciemnym towarzyszem, a śmierć nostalgią i beznadzieją! Wy, noce, w które słowa „pokój na ziemi” migwały na niebie niczym wina i straszliwa żałość! Nigdy nie wolno o was zapomnieć, nie wolno puścić mimo uszu waszej przestrogi w tych dniach zamętu, nigdy...

Budynek szpitalny z czerwonego piaskowca był zasypany śniegiem, wiatr potrzasał okiennicami, blade światło lamp żarzyło się w korytarzach, w rurach centralnego ogrzewania strzelało, a obok mnie w pokoju, z wieloma poduszkami podłożonymi pod ranione plecy, umierał od tygodni podoficer Gerhart Brockmann.

Wcześniej, przed wojną, był nauczycielem w małej wiosce na wrzosowiskach. Kiedy jeszcze mógł mówić, często o niej opowiadał. Leżeliśmy wtedy w izbie we czterech, a Brockmann wierzył jeszcze, że za kilka miesięcy zostanie wyleczony i zwolniony z wojska. Wtedy chciał wrócić do niskiej szkoły obok starego wiejskiego cmentarza, gdzie brzęczą pszczoły, a motyle jak orderzy siedzą na nagrobkach – do dróg obsadzonych brzozaami w jasne letnie zmierzchy – do swojej izby nauczycielskiej z pianinem i wieloma książkami na regałach – do tego całego spokojnego świata z dawnych czasów.

– Słuchajcie, a potem – mówił, podnosząc się na łokciach, szare rękawy koszuli zsunęły mu się przy tym po chudych ramionach – lekcja śpiewu! Nie ma nic piękniejszego! Mieliśmy taką pieśń... potrafiliśmy ją śpiewać nawet na trzy głosy – możecie mi wierzyć albo nie, jedno-klasowa szkoła powszechna, ale na trzy głosy jak w towarzystwie śpiewaczym – nie wiem, czyją znacie – *Śniło mi się w nocy* – muszę ją znowu usłyszeć...

Trudno było wtedy wytrzymać spojrzenie jego płonących, przenikliwych oczu. Ta pieśń musiała dlań znaczyć bardzo wiele, gdyż często do niej wracał – może śpiewała ją kiedyś dziewczyna, którą kochał. Także później, gdy zmarli Petersen i Fischer, wciąż zaczynał o niej mówić, a kiedy szybko wtrącałem: „Tak,

Gerhart, znam ją, nawet wszystkie zwrotki”, czekał, aż przyjdzie siostra oddziałowa, żeby jej o tym powiedzieć. Czasami też próbował jej zaśpiewać tę melodię swym ochryplym, łamiącym się głosem. Wydawało się wtedy, że to już nie głos – że to tylko ostatnie myśli, brzęczące jak zmęczone muchy wewnątrz obciążonej skórą czaszki. Gerhart Brockmann miał trzydzieści lat, kulę w płucu i gruźlicę płuc – a wyglądał jak osiemdziesięcioletek...

O wy, grudniowe noce roku 1917! W październiku, kiedy opadały liście, zaczęło się umieranie, było nas czterech, a teraz zostaliśmy tylko we dwóch: Brockmann i ja. Śnieg pukał do okien jak niewidzialny puchacz, drzwi bez przerwy otwierały się i zamykały, śmierć krażyła ukradkiem wokół budynku, gorączka wypełzała z kątów, a sen nie chciał nadejść. A gdy w końcu nadchodził, z ciężkimi majakami sennymi, podrywałem się nagle zbudzony cienkim, z trudem dobywanym głosem z kąta sali, załamującym się ze zgrozy szeptem:

– Światła... światła... na miłość boską...

Światło nocnej lampki odbijało się wtedy w oczach Brockmanna, które połyskiwały ciemnym, niesamowitym blaskiem pośród pustej twarzy i powoli badawczo wędrowały po pokoju, jakby szukały kogoś. Brockmann nigdy nie chciał zasnąć, jakby wierzył, że wówczas nie może umrzeć.

W końcu nadeszło Boże Narodzenie; ranek był szary i pochmurny. W Wigilię pielęgniarki przygotowały gwiazdkę w dużej sali lazaretu, choinkę przystrojono świecami, kulami i lametą, każdy z nas dostał w prezencie jabłko, ciastka, papierosy, a nawet po parze skarpet. W południe miałem odwiedzin. Ludwig Breyer, kolega z wojska. Straciliśmy się z oczu we Flandrii podczas ofensywy i słyszałem nawet, że zginął. A tymczasem stanął przede mną zdrowy, w drodze do domu na dwutygodniowy urlop. Mimo to jakoś nie było miejsca na prawdziwą radość – gdyż od Wigilii wszyscy wiedzieli: Brockmann dogorywa.

Kancelaria daremnie próbowała odszukać jego krewnych i zatelegrafować do nich, żeby przynajmniej ktoś był przy nim w ostatnich dniach jego życia. Nie udało się. Rodzice nie żyli, rodzeństwa nie miał, a na inne pytania prawie nie udzielał już odpowiedzi. Rzeźił przez cały dzień.

Ludwig Breyer został u mnie do zmroku. Dłużej nie mógł. Też chciał do domu, do matki.

– Nie gniewaj się – powiedział – nie przywykłem do tego. Podczas ataku to co innego, wszystko dzieje się szybko i nie patrzy się tak na te sprawy. A to tutaj rusza człowieka bardziej, niż gdyby cały pułk wyszedł bez osłony na kilkadziesiąt karabinów maszynowych.

Skinąłem głową, a potem patrzyłem za nim przez okno, dopóki nie zniknął mi z oczu. Wtedy zapaliłem światło, choć musiałem się liczyć z tym, że siostra zbeszta mnie podczas obchodu; światło należało bowiem oszczędzać, a

właściwie było jeszcze za wcześnie. Wprawdzie wolno mi było kuśtykać i mogłem pójść do innego pokoju, do lekko rannych, ale nie chciałem zostawiać Brockmanna samego. Nie chciałem też jednak siedzieć z nim sam po ciemku – zresztą i tak przez cały czas musiałem już myśleć o innych, którzy tu wcześniej umarli. Dlatego położyłem się na łóżku w ubraniu. Uznałem, że leżąc, łatwiej wytrzymać rzeźnię. Wtedy wszyscy są jakby bardziej równi.

Siostra oddziałowa przyszła tego dnia do pokoju wcześniej niż zwykle. Chciałem szybko zgasić światło, ale w ogóle nie zwracała na mnie uwagi, tylko podeszła do łóżka Brockmanna i pochyliła się nad nim. Przez chwilę nasłuchiwała, po czym wzruszyła ramionami. W otwartych drzwiach pojawiła się blada, szczupła twarz siostry instrumentariuszki.

Nie rozumiałem, co się dzieje. Przecież to niemożliwe, żeby chcieli jeszcze operować Gerharta! Szybko podniosłem się na łóżku. Instrumentariuszka uśmiechnęła się do mnie. To wzbudziło moją podejrzliwość, bo kiedy się uśmiechała, to potem działo się coś niebezpiecznego. Może zresztą chodziło jej o mnie i właśnie mnie chciała zabrać ponownie na rzeź.

Ale i ona podeszła do Brockmanna. Po chwili się odwróciła.

– Możemy spróbować... – powiedziała. Zdziwiony wstałem z łóżka. W półmroku korytarza przed otwartymi drzwiami do naszego pokoju tłoczyła się gromadka dzieci. Towarzyszyła im młoda dziewczyna.

– To nauczycielka – szepnęła do mnie pielęgniarka. – Od tygodnia leży na oddziale dla kobiet. Opowiedziałyśmy jej o Brockmannie. I na dzisiaj zamówiła swoją klasę. Żeby miał jeszcze radosne święta. Miejmy nadzieję, że będzie słyszał...

– Co? – zapytałem; aż mnie zatkało, gdy spróbowałem się domyślić...

W tym momencie dzieci zaczęły już śpiewać czystymi głosikami:

– Śniło mi się w nocy – a ciężki to był sen... Poczułem się, jakbym dostał cios bagnetem. Po prostu ścięło mnie z nóg. Że też o tym pomyślały! W słabo oświetlonym pomieszczeniu, w którym unosił się już słodkawy zapach śmierci, miałem wrażenie, jakby utracona ojczyzna wdarła się jeszcze raz aż tutaj, aby nas pozdrowić. Poczułem dławienie w gardle. Zaraz jednak wziąłem się w garść i popatrzyłem na Brockmanna, by sprawdzić, czy i on słyszy.

Przez pierwszą zwrotkę leżał bez ruchu. Siostra skinęła na dzieci, które podeszły bliżej i stanęły w drzwiach. Zaczęły śpiewać drugą zwrotkę.

Dłonie Brockmanna jęły krążyć niczym myszy po kołdrze w różnych kierunkach. Po chwili otworzyły się i leżały płasko, jakby się poddały. Myślałem już, że to koniec, gdy wtem otworzył oczy, a były one łagodne i duże i miały nieopisany wyraz. Twarz przypominała wulkaniczny krajobraz, nieruchoma, wyniszczona, szara – ale oczy były piękniejsze od oczu dziewczyny, która śpiewała razem z dziećmi. Gościła w nich już radość, która nie znalazła jeszcze dostępu do twarzy.

Pieśń dobiegła końca. Brockmann się nie ruszał. Leżał zupełnie spokojnie. Nauczycielka skinęła na dzieci, które zaczęły śpiewać od nowa. Wówczas Gerhart odwrócił głowę, jakby nasłuchiwał, a po jego twarzy przemknęło coś na kształt niepewnego, słabego uśmiechu. Poruszył wargami. Pochyliłem się nad nim. W pierwszej chwili nie mogłem go zrozumieć, dlatego podsunąłem mu poduszki trochę wyżej.

– Trzy głosy – szepnął – na trzy głosy.

Potem popatrzył w milczeniu na dziewczynę. Dziewczyna była bardzo młoda, nie mieściło mi się w głowie, że może już być nauczycielką. Ja sam też miałem dopiero dziewiętnaście lat, lecz w porównaniu z nią byłem starcem. Ona wydawała się jeszcze dzieckiem i na pewno nie wiedziała, co się tutaj dzieje. Prawdopodobnie chciała tylko spełnić dobry uczynek wobec chorego – pewnie jednak nie pomyślała o tym, że ten człowiek, dla którego kończył się świat, mógł jeszcze raz zobaczyć swoją młodość.

O dziewiątej wieczorem Gerhart zrobił się niespokojny. O wpół do dziesiątej widać było, że organizm rzuca do walki ostatnie rezerwy. O dziesiątej pracował jak lokomotywa, pot spływał mu po twarzy, dygotał i dyszał, grało mu w płucach, a wykrzywione usta próbowały chwytać powietrze. Dusił się powoli – ale nie stracił przytomności.

– Siostró, niechże pani mu da dość morfiny, żeby się dłużej nie męczył – poprosiłem.

Pokręciła głową.

– To wbrew zasadom wiary – odparła.

– Więc proszę dać mnie – powiedziałem – to przecież tylko akt miłosierdzia! Proszę tu postawić. Zapomni pani wziąć, wychodząc.

Popatrzyła na mnie.

– Śmierć to sprawa Boga – oświadczyła i dodała cicho: – Gdyby tak nie było... jak można by tu wytrzymać...

O wpół do jedenastej było już tak źle, że nie mogłem na to patrzeć. Musiałem coś zrobić i nagle wiedziałem co.

Nie pamiętam już, jak wyszedłem. Ani jak się dowiedziałem, w którym pokoju leży dziewczyna. Na szczęście nikt mnie po drodze nie widział. Nie pamiętam też, co powiedziałem do niej przy drzwiach – ale dziewczyna musiała mnie zrozumieć, gdyż przyszła ze mną, nie pytając wiele.

Usiadła przy łóżku Brockmanna i ujęła jego wilgotne dłonie. Widziałem, jak się wzdrygnęła, ale trzymała się dzielnie. I teraz, gdy rzeczywiście była przy nim, stało się coś, na co już nie liczyłem: Gerhart się uspokoił. Wprawdzie nadal rzeził, ale nie umierał już w takich męczarniach.

Gruba siostra z nocnego dyżuru przyszła o dwunastej. Była zresztą jedyną pielęgniarką, której nikt nie lubił. Stała jak wryta na widok dziewczyny. Próbowałem jej wszystko wyjaśnić, ale tylko pokręciła głową. Szpital był

katolicki i takich rzeczy przestrzegano bardzo surowo. Dla niej było na porządku dziennym, że ktoś umiera – o wiele bardziej niezwykła była dla niej obecność dziewczyny na naszym oddziale.

– Ta panienka nie może tutaj zostać – oświadczyła i popatrzyła na mnie.

– Ale... – odparłem, wskazując na łóżko. Ledwo spojrzała w tamtą stronę.

– Przecież jest spokojny – oznajmiła zniecierpliwiona. – Ta panienka musi wyjść! Natychmiast! Przecież to nie jest jego krewna.

Dziewczyna zarumieniła się. Uwolniła ręce z uścisku Gerharta i chciała się podnieść. Ale wtedy z jego ust wydobył się bulgoczący dźwięk, jego twarz wykrzywiła się w najwyższym strachu i, jak mi się potem wydawało, zawołał „Anna”.

– Proszę zostać – powiedziałem, nie panując nad sobą, i stanąłem między dziewczyną a pielęgniarką.

Było mi obojętne, co się stanie.

Siostra aż zadygotała z oburzenia. Zwróciła się bezpośrednio do dziewczyny.

– Panienko, proszę opuścić pokój! Sama zostanie przy chorym.

– Nie ma takiej potrzeby – oświadczyłem brutalnie – wystarczająco często złościł się wcześniej na panią.

W jednej chwili znalazła się przy drzwiach.

– W takim razie muszę o tym zameldować! Natychmiast idę do pana dyrektora!

– Niech pani idzie do samego diabła, stara nocna sowa! – rzuciłem za nią.

Z napięciem, w podnieceniu czekałem na to, co się stanie. Byłem zdecydowany nie wpuszczać nikogo. To była wyłącznie sprawa między Gerhartem a mną. Nie obchodziła nikogo więcej.

Nikt jednak nie przyszedł.

Gerhart zmarł rano drugiego dnia świąt. Umarł lekko, a na koniec łagodnie pogrążył się w wiecznym śnie. Dziewczyna została przy nim do samego końca. Potem szliśmy w milczeniu przez wypełniony bladym śnieżnym światłem korytarz. Teraz, gdy było już po wszystkim, miałem wyrzuty sumienia z powodu zajścia z pielęgniarką. W takich sprawach szpital nie uznawał żartów. Mnie było wszystko jedno, ale niewykluczone, że dziewczyna będzie musiała opuścić szpital.

– Mam nadzieję, że nie będzie pani miała zbyt wielkich kłopotów – powiedziałem przygnębiony.

Drgnęła i popatrzyła przed siebie.

– To przecież obojętne – w porównaniu z tym... Spojrzałem na nią. Jej twarz się zmieniła. Wieczorem, kiedy śpiewała ze swoją klasą, była to jeszcze twarz dziewczyny – teraz była to poważna, skupiona twarz człowieka, które wiele wie i zna cierpienie.

Ciągle wracałem myślą do tego, kiedy szedłem potem sam korytarzem i było

mi dziwnie na duszy: gdy dzwony za oknem zaczęły dzwonić na poranną mszę, po raz pierwszy, od kiedy byłem żołnierzem, miałem poczucie spokoju, czułem, że coś się dokonało i że to było dobre, wiedziałem też znowu, że poza wojną i zniszczeniem jest jeszcze coś i że to coś wróci. Spokojny i opanowany znalazłem się z powrotem w swoim pokoju, który wypełniało szare i złociste światło poranka. W swoim łóżku nie leżał już przypadkowy żołnierz Gerhart Brockmann. Leżał tam wieczny towarzysz, którego śmierć nie budziła już strachu – tylko była testamentem i obietnicą. Spokojnie i bezpiecznie położyłem się obok niego.

O wy, grudniowe noce roku 1917! Wy, noce udręki i zgrozy! W waszej niepojętej nędzy zbudziła się nadzieja i woła miłości bliźniego! Nigdy nie wolno o was zapomnieć w tych dniach zamętu, nie wolno puścić mimo uszu waszej przestrogi, nigdy!

W DRODZE

Po czterech dniach, kiedy żywiłem się tylko zielonymi śliwkami, zemdlałem. Mój żołądek przypominał rozżarzone żelazo, a szosa przed moimi oczami podnosiła się i opadała. Wiedziałem, że jest jasny dzień i z nieba praży słońce, ale wszystko było szare jak popiół, a kolana miałem tak miękkie, jakbym brodził przez bagna. Zatoczyłem się na poboczne szosy i zrezygnowałem. Położyłem się pod sosną, rozpiąłem koszulę i poczułem, jak wpadam w czarną otchłań. Myślałem, że to już koniec.

Kiedy doszedłem do siebie, był wieczór. Przy mnie stał jakiś wieśniak i mną potrząsał. Poczulem na twarzy coś mokrego. Zlizalem językiem z warg kilka kropel. Miały palący smak. To była wódka. Przystawił mi butelkę do ust. Podniosłem się nieco i pociągnąłem łyk, lecz potem pokręciłem głową – nie mogłem więcej wypić. Już ten łyk uderzył mi do głowy.

Wieśniak wracał do wioski, w której mieszkał. Jego koń, stojący przy wozie krytym plandeką na skraju drogi, parskał i uderzał kopytami w ziemię. Między kołami huśtała się latarnia. Żółty blask latarni w półmroku, ciepły zapach konia, wysoka ciemna postać chłopca – wszystko to przypominało dom i czyniło mnie słabym. Zagryzłem wargi i podniosłem się z ziemi.

Wieśniak zapytał, co mi się stało. Odpowiedziałem, że jestem bezrobotny i przed tygodniem, gdy byłem w drodze, ktoś ukradł mi ostatnie pieniądze. Wziął z wozu dwa surowe jaja, rozbił je, dolał trochę wódki i podał mi tę miksturę. Wypiłem powoli. Potem zjadłem trochę chleba, który wyciągnął z kieszeni.

Chciał, żebym z nim jechał. Zapytałem, czy może mi dać pracę. Odparł, że nie. A co potrafię robić? Wszystko, czego nie trzeba się długo uczyć, odpowiedziałem. Pomyślał chwilę, po czym rzekł, że w pobliżu pracują jacyś ludzie na kolei. Słyszał, że brygadzysta chce zatrudnić jeszcze paru mężczyzn – ale może ta robota będzie dla mnie za ciężka. Powiedziałem, że jak trochę odpocznę, na pewno dam radę. Spróbuję następnego dnia; może mnie zostawić, gdzie jestem. Wyjaśnił mi, jak mam iść. Było niedaleko, tylko trzy mile. Wieśniak położył jeszcze obok mnie kilka jaj, cały bochenek chleba i kielbasę. Nie miałem nic, co mógłbym mu dać w zamian – z wyjątkiem małego scyzoryka. Nie chciał przyjąć, ale w końcu wziął – może zrozumiał, dlaczego mi na tym zależało. Kiedy odjeżdżał, dołożył mi jeszcze starą końską derkę.

Ukryłem jaja pod mchem. Chleb i kielbasę zostawiłem przy sobie pod derką. W nocy budziłem się kilka razy i obmacywałem miejsce obok siebie, żeby

sprawdzić, czy nie zniknęły. Czulem też, jak szorstki brzeg derki drapie mnie w kark, i wdychałem koński zapach. Potem nie było już ze mną tak źle.

Gdy tylko zrobiło się jasno, zawlokłem się do lasu, bo przy drodze wydawało mi się niebezpiecznie. Bałem się o swoje skarby. Znalazłem małą polanę, przez którą płynął strumyk. Tam zostałem.

Znowu dręczył mnie głód – teraz mocniej niż w poprzednie dwa dni. Ale ostrożnie dzieliłem swoje zapasy. Nie mogłem ryzykować, że mój żołądek odmówi przyjęcia choćby kęsa: potrzebowałem każdej okruszyny, żeby zebrać siły do pracy. Pierwszego dnia zjadłem bardzo mało i nie wychodziłem z cienia. Drugiego dnia czulem się dobrze; wykapałem się i poleżałem trochę na słońcu, przy czym uważałem, żeby nie wystawiać głowy. Choć bałem się, że zanim przyjdę, robotę może dostać ktoś inny, spędziłem na polanie także trzeci dzień i spałem, i jadłem, dopóki nie zostało nic do jedzenia.

Następnego ranka poszedłem na kolej. Brygadzista przyjrzał mi się z powątpiewaniem, ale miałem szczęście: dwóch robotników zgłosiło, że są chorzy, i mnie zatrudnił.

Było nas mniej więcej dwudziestu, mieszkaliśmy w barakach z blachy falistej blisko torów. Pierwszego ranka pracowałem jak szalony, bo widziałem, że brygadzista mnie obserwuje. W południe ledwo mogłem się ruszać i byłem do tego stopnia wyczerpany, że zjadłem niewiele. Ogarnęła mnie rozpacz, bo wiedziałem, że nie wytrzymam i padnę. Nie mogłem oczekiwać współczucia. Jeden z robotników, umiejętny ponury typ, którego inni nazywali Meck, już powziął do mnie antypatię i jawnie ją okazywał. Walił kilofem w ten sposób, że kamienie ciągle były mnie po piszczelach, i bez przerwy czynił uwagi o ludziach, którzy uważają się za zbyt dobrych do wykonywanej roboty – tacy mogą wynosić się do diabła.

Panowała parna duchota. Baraki z blachy falistej płonęły żarem, nasze nagie plecy lśniły od potu. Szyny błyszcząły w słońcu. Pracujący obok mnie robotnik był silny jak koń i śniady, z obrastającą usta dziką brodą i wąsami. Nic nie mówił, ale od czasu do czasu zerkał na mnie – zauważył, jak nieporadnie sobie poczynam. W końcu musiałem przerwać pracę. Ręce mi dygotały. Gorący pot na czole zrobił się nagle zimny. Wtedy mój sąsiad, mruczając coś pod nosem, odsunął mnie na bok, wziął mój kilof i pokazał mi, jak mam uderzać, żeby mniej się męczyć przy pracy, jakiej ode mnie wymagano.

– Dzięki – powiedziałem.

– Zamknij się – odparł, ale bez opryskliwości. Zabrałem się z powrotem do pracy. Dzień ciągnął się bez końca, ale wiedziałem już, że wytrzymam.

Tego wieczoru poszedłem do brygadzisty i dostałem dwie marki zaliczki. W kantynie kupiłem paczkę papierosów. Mężczyzna, który mi pomógł, siedział na pniaku przy barakach. Nazywał się Heinrich Thiess. Udałem, że znalazłem się w pobliżu przypadkiem, zapaliłem papierosa i jego też chciałem poczęstować.

– Nie, dziękuję – odpowiedział i splunął brązową śliną.

Wolał żuć. Wróciłem do brygadzysty i zamieniłem kilka papierosów na kostkę tytoniu do żucia. Godzinę później przyniosłem ją koledze.

– To cienko krojony tytoń, ciemny gatunek – powiedziałem – o smaku rumu.

– Znasz się na tym? – zapytał, biorąc ode mnie tytoń.

– Trochę – odparłem. – Ale sam nie lubię...

Tak, to wymaga trochę czasu – potwierdził Thiess.

Od tej pory jadalśmy razem kolację. Czasami udało mu się złowić rybę w rzece i piekliśmy ją potem nad ogniskiem na patyku. Dobrze się znał na takich sprawach. Pewnego razu upiekł jeża w glinie. Powiedział, że u Cyganów to wielki przysmak. Pieczony jeż miał dziwny smak, ale nie był zły. Bardziej by mi smakował, gdybym nie wiedział, że jem jeża. Kiedyś, gdy byłem żołnierzem, nie wiedząc o tym, jadłem kota. Smak miał wyborny.

Wieczorami, po kolacji, Heinrich opowiadał mi o swoich wędrówkach. Był wagabundą i nigdy nie pracował długo w jednym miejscu. To były cudowne noce. Ciepłe powietrze przesyciła silna woń kwiatów, które pachniały o wiele mocniej niż w dzień. W pobliżu naszych baraków znajdował się ogród należący do dróżnika kolejowego – jeden z tych wzruszająco małych chłopskich ogródków, jakie widuje się zawsze z okna pociągu. Ogród był pełen kwitnących róż. Ich zapach często docierał do nas. Wtedy Heinrich wstawał, chwycił w nozdrza ten zapach i zwalisty, ze spuszczoną głową, zaczynał nerwowo chodzić tam i z powrotem.

A potem spoglądał w stronę domu dróżnika. Chorowity kolejarz mieszkał tam z żoną, która lubiła śpiewać, gdy czasem rano myła okna. Była dużo młodsza od niego. Była zdrowa i ładna. Heinrich Thiess ważył dziewięćdziesiąt kilo i nie miał ani grama tłuszczu.

Ponury typ, Meck, nie chciał mnie zostawić w spokoju. Rzucił mi łopatek na nogę, która bolała mnie potem jeszcze przez dwa dni. Przewrócił moją menażkę. Klócił się ze mną, kiedy tylko mógł. Z początku Heinrich Thiess warknął na niego raz i drugi, ale Meck nie zamierzał przestać. Nienawidził mnie, mimo że starałem się schodzić mu z drogi.

– To nie ma sensu – oświadczył w końcu Heinrich – będziesz musiał stanąć z nim do walki. Mógłbym się bić za ciebie, ale nic by to nie dało. Wtedy miałbyś na karku całą brygadę. Chodź ze mną.

Poszliśmy do lasu i tam Heinrich pokazał mi, co mam robić.

– Łeb ma twardy, wiem o tym – powiedział – ale jego brzuch jest jak masło. Musisz go bić po brzuchu, żeby stracił oddech.

W tamtym czasie w barakach robotnicy ciągle toczyli walki na pięści – albo między sobą, albo z młodymi wieśniakami z sąsiedztwa. Wielu z nas szalało za kobietami; co niedziela odbywała się jakaś walka. Heinrich uważnie obserwował Mecka.

– Pochyli się, żeby cię atakować od dołu – powiedział. – Musisz go kopnąć, a kiedy się wyprostuje, zaatakować.

Ćwiczyliśmy co wieczór.

– No, dawaj już, teraz uderz – zażądał Heinrich. – Ja wytrzymam.

Wskazał swoje mięśnie brzucha. Kiedy je napiął, były twarde jak stal.

Odczekałem jeszcze tydzień. A potem w niedzielę doszło do pojedynku. W barakach panowała napięta atmosfera. Meck wychodził z siebie. Dziewczyna, za którą się uganiał, odprawiła go z kwitkiem. Przez całe popołudnie szukał okazji do walki. Kiedy się zjawilem, zaczął wyladowywać się na mnie. Spodziewał się, że jak zwykle zachowam spokój, ale tym razem było inaczej.

– Zamknij mordę, brudny psie! – powiedziałem do niego.

W baraku natychmiast zrobiło się cicho. Meck podszedł do mnie, trochę pochylony do przodu, ze ściągniętymi brwiami i lekko rozchyłonymi ustami. Widać było po nim, jak się cieszy, że wreszcie znalazł okazję, aby mnie załatwić.

– Co? – zapytał, wpatrując się we mnie posępnym wzrokiem. – Coś ty powiedział, matole?

Jednym spojrzeniem objąłem twarze w barakowym wieczornym półmroku. Jedne wyrażały obojętność, inne zaskoczenie – ale na większości z nich malowało się zimne, głodne oczekiwanie na to, że ktoś dostanie wycisk. Ale widziałem także twarz Heinricha Thiessa.

– Powiedziałem, że masz zamknąć swoją brudną mordę! – ryknąłem na Mecka.

To był pomysł Heinricha, żeby ryknąć na niego. I moje ryknięcie spełniło swój cel. Meck wahał się chwilę, zanim przyskoczył do mnie. Zadał mi cios w ramię, ja uderzyłem go w kark. Potem zszedł do przysiadu, żeby złapać mnie za kolana, dokładnie tak jak przepowiedział Heinrich. Stało się to tak szybko, że pewnie byłoby po mnie, gdybym nie wiedział o tym zawczasu. Odskokczyłem i kopnąłem go. Kiedy się wyprostował, chwiejąc się trochę na nogach, uderzyłem go w brzuch, nim zdążył opuścić ręce. Z trudem chwytając powietrze, upadł na ziemię i już na niej pozostał.

– Ma dosyć! – zawołał ktoś z kąta. – Dajcie mu spokój.

Spojrzałem w stronę Heinricha. Ten skinał mi głową. Widziałem krąg twarzy wokół siebie, widziałem stare sienniki, kilofy i łopaty przy ścianie; przez okno widziałem na łąkach ciepłe światło słoneczne późnego popołudnia, jakby to było po raz pierwszy – i nagle zauważyłem, że drzę. Teraz Meck mógłby mnie stłuc na kwaśne jabłko.

Ruszyłem w stronę Heinricha. Nagle rozległ się okrzyk:

– Uważaj!

Odskokczyłem w bok, w następnym momencie znalazł się przy mnie Heinrich: cios, coś zazgrzytało – Meck był na kolanach, w rękę trzymał nóż.

– Psiakrew! – zawołał mężczyzna, który mnie ostrzegł. – Nożownik – nie ujdzie mu to płazem.

Heinrich podszedł do klęczącego. Uderzył jak młotem kowalskim. To było straszne. Barak aż jęknął. Heinrich bił dalej. Meck pozostał na ziemi i leżał

jeszcze przez jakiś czas. Nie mogłem dłużej na to patrzeć.

– Daj mu spokój – powiedziałem do Heinricha. Popatrzył na mnie, jakbyśmy się nie znali, i pokręcił głową.

– Zapomnij o tym. To coś, czego nie rozumiesz. Żaden z pozostałych się nie ruszył.

Później dowiedziałem się, że to nie przeze mnie, tylko z powodu noża. Heinrich był najsilniejszym człowiekiem w barakach i miał dzięki temu pewne prawa i obowiązki, akceptowane przez wszystkich. Nie mógł mi pomóc, gdy chodziło o mój pojedynek jeden na jednego, tak samo nie mógł potem pozostawić bezkarnie ataku od tyłu z użyciem noża.

Nadszedł sierpień. Heinrich i ja nie nocowaliśmy już w dusznych barakach. Wynieśliśmy sienniki i spaliliśmy pod gołym niebem. To były niezapomniane noce. Szyny połyskiwały w świetle księżyca. Czasem przemknął pociąg z reflektorami i oświetlonymi na zielono przedziałami. Gwiazdy mrugały na niebie, które nigdy dotąd nie wydawało mi się tak potężne i wielkie jak nad tą równiną. Upiorne światło Drogi Mlecznej ciągnęło się nad nami niby dym z ogromnego statku, który zniknął za horyzontem.

Czasami, kiedy się budziłem, stwierdzałem, że gwiazdy powędrowały dalej – niebo się obróciło – Wielka Niedźwiedzica chodziła na czterech łapach, a Orion stał po drugiej stronie. Potem miałem wrażenie, że Ziemia sama leci przez kosmos, że bezszelestnie skurczyła się pod mną do rozmiarów piłki i po bezkresnej krzywej leci w kierunku horyzontu, by spaść w otchłań nicości. Wizja ta była tak realna, że nieraz wydawało mi się, że muszę się przytrzymać. A gdy strząsałem wtedy z siebie resztki snu, stwierdzałem, że Heinrich nie leży obok mnie. Często tak siedziałem i długo wpatrywałem się w ciemne lasy, które unosiły się nad równiną niczym krowy nad spowitymi mgłą łąkami. Nad ranem, kiedy rosa spadała nagle i tak mocno, że potrafiła człowieka obudzić, słyszałem czasem wracającego Heinricha. Wiedziałem, skąd wraca – od strony domu dróżnika, gdzie mieszkała kobieta. Kiedy się kładł, udawałem, że śpię.

A potem pewnego wieczoru zjawił się dróżnik. Siedzieliśmy z Heinrichem przy ognisku, któreśmy rozpalili. Heinrich gotował złowionego przez siebie pstrąga. Dróżnik przysiadł się do nas. Był blady i się pocił. Heinrich zachowywał się tak, jakby go nie widział. Dróżnik mówił o pogodzie i upale. Heinrich się nie odzywał. Popatrzyłem na niego. Nie wyglądał na zaniepokojonego, ale niepotrzebnie grzebał w ogniu.

– Zaraz wracam – powiedziałem.

Później doszło do moich uszu, co się wydarzyło. Dróżnik opowiedział Heinrichowi, że podczas wojny był ranny w płuca.

– Gdzie? – zapytał Heinrich.

– Arras.

– Też tam byłem – rzekł Heinrich.

Dróżnik miał gruźlicę. Pokazał zaświadczenie od lekarza, które miał przy

sobie. Heinrich nie chciał go oglądać. Spokojnym tonem i nie chcąc wzbudzać współczucia, dróżnik powiedział, że zostało mu niewiele życia. Powiedział też, że nie ma już na świecie nic oprócz żony. Bardzo dobrze zdawał sobie sprawę, że jest dla niej zbyt chory. Ale nie powinno to już długo potrwać, a po tym wszystkim, oprócz niej nic przecież nie ma... Czy Heinrich potrafi to zrozumieć?

– Tak – odparł Thiess.

Dróżnik niewiele już później mówił. Czekał na odpowiedź Heinricha. Przez chwilę panowało milczenie. Heinrich wpatrywał się w ogień. A potem nagle zapytał:

– Gdzie zostałeś ranny, kolego? Pod Arras? Dróżnik skinął głową. Heinrich nadal wpatrywał się w ogień. Nie słyszał chyba nawet własnego pytania.

Jakaś gałązka trzasnęła w płomieniach. Heinrich podniósł głowę.

– Ach, tak – odezwał się, jakby wszystkiego zapomniał. – Ale sam jej powiem.

– Dobrze – zgodził się dróżnik i wstał. Następnej nocy Heinrich wrócił wcześniej, niż się spodziewałem. Właśnie przejeżdżał z hukiem ekspres Warszawa-Paryż. Lokomotywa była jedną wielką fontanną iskier. Heinrich rzucił się na trawę.

– Jutro się zmywam, Paul – powiedział.

Nie odzywałem się. Wiedziałem, że to się tak skończy, a mimo to rzecz dotknęła mnie tak mocno, że nie potrafiłem nic powiedzieć.

– Za długo byłem w jednym miejscu.

– Powiedziałaś jej? – zapytałem.

– Tak.

Popatrzyłem ku łąkom spowitym we mgle.

– To, że odejdziesz, Heinrich, jemu i tak niewiele pomoże. Ale ona będzie siedzieć i płakać...

– Nie będzie – odparł Heinrich. Popatrzyłem na niego. Odwrócił się raptownie.

– Ma mnie dość. Powiedziałem jej, że jestem żonaty. Że chcę wrócić do domu. Do żony...

Pokiwałem głową.

– Niedługo potem ryczała – dodał. – Była jak dzikie zwierzę. Wściekła, rozumiesz? Wściekła! To jej pomoże wytrzymać. Mówię ci, ma kobieta charakter, psiakrew!

Nie odzywaliśmy się.

– Naprawdę jesteś żonaty? – zapytałem po chwili.

– Eee, coś takiego trudno sobie nawet wyobrazić... – odpowiedział, wrywając kępkę trawy.

Następnego ranka odszedł.

– Pójdę jeszcze kawałek z tobą – zaproponowałem. Pokręcił głową.

– Daj spokój. Tak będzie lepiej...

Powietrze było bardzo klarowne. Panowała świetna widoczność.

– Musisz uważać na Mecka – rzekł Heinrich. – Lepiej zajmij moje miejsce do spania w kącie baraku. Ale nie sądzę, żeby były z nim jeszcze jakieś kłopoty.

– Ja też nie sądzę.

– No, to powodzenia, Paul.

– Powodzenia, Heinrich.

Stałem przed barakami, dopóki nie znalazł się w lesie. Nie obejrzał się za siebie.

Trzy tygodnie później odszedłem i ja.

THE FIVE YEARS DIARY

Zaczyna się od jaskółek. Nadlatują nagle od strony horyzontu niczym ciemny wodospad i rozpryskują się w rój bladych meteorów, które zataczają na niebie łuk po łuku niczym stalowa sieć. W tym samym momencie zaczyna się przemiana światła. Nie trzyma się już ono kurczowo rzeczy jednostkowej, nie izoluje jej i nie czyni samotną – teraz łączy i jednoczy, przestaje oświetlać i nie pali bez litości i zmiłowania, tylko staje się blaskiem samych rzeczy, które nie ukrywają się już pod nim, tylko je emitują, przerażająca obcość bytu zamienia się w złudną wszechmoc, każdy trzyma w rękach Jowisza i Plejady i nawet czoło garbusa dotyka słońc Drogi Mlecznej, kiedy ten podnosi głowę i pragnie to światło posiadać.

Nie mówię o pijakach pozbawionych fantazji, choć również ich unosi ów biedny, ciemny pęd do ucieczki na jakiś czas przed Ja na czarne łąki bezmienności – ale oni nie galopują, tylko człapią – strach ich otacza jak gęste krzaki we mgle – chcą umknąć, nie chcą się rozwijać i przekraczać swojej miary; wpelzają do jaskiń i siedzą wokół mętnego płomienia alkoholu jak wokół wiecznej lampki, tam zasypuje ich powoli piasek otępienia, dopóki nie zaczną zgrzytać w ich żyłach i mózgach i nie każe im się zatrzymać.

W tym świetle – gdy staje się łagodne i srebrzyste – stada jaskółek zamieniają się w gołębie, nawołujące z wielu drzew; to stare nawoływania, znane już sprzed wielu żywotów. Bliscy jesteśmy ich rozpoznania, brakuje bardzo niewiele, i nagle wyzwalamy się z mrocznych pęt czasu, życie to monstrancja, błyszcząca na wszystkie strony, nie ma już rzeczy niemożliwych, pojawia się Wielka Pełnia, ta ostatnia, która obejmuje wszelkie inne, jak kula ziemską obejmuje kraje – ale ta niewielka część, ten brakujący oddech, gest, który zatrzymuje i krystalizuje to, co ucieka – one nigdy nie przychodzą, na chwilę przedtem obraz się zaciera, nawoływania stają niewyraźne, zmierzch zstępuje na ziemię setkami pawich oczek i sowy snów zaczynają swoje bezszelestne loty. Spełnienie nie jest nam dane, dopóki żyjemy, gdyż spełnienie to śmierć. Mamy wszakże sny, mamy przemiany i przez jakiś czas władzę nad nimi.

Wszystko zaczęło się w knajpie przy Czterdziestej Piątej Ulicy. Z sufitu zwisał żaglowiec, w kącie na stolku barowym siedziała kobieta, która trzymała na kolanach małego psa, barman czyścił szkło, a senną przedpołudniową ciszę zakłócały dobiegające z zewnątrz przytłumione odgłosy ruchu ulicznego. Nad

bufetem zamontowany był telewizor. Barman włączył aparat, ale tak, że nie było słycać dźwięku. Obraz za obrazem przemykał bezszelestnie po białej powierzchni: najpierw był jakiś bezgłośny pokaz mody; kobiety przesuwały się przez ekran niczym chmury, milczące i dlatego pełne czaru. Potem zaczął się film. Ludzie gestykulowali, usta otwierały się i zamykały, twarze się wykrzywiały – ale wszystko sprawiało takie wrażenie, jakby ktoś zaglądał zimowej nocy do sali balowej, nie słysząc muzyki. Taniec wydaje się wtedy człowiekowi czymś bezsensownym i automatycznym, jakby lekko stuknięci odprawiali jakiś monotony obrzęd. Tak samo było z filmem niemym. Cienie podrygiwały, poruszały się, odtwarzały gesty smutku i radości i pozostawały niezrozumiałe, ponieważ były nieme. Nie można było zresztą dzielić ich uczuć. Nie były ani tragiczne, ani komiczne. Wszystko, cokolwiek robiły, wydawało się zbędne. Właściwie czekało się tylko na moment, kiedy biała powierzchnia uwolni się znowu od nich. Popatrzyłem na ekran i pomyślałem, że być może Bóg patrzy w ten sposób na świat – trochę sennie i cierpliwie, i trochę się dziwiąc, co stało się z oddechem, którym wprowadził pierwszą cząstkę materii w większy ruch niż taniec elektronów, i lekko zaskoczony, dlaczego trzepoczą się tak ordynarnie i bronią przed rozpuszczeniem na powrót w symfonii promieni.

To było owo Ja, ów gruby węzeł z doczepioną resztką świadomości niczym nitka żółtka do brody po śniadaniu – Ja, owo najgrubsze zapętlenie wszystkiego, co hałasowało najgłośniej i najbardziej broniło się przed rozpadem, jakby to był koniec, a nie prześlizgujący się akord i jako taki dosyć mizerny, nieporównywalny z ekstatyczną harmonią zwykłego kamienia polnego lub wdziękiem komara – że nie wspomnę o kryształach, motylach, roślinach i obywatelach się bez jelita jętkach jednodniówkach, o tym białym nadpływaniu i odpływaniu w brzęczących odgłosach letnich nocy.

Ciężkie i nieokrzesane, owo Ja brudziło bezbronne szkło ponad łysiną barmana – a fakt, że występowało w liczbie mnogiej, sprawiał, że wydawało się jeszcze bardziej ponure. Znośne było tylko dlatego, że milczało. To przez nie, pomyślałem, siedzę tutaj. Mikser przy barze był zadowolony, gdy nie musiał mówić, a drugie Ja, z pieskiem na kolanach, topiło się w dżinie. Na zewnątrz zaś i nad głową barmana przepływało coś, co dziwnym trafem nazywamy życiem, a co jest dokładnym jego przeciwieństwem: owa kakofonia zakłamanego egoizmu, polegająca na wmawianiu sobie, że egzystencja jest wieczna.

Zamówiłem butelkę wina mozelskiego, które miało smak łupków, młodego słońca i dzwonów kaplicy w dolinie Nahe. Nic nadzwyczajnego, ale nie dodawano do niego cukru, wino było naprawdę przyzwoite i świeże – namówiłem miksera, żeby kupili więcej butelek, i obiecałem, że będę je pił, także czerwone, ale nie szampana. Szampan jest dla gadułów i naciągaczy. Mozelskie rozchodziło się łagodnie od dołka podsercowego ku splotowi słonecznemu, temu cudownemu i właściwemu mózgowi, do którego ten drugi, występujący zazwyczaj pod tą nazwą, ma się tak jak maszyna licząca do

monstrancji. Pijąc je, zrozumiałem, że już nigdy nie powinno się uczestniczyć w niegodziwym fałszowaniu życia, w tym, co odzwierciedlało zagmatwane odbicie nad bufetem, bardziej niż w samym odbiciu. Kiedy mikser sobie przypomniał, wyłączał telewizor, ukryte istnienie gasło i na powrót zapanowywał bez granic uroczysty pokój tego, co nieświadomi określają jako nicość – nicość istnieje bowiem przedtem i potem i dlatego jest wieczna.

Przyglądałem się barmanowi z lekkim oczekiwaniem, kiedy to zechce zrobić. Telewizor mu nie przeszkadzał, odwrócił się do niego plecami, a ten pisał nad jego głową niczym ogień świętego Elma nad masztem statku albo jak niespokojna aureola nad jakimś łysym bóstwem; barman polerował kieliszki niczym planety, zachowując dostateczny chłód, żeby podjąć kolejną próbę walki z brudem i pleśnią. Drugie Ja, które, na wpół utopione w dżinie, siedziało przed bufetem, zakasłało. Piesek zaszczekał krótko. Tłusta dłoń dżinowego Ja poklepała go po grzbiecie oprawionym w złoto topazem. Mikser podniósł wzrok.

– Niechże pan wyłączy te bzdury. Kręci mi się od tego w głowie – powiedziała ochryple dama.

– Oczywiście. Nie zdawałem sobie sprawy, że jeszcze idzie.

Mikser-bóg przekręcił gałkę. Świat ponad nim zniknął, jakaś kobieta umarła z otwartymi ustami, mężczyzna zastygł w trakcie skoku, parę aut oślepiło, grupa ludzi rozplynęła się w mlecznej szarości – tak jakby w ciągu sekundy powtórzyła się tragedia Pompejów, akcja utonęła w burzy popiołu, pogrzebana pod nim – i tylko szklana szyba połyskiwała nadal cicho niby romboidalny księżyc. Jedna planeta została wymazana. Łysy bóg wyłączył swoje światło. Czas stanął w miejscu.

Czas stoi w miejscu. Nie jest już łańcuchem, na którym by człowieka ciągnięto dalej – do przodu, jak się sądzi, ale dokąd do przodu? Czy ku śmierci znaczy „do przodu”? Łańcuch zamienia się w lustro, w gabinet luster, to zaś, co my nazywamy wspomnieniem, a generałowie, politycy, bankierzy, kapłani i inni biznesmeni ducha uważają za przeszłość, odrzuca do tyłu ciemny płaszcz zapomnienia, przegląda się i po prostu jest – pełniej, bogaciej i ma więcej czaru niż kiedykolwiek, gdy było przeszłością. Jesteś dzieckiem i starym mężczyzną, przegrywasz i wygrywasz, płaczesz i czujesz swoje serce, nie wstając ani nie wykonując żadnego ruchu. W porównaniu z przygodą ducha wszelkie inne nie mają uroku. Uciekając, biegnie się ku samemu sobie, granice wszechświata to parkan dla nieograniczonych myśli, bez wstawania zdobywa się i traci łańcuchy stałych gwiazd niczym sznury pereł, nie ma niskich stawek, gra się zawsze przeciwko bankowi, strata to zysk, niebo i piekło zawsze są obok siebie, strach to nie brak, upadek to nie śmierć, śmiercią jest tylko rezygnacja, rezygnacja i ucieczka w zadowoloną z siebie sytość szeregowych mieszczańskich domów, z osobną łazienką, klozetem, łóżkiem, wspólną religią, światopoglądem i ze śmieszną tezą o sukcesie, postępie, dobru i złu i zwycięstwie dobra.

Dobro! Kto kiedykolwiek naprawdę zaglądał w jego przerażającą gębę, kto jeszcze pamięta, że to absolutne zło? Czyż Lucyfer nie przyniósł czarnego światła, które zaczęło się od tego, że w naszych ustach pojawiło się słowo Ja i wiedza o tym, że musimy umrzeć? Wypędzeni z raju, ale z jakiego i dokąd? Do najlepszego z wszystkich światów? Do najgorszego? Ani do jednego, ani do drugiego: do jednego świata. Diabeł nie jest kuternogą, a nikt dotąd nie zaglądał papieżowi pod sutannę. Zło jest uczciwsze od dobra, ale my potrzebujemy praw, gdyż tylko to, co wielkie, jest Jedno, a ludzkiej społeczności nie sposób sobie wyobrazić bez iluzji i zasad. Tylko nieliczni potrafią znieść wiedzę o tym, że nie ma ani dobra, ani zła. Obojętne, czy jakiś welon był czerwony czy czarny, skoro w końcu spłonie. Niczego nie bierz bardziej serio niż snów. Ani mniej. Bóg zawsze wygrywa. Gra z tobą, ale ma znaczone karty. Kto gra po to, by wygrać, zawsze jest przegrany. Ale kto gra po to, by grać, tego kocha życie: Kto nie ma nic, do tego wszystko należy. Nie ma nic większego niż *va banque* ducha.

Wszystko zaczyna się od tego, że rozbijasz czas jak kiepskie szkło. Słońce błyszczy w każdym odprysku, a księżyc odbija się w oceanie tylko raz – ale odbija się też w każdej kałuży. Dla niego kałuża i morze to to samo – w dalszym ciągu niczego się nie nauczyłeś? Po każdym deszczu stoi złocisty w stu kałużach, także krowiego moczu, ale czy możesz go schwytać? A ty w dalszym ciągu czytasz gazety i wydaje ci się, że ktoś wie więcej od ciebie, a mianowicie: nic. Prorocy i kaznodzieje potrafią tylko mówić dłużej niż ty. A o niczym można mówić więcej niż o nicości. Ona ma tysiąc postaci i nigdy nie protestuje. Bo kto tak naprawdę wie na pewno, że to księżyc stoi na niebie, a nie odwrotnie: że ten drugi, odbijający się w kałuży, jest ciałem świecącym, a ten w górze tylko odbiciem? Może to tylko dwa rodzaje promieni, które spotykają się na siatkówce oka, a księżyc jest tylko jeden: ten wewnątrz głowy?

Kobieta przy barze stawia psa na blacie. To maltańczyk, kłębek białej sierści z nosem i różowym językiem. Oczu nie widać. Barman ziewa. Otwierają się drzwi. Do środka wchodzi para, wpuszczając potok słonecznego światła. Mężczyzna to typ aktywnego biznesmena, dla którego jedyną tajemnicą bytu wartą rozwiązania są plany konkurencji. Zdecydowanym tonem zamawia dwa wytrawne martini, dobrze wytrawione, i żąda, żeby mikser włączył wiadomości.

Wiadomości bębnią pośród ciszy niczym ziarnka grochu. Trochę zbyt zażywny, jowialny biznesmen nie słucha. Wystarczy mu, że idą w telewizorze. Jest w wyśmienitym nastroju; przed jego oczyma kwitną pola podwójnej buchalterii i specjalnych bonusów. Dziewczyna siedząca na stolku barowym to jedna z tych kobiet, które na stolku barowym od tyłu wyglądają tak, że chciałoby się, aby się odwróciły. A stolki barowe to zdrajcy i na tyłki działają jak silne szkła powiększające. Dama z pieskiem wygląda na swoim jak worek mąki – tym bardziej cieszy oczy widok jej sąsiadki. Bóg pewnie śpiewał, kiedy ją

modelował – zwłaszcza w talii i poniżej. Reszta też jest niezła, przynajmniej do tej pory, kiedy się patrzy od tyłu; ale to jeszcze nic wyjątkowego. Ileż razy człowiek już się przestraszył na widok haczykowatego nosa ponad ramionami Diany albo podbródka sterczącego jak skała gibraltarska, że nie wspomnę o bazylijszkowatym wzroku trzeźwej kalkulacji. Cieszymy się tym, co mamy! Ciekawość jest podobno matką żądzy wiedzy – ale cnota na szczęście często bywa karana.

– Nie mógłby pan tego wyłączyć? – pyta korpulentna z pieskiem. – Kto by słuchał bez końca tych bzdur? Biznesmena na chwilę zatkało.

– Ja – oświadcza.

– Pan? Za dwa martini? Tyle hałasu?

– To nie hałas – odpowiada statecznie biznesmen. – To wiadomości polityczne z naszego kraju.

– Lepiej niech pan je solone migdały. Biznesmen wytrzeszczył oczy. Przyzwyczajony jest do myślenia logicznego i podyktowanego rozsądkiem. W końcu wzrusza ramiona. Znalazł wyjaśnienie. Korpulentna dama jest pijana. Życie może toczyć się dalej. Przez chwilę czuł coś niezrozumiałego; biała ryba wypłynęła z głębin jeziora. Teraz powierzchnia wody jest znowu gładka. Gryzie go jeszcze tylko karcąca uwaga o dwóch martini.

– Jeszcze dwa martini – zamawia.

– Dobrze wytrawione – dopowiada grubaska. Biznesmen wyczuwa w tych słowach szyderstwo. Nie wie, jak odpowiedzieć. W wypadku zderzenia pijanego i trzeźwego trzeźwy stoi zazwyczaj na straconej pozycji. Ma wprawdzie przewagę, ale nie jest w stanie udowodnić jej przeciwnikowi, i jaki z niej wtedy pożytek? Oboje operują na różnych płaszczyznach, z których płaszczyzna logiki jest bardziej sztuczna. A druga ma w rezerwie wszechświat.

– Jeśli o mnie chodzi, może być – odpowiada biznesmen ostrożnie, ale z wyraźnym lekceważeniem.

Grubaska kiwa głową.

– A więc wyłącz to pudło – oświadcza, zwracając się do barmana. – I daj Ottonowi serdelka.

Wygląda na to, że Otto to maltańczyk. Biznesmen podnosi się z miejsca.

– Ja chcę wysłuchać wiadomości.

– Ja nie.

Barman waha się. Korpulentna dama to dobra klientka. Biznesmen zwraca się do mnie.

– A pan? Co by pan wolał? Większość powinna zdecydować.

Wszyscy odwracają się w moją stronę. Także dziewczyna. To dziewczyna z klasą. Z przodu dotrzymuje tego, co obiecywała od tyłu. Odczekuję chwilę, a w końcu mówię:

– W sporze między hałasem a ciszą powinno się dawać pierwszeństwo ciszy.

Ona nie rani. A hałas może ranić.

– Co? Dlaczego?

– Ujmijmy rzecz inaczej. Po co chce pan słuchać wiadomości, skoro samo życie siedzi obok pana?

Znawca dwudziestoprocentowych zysków nie od razu chwyta moje zuchwałstwo.

– Życie? Jak to? Przecież wszyscy żyjemy!

– To tylko jedna z najbardziej rozpowszechnionych pomyłek – odpowiadam z niekłamaną rozkoszą.

Grubaska traci zainteresowanie konwersacją. Karmi Ottona serdelkiem. Nagle dziewczyna wybucha śmiechem.

– Z czego tu się śmiać? – pyta poirytowany biznesmen.

– Nie bądź śmieszny, Jock – mówi dziewczyna. – To był żart. – I zwracając się do barmana, dodaje: – Niech pan wyłączy aparat.

Cisza działa na Jocka jak szyderstwo. Ten mruczy coś do siebie i wychyla swoje martini.

– Idziemy coś zjeść?

Dziewczyna zsuwa się z barowego stolka. Posyła mi spojrzenie, na które zasłużyłem – poczęstowałem ją wszak dwoma banałami. W pośpiechu nie dało się zrobić nic więcej. Musiałem nisko celować: po kimś, kto wychodzi z Jockiem, trudno sobie obiecywać wysoki poziom. Za to porusza się jak modelka; zresztą pewnie nią jest. Patrząc za nią i jestem szczęśliwy. Cieszę się nią, wszystkim, co obiecuje i czego na pewno nie zdoła dotrzymać i za co ja nie ponoszę najmniejszej odpowiedzialności. Jock ją ma. On może się tylko rozczarować; ja natomiast siedzę tutaj i mogę sobie pozwolić na to, by wierzyć, że ten kuszący wabik natury jest wymarzonym stworzeniem. Ja ją posiadam; Jock może sobie przez nią cierpieć. Już teraz jego plecy wydają się lekko obrażone.

– Do widzenia panu – odzywa się grubaska z doskonałym opanowaniem, kiedy tamten przechodzi obok niej – i bardzo dziękuję za uprzejmość z pańskiej strony.

Jock wzdryga się, lecz sekundę później wzrusza tylko ramionami i kręcąc głową, wychodzi w żółty potok światła słonecznego za drzwiami.

– A teraz – oświadcza barmanowi grubaska – proszę z powrotem włączyć wiadomości.

Barman przyzwyczajony jest do wielu rzeczy, mimo to dziwi się przez moment.

– Chcę wysłuchać, jakie były wyniki meczów baseballowych – dodaje grubaska.

To trafia barmanowi do przekonania. Tutaj jest na ulubionym gruncie.

– Jest pani za Giants czy za Dodgers? – pyta.

– A kto to jest?

Mikserowi opada dolna szczeka.

- Nie wie pani tego? Ale przecież mówiła pani, że interesuje się baseballlem?
- Ani trochę. Chcę tylko wysłuchać wyników.
- Ale...

Mikser poddaje się.

- Zawsze mnie to uspokaja - dodaje grubaska. Mikser zrezygnowany przekreśla gałkę. Grubaska pokonała także jego. Dwoje zdrowych, trzeźwo myślących ludzi w ciągu dwóch minut! Wiadomości sportowe były jednak wcześniej. Po cierpliwej szklanej szybie wiruje ciężko balet płaskostopych czarodziejek. Barman wyłącza muzykę. Naturalnie był Bach. Nad bufetem nadal trwa bezgłośny taniec - absurdalne odbicie absurdalnych fragmentów bytu.

Przyszła znowu dwa dni później. Nie z Jockiem - tym razem z elegantem z Siódmej Alei, czarniawą istotą, która potrafi już chodzić na dwóch nogach, ale mówi jeszcze na czworakach. Egzemplarz pokazowy, jak Jock, wyrzucony przez śmierć na obcą wyspę, bez żadnej wiedzy oprócz tej, że nie może zostać, ale natychmiast żwawo włączający się w interesy. Nie przeszkadza im właściwie nawet fakt, że obok nich ciągle znikają ludzie, którzy jeszcze wczoraj przeżywali kolację. Gdyby wiedzieli, że to gestapo albo GRU po nich przyjdzie, drżałyby im kolana i trząsłby się horyzont cyfr - ale ponieważ to tylko śmierć, więc siedzą sobie spokojnie jak stado lwów morskich, między którymi przechadzają się myśliwi z maczugami. Krótka chwila strachu, gdy czasem pocisk uderzy tuż obok - ale zaraz potem wracają do oszukiwania, wykorzystywania, uciskania i gniewnego domagania się chrześcijańskiej miłości bliźniego ze strony konkurencji.

Zaopatrzeniowiec w firmie opowiada o swoich dokonaniach, jakby był Hannibalem branży odzieżowej. Sam nie pije, za to wmusza w dziewczynę o bajecznym tyłku trzy martini. Oświadcza, że przez wiele lat potrafił wydudlić butelkę whisky jakby nigdy nic - dopóki lekarz mu nie zabronił. Sposób, w jaki bierze do ręki szkło, zdradza, że nie wie, co to whisky. Szklaneczki z alkoholem podnosi się inaczej niż z wodą mineralną. A whisky pije się inaczej niż wino. Whisky jest tak czy owak tylko dla amatorów. Do porządnego alkoholu nie dolewa się wody.

Zaopatrzeniowiec ma na imię Joe. Widać już po nim, że za jakieś dwadzieścia do trzydziestu lat umrze na nadciśnienie i miażdżycę, prawdopodobnie zdenerwowany jakąś skandaliczną ofertą konkurencji, proponującej odzież wiosenną lub stroje kąpielowe. Dwadzieścia lat wcześniej, niż byłoby to konieczne, ale za to będzie miał za sobą zupełnie nieistotne, denerwujące życie w handlu odzieżą i będzie mógł powiedzieć: Joe Danziger mógł chodzić przez całe życie z podniesioną głową. Dlaczego, sam tego nie wie. Pewnie będzie zmyślał jak wszyscy inni, którzy cierpią co wieczór na dziwny kompleks gromadzenia brzęczącego kapitału, a za to codziennie tracą nieodwracalnie dzień swego kapitału życia.

Dziewczyna ma na imię Gloria. Joe, popijając sok pomidorowy, nazywa ją tak ze dwadzieścia razy. Żałuję tego – gdy była bezimienna, miała wszystkie imiona – teraz jej czar skurczył się do jednego. Tyłek Glorii nie jest nieznanym tyłkiem nieznannej kobiety z nieznanymi snów; znalazł już swoje cztery ściany, został splodzony, ma matkę, zawód i nie jest to już bezimienny zew natury, piana uformowana z chaosu przez szalonego cukiernika, wyrzucona w górę i ożywiona zasadą zasad: pięknem.

Gloria, wychodząc, skinęła mi głową. Joe podąża za nią z zapalem, istny wodospad gestów. Słońce świecące na zewnątrz otacza jego głowę z odstającymi uszami niczym drgający żółty ogień – i przez chwilę czuję ostre klucie w dołku. Pojawia się żółty ogień krematorium, a na żelaznych noszach martwy Mendel Blei, który nagle się podnosi, głowa, płonące uszy i trzask żelaznej kłapy pieca. „Przyzwyczaisz się do tego widoku – powiedział kapo z krematorium. – To kwestia żaru. Wszyscy tak robią. To nic w porównaniu z baletem w komorze gazowej. Ci tutaj są martwi. Ale tamci...”

Drzwi za Joem zamykają się z trzaskiem. Barman włączył z powrotem telewizor, choć nie widziałem, żeby to robił. Bez dźwięku; wie, że lubię ciszę. W górze uśmiechnięty jak upiór prezydent kraju łowi ryby, brodząc po rzece w wysokich gumowcach.

– *That guy!* – mówi barman. – Chciałbym mieć połowę tyle ferii co on!

Cisza! Był okres, kiedy jej nie znośiłem. Zamieniłem wtedy parę ciuchów, jakie dostałem przy zwolnieniu z obozu, na mały radioaparat. Radio darło się dzień i noc, w nocy nawet bez przerwy. Nie mogłem wtedy długo spać. Wpadałem w otchłań – tak głęboko zasypiałem, a potem nagle czułem, że spadam, i zrywałem się z krzykiem. Nie wiedziałem, gdzie jestem, czułem tylko strach spływający po mnie jak pot i nie mogłem oddychać, przypominało to umieranie. Wcześniej parę razy omal nie umarłem, ale to było w obozie i to było rozsądne, prawdziwe umieranie, a nie to wyimaginowane. Uważałem, że to idiotyczne umierać co noc parę razy bez powodu, ale nie mogłem nic zrobić – wciąż było to nagle zapadanie się i podrywanie ze snu. Oczywiście lepiej było, gdy zapalałem światło, ale zawsze chwilę trwało, nim sobie to uświadomiłem, a ta chwila ciągnęła się bez końca. Względności czasu nauczyłem się od strony praktycznej w obozie. Kiedy dwaj esesmani trzymają człowieka pod wodą, dla esesmanów jest to półtorej minuty; dla mnie nie. I jest różnica, czy wisi się gdzieś przez godzinę z wykręconymi rękami, czy przez godzinę siedzi się w słońcu. Czas jest bardziej rozciągliwy niż złoto, a słyszałem, że średniej wielkości grudkę można rozklepać tak cienko, że powstała z niej złota blacha przykryłaby komory gazowe w Belsen. Przez pewien czas próbowałem spać w dzień, ale i to niewiele pomagało. Przeciwiężstwa rysowały się tym ostrzej i mniej zrozumiale i zamiast ciemnej grozy pojawiała się jasne przerażenie.

Radio pomagało do drugiej w nocy. Potem stacje zanikały. Spałem do drugiej,

potem wstawałem i szedłem na spacer. Zawsze było jeszcze parę oświetlonych okien, przed którymi mogłem postać, nawet bary, a poza tym kluby Amerykanów – tam zawsze było światło i hałas, a także śmiech, który wydawał mi się wówczas równie obcy i obsceniczny jak to, co się dzieje w burdelu. Nie, jeszcze bardziej obsceniczny. Trwało to ponad rok, zanim odkryłem, że nie potrzebuję już radia. To, że przesybiałem tylko część nocy, nie miało dla mnie znaczenia. Przez przeszło trzy lata życia spałem tylko za dnia.

Gloria nie przychodziła przez dwa dni. Trzeciego zjawiała się z mężczyzną, który miał łysinę otoczoną wianuszkami długich włosów i zbyt długie ręce. Kiedy wychodziła, pokręciłem z dezaprobatą głową. Zdziwiła się i popatrzyła na mnie wyniośle. Nagle przestałem istnieć i muszę przyznać, że miała rację. Nawet gdy mężczyzna jest o głowę niższy od kobiety, którą zaprasza do lokalu, i wygląda jak oszust, to jeszcze nie czyni go śmiesznym.

Wypiłem swój dzin. Niebieski wiatr jeszcze nie odpłynął, a czarny tak czy owak nadciągał tylko w nocy.

Postanowiłem pójść do domu. Południe wypięło szeroką jasną pierś niczym esesman i zdawało się mnie odpychać. Słońce mnie oślepiało. Nawet po tak długim czasie moje oczy nie przyzwyczyliły się jeszcze do niego. Zamknąłem oczy i hałas uliczny uderzył w moje powieki, za którymi słońce stało jak za czerwoną zasłoną. Byłem jak kret albo sowa, a stworzenia dzienne zdawały się szydzić ze mnie. Było bardzo gorąco – wilgotny nowojorski letni upał, który wyciska pot z porów skóry, jakby ciśnienie wewnątrz ciała wynosiło zawsze atmosferę więcej.

Powoli szedłem wzdłuż gorących murów. Asfalt się topił, miałem wrażenie, że brodę w błocie. Woda spływała po wystawach kwiaciarni, jakby pokrywała je skorupa żywych kwiatów mrozu. Za szybą stały chłodne i obojętne niczym wytworne dziwki gladiole i bukiety róż, jakby były z barwnego wosku. Stoją tam równie obojętnie jak człowiek, który nie cierpi, zachowuje się wobec cierpienia. Tylko nie wspominajcie mi o współczuciu! W przekupywaniu losu pomaga bojaźliwy egoizm, dopóki nie ryzykuje życia za kogoś innego. Tylko nie wspominajcie mi o miękkim współczuciu! Widziałem inne! Przez trzy lata pewien człowiek dzień w dzień ryzykował dla mnie życie. Dopóki go nie stracił. Umarł za mnie. A przy tym nigdy mnie nie kochał. Nawet niespecjalnie mnie lubił. I nie był ze mną spokrewniony. Nazywał się Paul Rennes i był dyrektorem muzeum w Belgii. Przez trzy lata ukrywał mnie w małym schowku w piwnicy muzeum. Przez trzy lata przynosił mi co wieczór jedzenie. Wynosił mój kał w blaszanym naczyniu. To dziwne, ale akurat to robiło na mnie największe wrażenie. Trochę mnie zawstydzalo. Przez długi czas dręczyło mnie bez przerwy pragnienie, bo starałem się pić możliwie jak najmniej. Uważałem, że byłoby frywolnością, gdyby Paul Rennes wynosił na dodatek moje szczyny. To drugie było konieczne, bo musiałem jeść; ale pić wodę po prostu dlatego, że jestem spragniony, a potem wydalać ją do blaszanego naczynia, wydawało mi się

luksusem, który mi nie przysługuje. Później, kiedy nabraliśmy większej pewności i pozwolił mi w nocy wychodzić ze swojej kryjówki, sam mogłem wynosić naczynie. Do dziś nie wiem, czy Paul Rennes nie został wydany właśnie z tego powodu i Niemcy nas złapali.

W sklepie papierniczym kupiłem książkę, jakie dają sobie w prezencie podlotki. To dziennik, który liczy 365 stron. Każda strona podzielona jest na pięć części i nosi numer kolejnego dnia. Jest to zatem dziennik na pięć lat. Kupiłem go, bo wydawało mi się niesamowitym zuchwalstwem, że człowiek spokojnie może wierzyć w to, iż przez pięć lat będzie mógł prowadzić w tej książce zapiski. Co za pewność siebie! Co za wiara w przyszłość! Co za solidność bytu! Co za kraj, w którym coś takiego przyjmuje się za oczywistość, pomyślałem i kupiłem książkę w przyływie radości, że mam znowu tak wiele dobrego gruntu pod nogami. W Europie dziennik starszy niż rok uważano by już za epos w typie *Parsifala*.

Potem długo siedziałem nad pustymi stronicami, często je przewracałem i przyglądałem się im.

WIĘKSZE I MNIEJSZE IRONIE MEGO ŻYCIA

Pytanie: Nie nazywa się Pan Kramer?

Odpowiedź: Nie. Ale co z tego, skoro ta niedorzeczność okrażyła bez przeszkód świat i są tacy, którzy wierzą w nią do dzisiaj.

P: Nigdy jej Pan nie dementował?

O: Po co? Przez prawie czterdzieści lat nigdy nie dementowałem niczego, co pisano o mnie, choćby to były rzeczy zupełnie nieprawdziwe.

P: Dlaczego?

O: I tak nikt by mi nie uwierzył. To jedno z pierwszych doświadczeń człowieka, który odniósł sukces. Kiedy już to wie, oszczędza sobie zmartwień, adwokatów, niepotrzebnych kosztów sądowych, wrzodów na żołądku i zawałów serca. Gazeta zawsze ma rację – choćby dlatego, że codziennie ukazuje się nowe wydanie. Co Panu da pojedyncze sprostowanie, wydrukowane wśród ogłoszeń na stronie 24?

P: Czy to prawda, że wielu wydawców w Niemczech odrzuciło *Na Zachodzie bez zmian*?

O: Odrzucił jeden, pierwszy, jeden z najlepszych. Powiedział mi, że nikt już nie będzie chciał czytać o wojnie. Teoretycznie może to on miał rację, ale praktycznie ja.

P: Coś takiego przytrafiło się Panu więcej niż raz?

O: Owszem. *Na Zachodzie bez zmian* odrzuciło też amerykańskie wydawnictwo Putnam. A wydawnictwo, które potem książkę kupiło, odrzuciło mój drugi co do ważności bestseller: *Łuk triumfalny* – uważano, że nikt już nie będzie chciał słyszeć o niemieckich emigrantach. Z kolei amerykański wydawca *Łuku triumfalnego* odrzucił potem z tego samego powodu *Kochaj bliźniego swego*, tymczasem wybrano tę powieść na „książkę miesiąca”. I tak dalej, i tak dalej. To jedna z mniejszych ironii mego życia.

P: Czy to znaczy, że wydawcy nie orientują się, która książka może zostać bestsellerem?

O: Nie. To znaczy raczej, że nieprawdziwy jest tradycyjny pogląd, iż sukcesy książkowe można przewidzieć. W przeciwnym razie byłoby ich dużo więcej. Bestsellery pisze się raczej wbrew wszelkim teoriom sukcesu. Proszę spojrzeć na moje tematy – biedni żołnierze, jeszcze biedniejsi emigranci – moi wydawcy absolutnie mieli rację, pytając, kogo tak naprawdę może to zainteresować.

P: Wobec tego czym by Pan tłumaczył swoje sukcesy?

O: Właściwie nie wiem. Może tym, że jestem swego rodzaju niespełnionym scenarzystą, a więc kimś piszącym wprost, a nie drogą okreśną. Wszystkie moje książki są napisane jak sztuki sceniczne. Scena następuje po scenie. Autor jako *deus ex machina* jest wyłączony; nie występuje jako ktoś, kto wszystko objaśnia, ani jako wszechwiedzący pośrednik. Często próbowałem ułatwić sobie pracę za pomocą zwyczajowych przejść, opisów i obserwacji – lecz na koniec za każdym razem musiałem je skreślać. Akcja i charaktery musiały przedstawiać się same.

P: Uważa Pan, że taki sposób pisania jest łatwiejszy czy trudniejszy od innych?

O: Proszę kiedyś spróbować. Wygląda na to, że ja chyba nic innego nie potrafię. W każdym razie środki pomocnicze są o wiele bardziej ograniczone. Autor jako Duch Święty unoszący się nad wodami odpada, na jego miejscu pojawia się bohater (lub antybohater, lub narrator w pierwszej osobie). Tylko jego inteligencja, jego doświadczenia i jego reakcje są miarodajne – tylko on obserwuje, nikt inny. A to przede wszystkim oznacza, że on musi być zawsze. Akcję trzeba więc tak ułożyć, żeby był wciąż obecny. W książce traktuje się tę kwestię jeszcze bardziej rygorystycznie niż na scenie, gdzie on może wyjść, a akcję przejmują osoby drugoplanowe. Tutaj on zawsze stoi w świetle reflektorów, bez niego książka przestaje istnieć. Przejście do nowej sceny lub rozdziału bez niego jest niemożliwe. Ale nie tylko to: na książkę patrzy się też tylko z jednego punktu widzenia, punktu widzenia bohatera. Jeśli ten ma dwadzieścia lat, to jest to książka dwudziestolatka, nie inaczej.

P: Wszystko to są ograniczenia; co dostaje się w zamian?

O: Poglądowość i prawdopodobnie napięcie, niezależne nawet od akcji. Główny warunek przy tym stanowi bezbłędność dialogu, który staje się bardzo ważny. Napięcie w przebiegu akcji to tylko reportaż. Napięcie towarzyszące opisowi to coś innego. Staje się on, zwłaszcza gdy udany, lekki, często zresztą mylony przez krytyków z reportażem, ponieważ korzysta z jego środków. Tu chodzi jednak o coś więcej. On nie tylko opowiada; on wybiera, charakteryzuje, przedstawia i ma jakiś pomysł.

P: Jaki był Pański pomysł przy *Na Zachodzie bez zmian*?

O: Żeby najpierw była przedmowa: opowiadająca o pokoleniu zniszczonym przez wojnę – nawet jeśli nie dosięgły go jej granaty. A poza tym opisanie młodych ludzi, którzy zamiast naprzeciw życia stali naprzeciw śmierci i musieli sobie z nią radzić. Jak Pan widzi: Była to właściwie o wiele bardziej książka powojenna niż reportaż wojenny. Przypuszczam nawet, że na tym polegała część sukcesu.

P: A jaki był Pański pomysł w wypadku *Iskry życia*?

O: Tytuł *Iskra życia*, która całkiem nie gaśnie nawet pod buciorami barbarzyńców.

P: Uważa Pan, że pomysł to coś ważnego?

O: Owszem, ale tylko w ludzkim sensie, a nie programowym. Taka idea jest nieartystyczna. Z tego powodu *Na Zachodzie bez zmian* pierwotnie też nie było książką pacyfistyczną. Miała ona pacyfistyczne przesłanie, ale jej tematem był ludzki problem. To, że rozsądni ludzie byli przeciwko wojnie, wydawało mi się – wówczas – tak oczywiste, że sam nigdy o tym nic nie napisałem.

P: Jak długo pisał Pan *Na Zachodzie bez zmian*?

O: Pięć tygodni.

P: A ile książek sprzedano?

O: W Niemczech każdego dnia sprzedaje się między dziesięć a dwadzieścia tysięcy. W sumie sprzedano 20 do 30 milionów książek w czterdziestu pięciu, a może pięćdziesięciu językach.

P: Nie wie Pan dokładnie?

O: Nigdy tego nie kontrolowałem; wszystko było zbyt nierzeczywiste. Zresztą nie dało się tego kontrolować. Wszędzie ukazywały się pirackie wydania. W jednym, indyjskim, za sprawą złych tłumaczeń z jeszcze gorszych tłumaczeń powstał na koniec dramat zazdrości między jakimś leśniczym a kłusownikiem. Za żelazną kurtyną tak czy owak drukują wszystko bez zezwolenia. W Rosji wszystkie moje książki są kradzione i mają bardzo wysokie nakłady.

P: To chyba bolesne, prawda?

O: Niewiele bardziej bolesne niż w Niemczech, gdzie konfiskuje się mój majątek i dziesięć lat później oddaje mi dziesięć procent tego, powołując się na inflację. Dobry interes dla państwa – tyle że emigranci nie spowodowali inflacji – a emerytur generałów i nazistów, którzy podali się do dymisji, na pewno nie zredukowano do dziesięciu procent ze względu na inflację. Koniec końców emigranci powinni pewnie się cieszyć, że w ogóle coś dostali, skoro nadal są pozbawieni obywatelstwa, a więc w dalszym ciągu niegodni być Niemcami.

P:Co?

O: Dokładnie to, co powiedziałem. Wraz z końcem Trzeciej Rzeszy nie nastąpiło, jak można się było spodziewać, powszechne anulowanie aktów prawnych pozbawiających emigrantów obywatelstwa. Pozwolono im tylko indywidualnie składać wnioski o ponowne przyznanie obywatelstwa. Możliwe, że intencje były dobre, ale ponieważ emigranci nigdy nie składali wniosków o odebranie im obywatelstwa, wymaganie od nich tego jest raczej upokarzające i niemal obraźliwe.

P: Są po temu jakieś powody?

O: Oczywiście, w Niemczech zawsze są jakieś powody. Twierdzi się, że przywróceniem obywatelstwa niemieckiego nie chciano stawiać w kłopotliwej sytuacji emigrantów, którzy przyjęli już inne obywatelstwo. W takim rozumowaniu tkwi przynajmniej jeden gruby błąd. Anulowanie najsurowszej kary w jakimś kraju, jaką jest pozbawienie kogoś obywatelstwa, nie ma nic wspólnego z automatycznym jego przywróceniem. Państwo niemieckie nie może zmusić żadnego emigranta wbrew jego woli do przyjęcia z powrotem

obywatelstwa, ale mogłoby *zmazać* hańbę jego odebrania i pozostawić emigrantom dalszą decyzję. A tak powstała groteskowa sytuacja, że emigranci praktycznie nadal są na wygnaniu. O ile mi wiadomo, nie odebrano niemieckiego obywatelstwa żadnemu z ludobójców Trzeciej Rzeszy. Emigranci stoją więc w hierarchii niżej; niezła ironia, prawda?

P: Zrobił Pan coś przeciwko temu?

O: Zostałem Amerykaninem.

P: Ale mimo to bywa Pan czasem w Niemczech?

O: Czemu nie? W Niemczech się przecież urodziłem. Fakt, że nie mam tam praw obywatelskich, dodaje tylko całej sprawie makabrycznego uroku. Według średniowiecznego prawa, gdybym się tam zjawił, każdy mógłby mnie właściwie bezkarnie zabić.

P: Teraz Pan przesadza!

O: Oczywiście. Nie na darmo jestem pisarzem i lubię ironiczne sytuacje.

P: Jakie przeżycie odcisnęło się najmocniej na Panu jako pisarzu?

O: Poczucie nierzeczywistości, które nigdy mnie nie opuściło. Pojawiło się dzięki sukcesowi mojej pierwszej książki. Uważałem, że nie mieści się on absolutnie w żadnych proporcjach. I tak zresztą było. Na szczęście zawsze zdawałem sobie z tego sprawę. To uczucie ustrzegło mnie od manii wielkości; wręcz przeciwnie: raczej brakowało mi pewności siebie. Nie było przecież żadnego rozwoju. Zostałem wyrzucony w górę na niewyobrażalne wcześniej wyżyny i na dobrą sprawę mogłem jeszcze tylko spaść. Przy okazji jednak zapominano, że poza tym jestem jedynie absolutnym żółtodziobem. Ja sam nie zapomniałem i to, jak sądzę, mnie uratowało. Wycofałem się, nie dowierzałem pozytywnym recenzjom, prędzej ufałem krytycznym – i pracowałem.

P: Jaka była najtrudniejsza Pańska książka?

O: Sądzę, że druga.

P: A którą uważa Pan za najlepszą?

O: Zawsze tę, która się jeszcze nie ukazała. Pewnie każdy pisarz tak uważa. Nie przywiązuję się zresztą specjalnie do książek, które ukazały się już drukiem. Abstrahując od pierwszej, pracowałem nad nimi zwykle tak długo, że potem przez długi czas nie miałem ochoty po nie sięgnąć. Wie Pan, na zasadzie: „One doesn't finish a book – one abandons it”⁶. Człowiek nie lubi też, żeby mu przypominać o momentach depresji, które towarzyszyły jej powstawaniu. Książka jest gotowa i sama musi znaleźć swoją drogę.

P: Co dla Pana jest ważne w życiu?

O: Niezależność, tolerancja, zmysł najpiękniejszej właściwości, jaka występuje tylko u człowieka i tylko przez niego może być najbardziej bezwstydnie brutalizowana: mam na myśli sprawiedliwość – oraz poczucie humoru, które powinno się zaczynać od autoironii.

⁶ (Ang.) Kiedy człowiek nie potrafi skończyć książki, powinien ją odłożyć.

SPIS TREŚCI

1. Fioletowy sen (1922)
2. Cezura (między 1920 a 1925)
3. Od południa do północy (między 1920 a 1925)
4. Dekadencja miłosna (1923)
5. Inszallah (1923)
6. Kai (1923)
7. Godzina (1924)
8. Tkacz dywanów z Bejrutu (1924)
9. Jezioro w nocy (1924)
10. Tamiński chłopiec (1925)
11. O mieszaniu ekskluzywnych trunków (1924)
12. Główny wątek dekadencji (1924).
13. Międzyplanetarny automobil (1924)
14. Jesienna jazda fantasty (1924)
15. Epizod przy biurku (1924)
16. Ostatni omnibus (1925)
17. Borzój (1925)
18. Szczęście stalowych koni (1925)
19. Byle nie pieszo! (1925)
20. Tragiczna rozmowa (1927)
21. Hymn na cześć koktajlu (1927)
22. Metamorfoza Melchiora Sirra (1926)
23. Gwen i automobile (1926)
24. Mały romans automobilowy (1926)
25. Krąg wokół Feliksa (1926)
26. Flirt z Karlem (1927)
27. Billy (1927)
28. Blà i wiejski żandarm (1927)
29. Frywolny obiektyw (1928)
30. Wróg (1930)
31. Milczenie wokół Verdun (1930)
32. Karl Broeger we Fleury (1930)
33. Żona Josefa (1931)
34. Dzieje miłości Annette (1931)

35. Osobliwe losy Johanna Bartoka (1931)
36. Śniło mi się w nocy... (między 1930 a 1932)
37. W drodze (1934)
38. The Five Years Diary (około 1965)
39. Większe i mniejsze ironie mego życia (1966)